

PAUL AUSTER

W KRAJU RZECZY OSTATNICH

(Przełożył: Michał Kłobukowski)

Minąwszy niedawno bramę snów, odwiedziłem ów rejon Ziemi, gdzie leży słynne Miasto Zniszczenia.

Nathaniel Hawthorne

To są już ostatnie rzeczy, napisała. Znikają kolejno, bezpowrotnie. Mogę ci opowiedzieć o tych, które widziałam, o tych, których już nie ma, ale wątpię, czy czasu starczy. Wszystko za szybko się dzieje, nie nadążam.

Nie liczę, że zrozumiesz. Nie widziałeś, co tu się dzieje, nie umiałbyś nawet sobie wyobrazić. To kraj ostatnich rzeczy. Jednego dnia dom stoi, a nazajutrz go nie ma. Ulica, którą wczoraj szedłeś, dziś już nie istnieje. Nawet pogoda wciąż się zmienia. Po słonecznym dniu nastaje deszczowy, po śnieżnym – mglisty, po ciepłym – chłodny, a na przykład dziś, w środku zimy, zdarza się popołudnie pełne wonnego światła, takie ciepłe, że chodzi się w samym swetrze. Kto tu trochę pomieszka, przekonuje się, że nic nie jest oczywiste. Wystarczy na chwilę zamknąć oczy, obrócić się, spojrzeć gdzie indziej, i oto rzecz, którą mieliśmy przed oczami, nagle znika. Nic nie jest trwałe, nawet własne myśli. I nie wolno szukać tego, co przypadło, strata czasu. Co raz znikło, nie wróci.

W ten sposób żyję, pisała dalej. Mało jem. Akurat tyle, żeby utrzymać się na nogach, nic ponadto. Czasem tak słabnę, że czuję: więcej już ani kroku. Ale jakoś się nie daję. Mimo tych chwilowych zapaści jednak się trzymam. Szkoda, że nie widzisz, jaka jestem dzielna.

Ulice Miasta ciągną się wszędzie i nie ma dwóch jednakowych. Idę: krok za krokiem, i jeszcze jeden, i wciąż mam nadzieję, że to nie mój ostatni. Tylko tyle, nic więcej. Musisz zrozumieć, jak teraz wygląda moje życie. Ruszam się. Oddycham, na ile powietrza starczy, Jem jak najmniej. Cokolwiek by mówiono, rzecz w tym, żeby się trzymać na nogach.

Pamiętasz, co powiedziałaś, zanim wyjechałam: William znikł i nigdy go znaję, choćbym nie wiem jak szukała. Twoje słowa. A ja na to, że odnajdę brata, choćbyś nie wiem co mówił. Potem wsiadłam na ten okropny statek i zostawiłam cię. Jak dawno? Nie pamiętam. Całe lata. Chyba tak. Ale to tylko domysł. Co tu kryć – straciłam rachubę i za nic w świecie już się nie połapię.

Jedno jest pewne: gdyby nie mój głód, już bym nie dała rady. Musisz się nauczyć ograniczać potrzeby do minimum. Im mniej dla siebie chcesz, tym mniej ci potrzeba, a im mniej jesteś wymagający, tym lepiej się masz. To wpływ Miasta. Ono nicuje twoje myśli. Budzi w tobie chęć życia, a zarazem usiłuje ci je odebrać. Nie ma przed tym ucieczki. Dajesz sobie radę albo nie. A nawet jeżeli dajesz, to i tak nie wiesz, czy następnym razem ci się uda. A gdy się potkniesz, już nie wstaniesz.

Sama nie bardzo rozumiem, po co do ciebie piszę. Prawdę mówiąc, od przyjazdu prawie o tobie nie myślałam. Ale to już kawał czasu. Nagle poczułam, że mam coś do powiedzenia i muszę szybko zacząć pisać, bo inaczej głowa mi pęknie. Nieważne, czy przeczytasz ten list. Nieważne nawet, czy go wyślę – jeśli to w ogóle wykonalne. Sprawa może w sumie być całkiem prosta: piszę do ciebie, bo nic nie wiesz. Jesteś daleko i nic nie wiesz.

Niektórzy są tacy chudzi, pisała, że porywa ich wiatr. W Mieście szaleją wichury: zawsze nadciągają znad rzeki i śpiewają ci w uszach, zawsze targają tobą i szamoczą, zawsze ciskają ci pod nogi wirujące kłęby papierów i śmieci. Najchudsi często chodzą parami lub trójkami, czasem całe rodziny omotują się linami i łańcuchami, żeby się nawzajem asekurować wśród raptownych podmuchów. Inni nawet już nie próbują wychodzić, tylko kulą się w sieniach i wnękach, aż wreszcie nawet pogodne niebo napawa ich grozą. Lepiej spokojnie czekać w swoim kąciku, myśla, niż dać się roztrzaskać o kamienie. Można zresztą tak się wyćwiczyć we wstrzemięźliwości, że w końcu wcale nie trzeba już jeść.

Jeszcze gorzej jest tym, którzy walczą z własnym głodem. Nieustannie myślą o jedzeniu, a to nie prowadzi do niczego dobrego. Ludzie ci owładnięci są obsesją, zbuntowani przeciw rzeczywistości. O każdej porze dnia i nocy przemierzają ulice, zbierając nędzne kąski, podejmując ogromne ryzyko dla najmniejszego okruszka. Ale choćby nie wiem ile znaleźli jedzenia, wciąż im mało. Jedzą, lecz nigdy nie mogą się nasycić, ze zwierzęcym pośpiechem rozszarpują ochłapy, dłubią w nich kościstymi palcami, trzęsą im się wiecznie rozwarte szczeki. Prawie cała strawa ścieka im po brodach, a co zdołają połknąć, zwykle zwracają po kilku minutach. Konają powolną śmiercią, jakby pokarm był ogniem, oblędem spalającym ich od wewnątrz. Myślą, że jedzą, aby żyć, ale w końcu sami padają pastwą.

Jak widzisz, jedzenie to rzecz skomplikowana, i póki nie nauczysz się brać, co dają, nie dojdiesz ze sobą do ładu. Z powodu częstych przerw w dostawach jest więcej niż prawdopodobne, że akurat tego, co dziś zjadłeś z apetytem, jutro zabraknie. Chyba najbezpieczniej, najmniej ryzykownie byłoby robić sprawunki na miejskich targowiskach, lecz ceny są tam wysokie, a wybór niewielki. Jednego dnia przywożą same rzodkiewki, a nazajutrz tylko nieświeży tort czekoladowy. Żołądek fatalnie znosi tak częste i drastyczne zmiany diety. Ale miejskie targowiska mają jedną ogromną zaletę: strzeże ich policja, więc przynajmniej wiesz, że to, co kupiłeś, trafi do twojego własnego żołądka, a nie do cudzego. Kradzieże żywności na ulicach stały się czymś tak powszednim, że nawet już nie uchodzą za przestępstwo. W dodatku targowiska to jedyne miejsca, gdzie handel jedzeniem jest legalny. W Mieście działa wielu prywatnych sprzedawców, ale ich towar w każdej chwili może ulec konfiskacie. Nawet tym, których stać na łapówki dla policji – bez łapówek nie sposób przecież utrzymać się w branży – stale zagrażają napady złodziei. Złodzieje nękają też klientów prywatnych straganów. Jest rzeczą

statystycznie dowiedziona, że co druga transakcja prowadzi do rabunku. Nie warto więc chyba aż tyle ryzykować dla chwilowej radości, jaką sprawia smak pomarańczy lub gotowanej szynki. Lecz ludzie są nienasyceń: głód to przekleństwo, które spada na nich co dnia, a żołądek jest bezdenną otchłanią, czeluścią wielką jak świat. Toteż prywatni straganiarze mimo wszelkich przeszkód robią świetne interesy, przenosząc się z miejsca na miejsce, stale w ruchu, pojawiając się to tu, to tam, żeby po kilku godzinach zwinąć majdan. Ale ostrzegam: jeśli nie możesz się obejść bez żywności od prywatniarza, unikaj chociaż oszustów, bo nie brak drani, którzy dla zysku gotowi są sprzedać ci jaja i pomarańcze wypchane trocinami, butelki po piwie pełne moczu. Ludzie nie cofną się przed niczym, a im szybciej się o tym dowiesz, tym lepiej dla ciebie.

Kiedy idziesz ulicą, pisała dalej, pamiętaj, żeby iść wolno, noga za nogą, bo inaczej na pewno się przewrócisz. Miej oczy otwarte, rozglądaj się: w górę, w dół, przed siebie, za siebie, wypatruj innych przechodniów, strzeż się rzeczy nieprzewidzianych. Zderzenie może być zgubne. Dwie osoby zderzają się i zaczynają okładać się pięściami. Albo padają na ziemię i nawet nie próbują wstać. Prędzej czy później przychodzi taka chwila, kiedy już nie próbujesz wstać. Wszystko cię boli, nie ma lekarstwa na ten ból. Gorszy tutaj niż gdziekolwiek.

Gruz to osobny problem. Musisz nauczyć się omijać niewidoczne bruzdy, nagle piętrzące się rumowiska, płytkie rozpadliny, bo inaczej potkniesz się albo skaleczysz. A już najgorsze są rogatki. Trzeba sporo sprytu, żeby je ominąć. Wszędzie, gdzie runęły domy albo nagromadziły się śmieci, ulicę tarasują barykady. Ludzie budują je, kiedy tylko jest z czego, stają na nich z pałkami, karabinami albo cegłami w rękach i czyhają na przechodniów. Panują nad całą ulicą. Jeśli chcesz przejść, musisz spełnić każde ich żądanie. Czasem domagają się pieniędzy, czasem jedzenia, czasem seksu. Częste są pobicia, słyszy się też o morderstwach.

Nowe rogatki powstają, stare znikają. Nigdy nie wiesz, w którą ulicę skręcić, a której unikać. Miasto pomalu odbiera ci pewność. Nie ma ustalonych ścieżek, a przetrwać możesz tylko pod warunkiem, że niczego nie potrzebujesz. Musisz umieć w każdej chwili zmienić kurs, rzucić wszystko, zawrócić z drogi. Nie ma rzeczy nieistotnych, więc musisz nauczyć się odczytywać znaki. Gdy wzrok zawodzi, pomocny bywa węch. Mój niesłychanie się wyostrzył. Mimo skutków ubocznych – nagłych mdłości, zawrotów głowy, strachu, ilekroć owionie mnie cuchnące powietrze – nie narzekam, bo właśnie węch ratuje mnie, kiedy skręcam za róg, czyli w najbardziej niebezpiecznych chwilach. Od rogatek bije bowiem specyficzny odór, który uczysz się rozpoznawać z daleka. Usypano je z kamieni, cementu i kawałków drewna przemieszanych ze śmieciami i tynkiem: śmieci podgrzane słońcem śmierdzą bardziej niż reszta Miasta, tynk rozmokły od deszczu puchnie, rozpływa się i też wydziela swoisty zapaszek, a gdy oba te smrodki mieszają się i łączą wśród zmiennych fal suszy i wilgoci, fetor rogatek osiąga pełnię nasycenia. Grunt to nie stracić wrażliwości. Przyzwyczajenie równa się śmierci. Nawet za setnym razem każdą rzecz musisz przyjmować tak, jak za pierwszym: jakbyś jej nigdy przedtem nie

widział. Wiem, to prawie niemożliwe. Ale taka jest żelazna zasada.

Myślałby kto, że prędzej czy później wszystko to się skończy. Rzeczy rozlatują się i znikają, a nowych się nie robi. Ludzie umierają, a dzieci nie chcą się rodzić. Jestem tu od lat, a nie pamiętam, żebym widziała chociaż jednego noworodka. A jednak coraz to nowi mieszkańcy zjawiają się na miejsce zaginionych. Przybywają ze wsi i z okolicznych miasteczek, wlokąc wózki, na których piętury się cały ich dobytek, nadjeżdżają zdezelowanymi autami, a wszyscy są głodni, wszyscy bezdomni. Póki nie poznają tutejszych obyczajów, łatwo padają łupem miejskich cwaniaków. Wielu już pierwszego dnia traci pieniądze w podejrzanych transakcjach: płacą za nie istniejące mieszkania, dają się wywieść w pole i zlecają wykonanie prac, których nikt nigdy nawet nie rozpocznie, wydają całe oszczędności na jedzenie, aby się przekonać, że kupili malowaną tekturę. Wymieniam tu tylko najpospolitsze chwytły. Znam kogoś, kto zarabia na życie w ten sposób, że stoi przed starym ratuszem i żąda zapłaty, ilekroć jakiś nowicjusz rzuci okiem w stronę zegara na wieży. Jeśli ofiara się wzbrania, do akcji włącza się pomocnik oszusta: udając jeszcze jednego kmiotka niby to spogląda na zegar, po czym płaci, więc nowo przybyły daje się przekonać, że taki jest zwyczaj. Zdumiewa jednak nie tyle sama obecność wydrwigroszy, ile łatwość, z jaką wyłudniają pieniądze.

Kto ma własny kąt, w każdej chwili może go stracić. Większość budynków jest bezpańska, więc jako lokatorowi nie przysługują ci żadne prawa: nie istnieją dokumenty wynajmu, toteż w razie niepomyślnego obrotu sytuacji nie masz żadnego legalnego oparcia. Mieszkańców często przemocą się wyrzuca – prosto na ulicę. Gdy banda zbrojna w karabiny i pałki ładuje ci się do pokoju i każe się wynosić, a ty nie czujesz się na siłach, żeby rozprawić się z intruzami, jaki masz wybór? Są to tak zwane „naloty”. Niewielu jest w Mieście ludzi, którzy choć raz w ten właśnie sposób nie stracili mieszkania. Ale nawet jeśli unikniesz takiej eksmisji, nie jesteś pewien dnia ani godziny, bo może cię dopaść „kamienicznik-widmo” – jeden z szantażystów, którzy terroryzują większość dzielnic, wymuszając od lokatorów pieniądze za tak zwaną ochronę, polegającą wyłącznie na tym, że nie odbiera im się mieszkań. Kamienicznicy-widma podają się za właścicieli domów, oszukują mieszkańców i prawie nigdy nie napotykalają oporu.

W naprawdę beznadziejnej sytuacji są bezdomni. Nie istnieje tu nic takiego jak „pustostan”. Mimo to działają agencje wynajmu. Codziennie dają do gazet ogłoszenia o fikcyjnych mieszkaniach, żeby zwabić klientów i wyłudzić procent. Choć nikt się na to nie nabiera, wiele osób chętnie rozstaje się z ostatnim groszem, aby posłuchać czczych obietnic. Wczesnym rankiem zjawiają się przed agencją i cierpliwie wystają w kolejce, nieraz nawet godzinami, byle tylko spędzić z pośrednikiem dziesięć minut i pooglądać fotografie domów stojących na ulicach wysadzanych drzewami, wygodnych pokojów, umeblowanych mieszkań z dywanami i miękkimi fotelami obitymi skórą, ponapawać się kojącym widokiem scen, które budzą wspomnienie dobiegającego z kuchni zapachu kawy, obłoku pary nad pełną wanną, żywych barw roślin

w doniczkach ustawionych rzędkiem na parapecie. Nikomu widać nie przeszkadza, że są to zdjęcia sprzed ponad dziesięciu lat.

Wielu z nas popadło we wtórne zdziecinnienie. Sam rozumiesz, że niechcący i w gruncie rzeczy bezwiednie. Ale kiedy znikła wszelka nadzieja, kiedy porzuciłeś już nawet nadzieję na cień nadziei, wypełniasz pustkę marzeniami, dziecinnymi myślątkami, opowiadasz sobie bajeczki, żeby jednak wytrwać. Nawet najbardziej zahartowani nie umieją się powstrzymać. Bez specjalnych podchodów ani wstępów rzucają każde zajęcie, siadają i zaczynają zwierzać się z pragnień, które od dawna w nich wzbierały. Jednym z ulubionych tematów jest, rzecz jasna, jedzenie. Często się słyszy, jak kilka osób z pedantyczną drobiazgowością opisuje jakiś obiad czy kolację: od zup i zakąsek z wolna zmiierzają ku deserowi, rozwodząc się nad każdym smaczkiem i przyprawą, nad różnymi aromatami i ingrediencjami, skupiając się już to na sposobie przyrządzenia danej potrawy, już to doznaniach tego, kto się nią syci, poczynając od pierwszego dreszczu w koniuszku języka aż po błogi spokój, który pomału człowieka ogarnia, gdy pokarm wędruje przez gardło do żołądka. Rozmowy te mogą się ciągnąć godzinami, rządzi zaś nimi ścisły protokół. Na przykład nie wolno się śmiać ani tracić panowania nad głodem. Żadnych wybuchów, żadnych mimowolnych westchnień, bo potem leją się łzy, a nic tak jak one nie psuje smaku rozmowy o jedzeniu. Najlepiej jest pograć się wyobraźnią w cudzych słowach. Daj im się pochłonać, a zapomnisz o głodzie i wkroczysz w tak zwaną „sferę pożywnego nimbu”. Niektórzy twierdzą nawet, że te pogawędki mogą być naprawdę posilne – jeśli ich uczestnicy są dostatecznie skoncentrowani i wszyscy tak samo pragną wierzyć w moc sprawczą swych słów.

Jest to tak zwana „mowa-zjawa”, czyli „język duchów”. Mówi się nim rozmaicie. Przeważnie zaczyna się od westchnienia: chciałbym. Chcieć można czegokolwiek, byleby to było nierealne. Chciałbym, żeby słońce nigdy nie zachodziło. Chciałbym, żeby pieniądze same mi rosły w kieszeniach. Chciałbym, żeby Miasto było takie jak dawniej. Pewnie już chwytasz, o co chodzi. O absurdalne dziecinady, nieistotne, nieziszczalne. Na ogół ludzie czepiają się wiary, że jakkolwiek źle było wczoraj, dziś jest gorzej, Przedwczoraj było jeszcze lepiej niż wczoraj. Im dalej sięgasz w przeszłość, tym piękniejszy i bardziej ponętny staje się świat. Co rano zwlekasz się z łóżka, żeby stawić czoło czemuś jeszcze gorszemu niż to, z czym borykałeś się poprzedniego dnia, lecz opowieści o świecie, który istniał, nim zasnąłeś, dają ci złudne poczucie, że dzisiejszy dzień to tylko urojenie, równie rzeczywiste albo nierzeczywiste jak wspomnienia wszystkich innych dni, które w sobie nosisz.

Rozumiem, czemu ludzie się w to bawią, ale mnie ta gra nie łączy. Nie mam zamiaru mówić językiem duchów, a ilekroć słyszę, że inni nim mówią, odchodzę albo zatykam sobie uszy. Tak, bardzo się zmieniłam. Pamiętasz, jaka była ze mnie filutka. Nigdy nie miałaś dość moich historyjek, tych światów, które zmyślałam, żebyśmy mogli się w nich bawić. Zamek Bez Wyjścia, Kraina Smutku, Las Zapomnianych Słów. Pamiętasz? Pamiętasz, jak lubiłam cię

okłamywać, wmawiać ci, że to wszystko prawda, i patrzeć, jak poważniejesz, kiedy prowadzę cię od jednej dziwacznej sceny do drugiej. Potem przyznawałam, że to wszystko na niby, a ty wybuchałeś płaczem. Uwielbiałam te twoje łzy, chyba nie mniej niż twój uśmiech. Tak, byłam pewnie już wtedy trochę podła – w czasach, gdy mama ubierała mnie w sukieneczki, w czasach, gdy kolana miałam otarte do krwi, całe w strupach, a na cipce ani włoska. Ale kochałeś mnie, prawda? Kochałeś do szaleństwa.

Za to teraz jestem wcieleniem zdrowego rozsądku i zimnego wyrachowania. Nie chcę być taka jak inni. Widzę, co z nimi robią te ich rojenia, i nie pozwolę, żeby mnie spotkało to samo. Ludzie-duchy zawsze umierają we śnie. Przez kilka miesięcy łążą z tym swoim dziwnym uśmieczkiem, spowici niesamowitą aureolą inności, jakby zaczęli już pomалу znikać. Symptomy są nieomyślne, nawet te najwcześniejsze: lekki rumieniec na policzkach, nagle rozszerzone oczy, apatyczne powłóczenie nogami, smród bijący z dolnej części ciała. Ale to chyba szczęśliwa śmierć. Tyle gotowa jestem przyznać. Nieraz prawie im zazdrościłam. Ale nie, nie pozwolę sobie na ten luz. Nigdy w życiu. Będę się trzymać, póki zdołam, choćby mnie to zabiło.

Inni giną w sposób bardziej dramatyczny. Istnieje na przykład sekta Biegaczy. Jej członkowie biegają ulicami co sił w nogach, dziko wymachując rękami, młóćąc pięściami powietrze, wrzeszcząc na całe gardło. Zwykle biegną grupą: sześciu, dziesięciu, czasem nawet dwudziestu Biegaczy pędzi ulicą, nie ustępując z drogi nikomu i niczemu, mknąc bez wytchnienia, do upadłego. Rzecz w tym, aby umrzeć jak najszybciej, zagonić się na śmierć, aż serce nie wytrzyma. Biegacze twierdzą, że nikt w pojedynkę nie poważiłby się na coś takiego. Ale gdy biegną razem, każdego porywa odwaga pozostałych, ich wrzaski dodają mu animuszu, a ze zbiorowej ekstazy rodzi się masochistyczna wytrwałość. Na tym właśnie polega ironia sytuacji: nim się zabiegasz na śmierć, musisz trenować, aż staniesz się biegaczem niezrównanym, bo inaczej będziesz za słaby, żeby wycisnąć z siebie ostatek sił. Biegacze odbywają więc mozolne przygotowania, nim wyruszą na spotkanie swego losu, a jeśli po drodze upadną, natychmiast się podnoszą i ruszają dalej. Mają chyba do tego stosunek religijny. W Mieście działa dziewięć sekretariatów tej sekty, po jednym na każdy rewir. Żeby się do niej dostać, trzeba przejść cykl trudnych inicjacji: wstrzymywanie oddechu pod wodą, post, wkładanie dłoni w płomień świecy, siedmiodniowe milczenie. Nowo przyjęty musi się poddać regule sekty, czyli przeżyć sześć do dwunastu miesięcy w komunie, ściśle przestrzegając planu treningów i coraz mniej jedząc. Zanim dojrzeje do śmiertelnej gonitwy, osiąga zenit swej siły, a zarazem nadir słabości. Teoretycznie może biec bez końca, ale jego ciało zużyło już wszystkie rezerwy. Ta paradoksalna kombinacja daje pożądaną skutek. Rankiem w oznaczonym dniu Biegacz wyrusza więc wraz z towarzyszami i pędzi, póki nie wymknie się z własnego ciała, biegnie i krzyczy, póki nie wyfrunie z siebie. Prędzej czy później duszy udaje się wywinąć na wolność, a martwe ciało

pada na ziemię. Biegacze chętniej się, że ich metoda jest w dziewięćdziesięciu procentach skuteczna – czyli prawie nikt nie musi powtarzać śmiertelnego biegu.

Śmierć samotna zdarza się częściej, lecz i z niej zrobiono swego rodzaju publiczny rytuał. Ludzie wspinają się na dachy najwyższych domów specjalnie po to, żeby wykonać tak zwany Ostatni Skok. Przyznam, że to niesamowita scena. Odkrywasz w sobie całkiem nowe obszary wolności, gdy widzisz Skoczka, który spokojnie stoi na krawędzi i zawsze po chwili lekkiego wahania – jakby pragnął się podelektować ostatnimi sekundami, a tobie własne życie wzbiera w gardle – niespodziewanie (bo nigdy nie wiesz, kiedy to nastąpi) rzuca się w dół i tnąc powietrze spada na ulicę. Zdziwiłbyś się, jaki entuzjazm budzi to w tłumie. Podnieceni gapie wiwatują z zapalem, jakby brutalne piękno tego widowiska pozwoliło im wyrwać się z własnej skóry, zapomnieć o codziennej nędzy. Ostatni Skok to akt zrozumiały dla wszystkich. Każdy odnajduje w nim echo swojej najgłębszej tęsknoty: umrzeć błyskawicznie, unicestwić się w jednej chwalebnej sekundzie. Czasem wydaje mi się, że śmierć to jedyna rzecz, którą jeszcze czujemy, nasza forma artystyczna, jedyny środek wyrazu.

Niektórym udaje się jednak pożyć. Śmierć też stała się sposobem na życie. Skoro tyle osób kombinuje, jak by tu skończyć ze wszystkim, jak by tu rozstać się ze światem, domyślasz się, że można na tych ciągotach świetnie zarobić. Sprytny osobnik potrafi całkiem nieźle wyżyć z cudzych śmierci. Nie każdy ma przecież odwagę zostać Biegaczem lub Skoczkiem. Wielu nie może się zdecydować i potrzebuje pomocy. Podstawowym warunkiem jest tu, rzecz jasna, wypłacalność, więc tylko najbogatszych stać na taką obsługę. A jednak interes kwitnie, zwłaszcza w Klinikach Eutanazji. Jest ich kilka kategorii, a wybór zależy od tego, ile chcesz wydać. Najprostsza i najtańsza usługa, znana w branży jako Droga Powrotna, trwa najwyżej parę godzin. Zapisujesz się do Kliniki, w recepcji kupujesz bilet, prowadzą cię do izolatki ze świeżo pościelonym łóżkiem, ktoś z personelu układa cię do snu i robi ci zastrzyk, a ty zapadasz w sen, z którego już się nie obudzisz. Trochę droższa jest Cudowna Podróż – trwająca od jednego do trzech dni seria zastrzyków aplikowanych w regularnych odstępach. Wprawiają one klienta w euforię, w stan szczęśliwej beztroski, a przerywa ją dopiero ostatnia, zabójcza ampułka. Jest jeszcze Rozkoszny Rejs, który przeciąga się czasem i do dwóch tygodni. Uczestników otacza się atmosferą dostatku, zapewnia im się luksusy porównywalne ze splendorem dawnych hoteli: wykwintne potrawy, wina, rozrywki, ba! – nawet burdel dla płci obojga. Sporo to kosztuje, ale niektórzy nie potrafią oprzeć się pokusie, żeby chociaż przez chwilę zaznać uroków życia.

Lecz śmierć można kupić nie tylko w Klinikach Eutanazji. Coraz bardziej popularne stają się Kluby Zabójców. Ktoś, kto chce umrzeć, ale boi się zrobić to sam, za umiarkowaną opłatą zgłasza się do rejonowego Klubu Zabójców, gdzie przydziela mu się wykonawcę. Klient nie zna szczegółów umowy. Okoliczności własnej śmierci – data, miejsce, sposób zadania, tożsamość mordercy – pozostają dla niego tajemnicą. Czyli życie w pewnym sensie toczy się po staremu:

śmierć majaczy na horyzoncie jako nieuchronna perspektywa, lecz jej dokładny kształt pozostaje zagadką. Klient Klubu Zabójców może być jednak pewny, że nie powali go starość, choroba ani nieszczęśliwy wypadek, bo już w niedalekiej przyszłości zginie śmiercią szybką i gwałtowną: będzie to kula w mózgu, nóż w plecach, para rąk wokół krtani w środku nocy. Wyobrażam sobie, że staje się dzięki temu czujniejszy. Śmierć nie jest już abstrakcją, lecz realną możliwością, która wisi nad nim w każdej sekundzie. Zamiast biernie się godzić z nieuniknionym końcem, zapisany w kolejce do zabicia jakby się budzi, zwawiej się rusza, nareszcie czuje, że żyje, odmieniony nowym zrozumieniem rzeczywistości. Niejeden zmienia zdanie i postanawia mimo wszystko wybrać życie, ale nie takie to proste, bo gdy raz zgłosisz się do Klubu Zabójców, nie masz odwrotu – chyba że zabijesz swojego kata. Zwalnia cię to z wszelkich zobowiązań i jeśli chcesz, możesz sam zostać zabójcą. Na tym właśnie polega niebezpieczeństwo tego zawodu i dlatego zabójcom tyle się płaci. Rzadko się zdarza, żeby zabójca zginął przy pracy: jest przecież o wiele bardziej doświadczony niż ofiara. Bywają jednak takie wypadki. Wielu ubogich – zwłaszcza młodych mężczyzn – oszczędza miesiącami, a nawet latami, byle tylko zapisać się do Klubu, zdobyć etat zabójcy i podnieść swoją stopę życiową. Mało komu się to udaje. Gdybym ci opowiedziała, co się przytrafia niektórym z tych chłopców, przez tydzień nie zmrużyłbyś oka.

Wiąże się z tym całe mnóstwo praktycznych kwestii. Na przykład problem trupów. Nie umiera się tu tak jak dawniej, spokojnie oddając ducha we własnym łóżku albo w czystym zaciszu szpitala. Każdy kończy życie tam, gdzie dopadnie go śmierć, czyli przeważnie na ulicy. I to nie tylko Biegacze, Skoczkowie czy Klubowicze – w sumie wąski margines – lecz całe tłumy. Przynajmniej co drugi mieszkaniec Miasta jest bezdomny. Ludzie ci naprawdę nie mają gdzie się podziać, więc dosłownie potykasz się o ich trupy: na chodnikach, w sieniach i po prostu na ulicy. Nie pytaj o szczegóły. Dość ci powiedziałam, więcej niż dość. Cokolwiek byś myślał, głównym problemem nigdy nie jest brak współczucia. Nic nie pęka tu łatwiej niż serce.

Trupy zwykle są nagie. O każdej porze dnia i nocy po ulicach buszują szperacze, którzy błyskawicznie ogałają zwłoki z czego tylko się da. Na pierwszy ogień idą buty, bardzo tu cenione i trudne do zdobycia. Potem plądruje się kieszenie, ale prędzej czy później ściąga się całe ubranie wraz ze wszystkim, co w nim ukryto. Na końcu przychodzą ludzie z dłutami i szczypcami, aby wyrwać trupowi złote i srebrne zęby. Jest to nieuniknione, więc często sami krewni obdzierają do naga swoich zmarłych, żeby nie pozostawić tej roboty obcym. Jedni pragną ocalić godność ukochanej osoby, inni kierują się czystym egoizmem. Choć to właściwie cienka kwestia. Skoro ząb zmarłego męża zapewni ci wikt przez miesiąc, kto śmiałyby twierdzić, że nie masz prawa go wyrwać? Owszem, to wbrew naturze, ale jeśli chcesz tu przetrwać, ciśnij zasady w kąt. Każdego ranka władze miejskie wysyłają ciężarówki, na które zbiera się trupy. Jest to główna działalność rządu, pochłaniająca największe wydatki. Wokół Miasta wznoszą się krematoria, tak zwane Transformatornie, i przez całą dobę widać dym bijący w niebo. Ale stan

ulic jest okropny, niektóre zamieniły się w istne rumowiska, więc trupobranie idzie coraz oporniej. Ciężarówki co chwila przystają i zbieracze pieszko zapuszczają się między ruiny, co bardzo spowalnia pracę. W dodatku wozy często się psują, a wśród gapiów dochodzi do zamieszek. Rzucanie kamieniami w obsługę trupich transportów to częsta rozrywka bezdomnych. Chociaż konwojenci są uzbrojeni i zdarza im się puścić w tłum serię, bezdomni sprytnie kryją się w gruzach i partyzanckimi metodami nierzadko udaremniają całą akcję. Ataki te nie są w żaden sensowny sposób umotywowane. Ich podłożem jest gniew, uraza i nuda, a ponieważ zbieracze zwłok są jedynymi przedstawicielami władz miejskich, jacy kiedykolwiek pojawiają się w okolicy, wszystko na nich się skupia. Można by powiedzieć, że w rzucaniu kamieniami wyraża się niechęć do rządu, który zajmuje się obywatelami dopiero po śmierci. Byłaby to jednak przesada. Kamienie lecą, bo ludzie są nieszczęśliwi, i tyle. Nikt w Mieście nie angażuje się w politykę. Mieszkańcy są zbyt zagłodzeni, rozkojarzeni i skłóceni.

Rejs trwał dziesięć dni, a ja byłam jedyną pasażerką. Ale to już wiesz. Poznałeś kapitana i załogę, widziałeś moją kajutę, nie muszę ci o tym wszystkim opowiadać. Spędziłam ten czas wpatrując się w wodę i w niebo, przez dziesięć dni prawie nie zajrzałam do książki. Na miejsce dotarliśmy nocą i dopiero wtedy zrobiło mi się trochę straszno. Brzeg pogrążony był w ciemnościach, nie paliło się ani jedno światło, a ja poczułam się, jakbyśmy wkraczali w niewidzialny świat, w krainę ślepców. Miałam adres biura Williama i to jedno dodawało mi otuchy. Sądziłam, że kiedy tam trafię, wszystko się jakoś ułoży. Byłam pewna, że odnajdę przynajmniej ślad Williama. Nie wiedziałam, że cała ta ulica dawno już znikła. Nie to, że zastanę puste biuro, opuszczony budynek: w ogóle nie było już budynku ani ulicy, tylko całe hektary gruzów i śmieci.

Dowiedziałam się później, że był to trzeci rewir i że przed niespełna rokiem wybuchła tam jakaś epidemia. Wkroczyły władze miejskie, kazały cały obszar otoczyć murem, spalić i zrównać z ziemią. Tak mi przynajmniej mówiono. Od tamtej pory nauczyłam się nie traktować zbyt serio tego, co słyszę. Nie żeby ludzie celowo kłamali, ale gdy mowa o przeszłości, prawda dość szybko się zaciera. W ciągu zaledwie kilku godzin plenią się legendy, zaczynają krążyć niestworzone historie i niebawem fakty nikną pod całą górą groteskowych hipotez. W Mieście najlepiej jest wierzyć tylko własnym oczom. Ale one też są zawodne. Pozory mylą – zwłaszcza tu, gdzie na każdym kroku tyle trzeba wchłonąć informacji, gdzie tyle rzeczy wymyka się rozumieniu. Każdy widok może cię zranić, umniejszyć – jak gdyby przez sam fakt, że coś widzisz, trochę cię ubywało. Często wydaje ci się, że niebezpiecznie jest patrzeć, więc uczysz się odwracać wzrok, a nawet zamykać oczy. Stąd dezorientacja, niepewność, czy naprawdę widzisz rzecz, na którą niby patrzysz. Może ją sobie tylko wyobrażasz, mylisz z inną lub wspominasz dawniej widzianą – czy wręcz urojoną. Strasznie to skomplikowane. Nie wystarczy po prostu patrzeć i mówić

sobie: „Patrzę i widzę”. Owszem, to nic trudnego, kiedy chodzi o ołówek albo o skórkę chleba. Ale jeśli widzisz martwe dziecko, dziewczynkę, która leży nago na ulicy, z głową zmiażdżoną, całą we krwi? Co sobie wtedy myślisz? Nie tak łatwo jest stwierdzić beznamiętnie i jednoznacznie: „Patrzę na martwe dziecko”. Umysł wzbrania się przed tym. Takie słowa są nie do pomyślenia, kiedy masz przed oczami coś, wobec czego nie możesz się zdystansować. To właśnie miałam na myśli mówiąc, że Miasto cię rani: nie sposób biernie patrzeć i widzieć, bo każdy widok jest częścią ciebie, częścią historii, która snuje w tobie swój wątek. Należałoby pewnie tak stwardnieć, żeby nic już nie mogło cię dotknąć. Ale byłbyś wtedy zupełnie sam. I odcięty od reszty ludzi, i życie stałoby się niemożliwością. Niektórym to się udaje. Mają siłę zmienić się w potwory, lecz zdziwiłbyś się, jak niewielu ich jest. Albo inaczej: wszyscy spotwornielibyśmy, ale prawie w każdym kołacie się resztką dawnego życia.

I to jest chyba właśnie największy problem. Znane nam życie skończyło się, a tego nowego nikt rozumem nie ogarnia. Dla każdego, kto się wychował gdzie indziej albo po prostu żyje dość długo, żeby pamiętać dawny świat, samo przetrwanie z dnia na dzień jest ciężką walką. I nie mam tu na myśli jakichś szczególnych kataklizmów. Nawet w obliczu najzwyczajniejszych zdarzeń nie wiesz już, co robić, a kiedy nic nie robisz, następuje paraliż myśli. Masz mętlik w głowie. Tymczasem wokół ciebie zmiana goni zmianę, każdy dzień niesie z sobą nowe wstrząsy, dawne zasady okazują się czerze i puste. Otóż i dylemat: chcesz niby przetrwać, przystosować się – żyć, jak się da. Ale najpierw musisz zabić w sobie wszystko, dzięki czemu dawniej uważałeś się za człowieka. Rozumiesz? Żeby żyć, musisz się zabić. To dlatego tylu ludzi daje za wygraną. Wiedzą, że choćby nie wiem jak walczyli, czeka ich klęska. A skoro tak, w ogóle walczyć nie warto.

Trochę mi się to wszystko płące w pamięci: co się naprawdę zdarzyło, a co nie, ulice widziane po raz pierwszy, dni, noce, niebo nad głową, hałdy gruzu ciągnące się aż po horyzont. Niejasno pamiętam, że często spoglądałam w górę, jakbym szukała w niebie jakiegoś braku albo nadmiaru – czegoś, co by je różniło od innych nieb, jakiegoś wytłumaczenia tych wszystkich rzeczy, które działy się na ziemi. A może było inaczej. Może późniejsze wrażenia kojarzę z pierwszymi dniami. Co zresztą i tak nie ma większego znaczenia, zwłaszcza teraz.

Po długich i wnikliwych badaniach donoszę z pełną odpowiedzialnością, że niebo tutejsze niczym nie różni się od tego, które masz nad głową. Są tu te same chmury i jasne przestworza, te same burze i cisze, te same porywiste wichry. Jeśli efekty wydają się tutaj trochę inne, przyczyną jest wyłącznie to, co dzieje się na ziemi. Na przykład noce nigdy nie bywają tu dokładnie takie jak u nas: niby ta sama ciemność, ten sam bezkres, ale zamiast bezruchu nieustannie wyczuwa się jakiś ukryty prąd, jakby uporczywy szmer, który ściąga cię w głębinę i popycha naprzód, bez wytchnienia. Z kolei dni pałają blaskiem chwilami wręcz nieznośnym, jasnością, która oszałamia

cię i odbarwia świat, aż wszystkie poharatane powierzchnie lśnią i nawet powietrze dygocze. Światło pada tu w taki sposób, że barwy stają się tym bardziej przekłamane, im bliżej podchodzisz. Nawet cienie wydają się podniecone, a ich krawędziami targa gorączkowa, bezładna pulsacja. W tym świetle musisz się mieć na baczności i nie otwierać oczu zbyt szeroko, lecz akurat na tyle, żeby utrzymać równowagę, bo inaczej się potkniesz, a nie muszę ci już wyliczać związanych z tym niebezpieczeństw. Czasem miewam wrażenie, że gdyby nie ciemność, gdyby nie te dziwne noce, które na nas spadają, niebo by się wypaliło. Dni kończą się, kiedy muszą: skoro tylko słońce wyczerpie zasoby świata. Nic ani sekundy dłużej nie może już lgnąć do słonecznego blasku. Gdyby dzień potrwał jeszcze choć chwilę, tutejsza niewiarygodna rzeczywistość cała by stopniała.

Miasto stopniowo samo się pożera, choć dalej trwa. Nie sposób tego wyjaśnić. Mogę rejestrować zdarzenia, lecz nie twierdzę, że cokolwiek rozumiem. Nie ma dnia, żeby ulicami nie wstrząsnął huk, jakby gdzieś daleko runął gmach albo zapadł się chodnik. Ale nigdy nie dzieje się to na twoich oczach. Choćbyś nie wiedzieć jak często słyszał te eksplozje, ich źródło pozostaje niewidoczne. Na zdrowy rozum co któraś powinna zdarzyć się w twojej obecności. Ale fakty przeczą rachunkowi prawdopodobieństwa. Nie myśl, że fantazuję – te wybuchy nie są tworem mojej wyobraźni. Inni też je słyszą, chociaż nie zwracają na nie większej uwagi. Czasem przystają, żeby chwilę o nich porozmawiać, lecz bez widocznego niepokoju. Trochę się poprawiło, mówi jakiś przechodzień. Bojowy dziś nastrój w Mieście, odpowiada inny. Dawniej próbowałam wypytywać ludzi o te hałasy, ale nie doczekałam się wyjaśnień. Odpowiadano mi tępym spojrzeniem albo wzruszeniem ramion. W końcu zrozumiałam, że o pewne sprawy nie należy pytać, że nawet tutaj niektórych tematów nikt nie chce poruszać.

Tym, co znaleźli się na dnie, pozostają ulice, parki i dawne stacje metra. Ulice są najgorsze: jesteś narażony na wszelkie niebezpieczeństwa i niewygody. Parki dają ci trochę większe poczucie stabilizacji, nie nęka cię tam ciągły ruch pojazdów i przechodniów, ale jeśli nie należysz do szczęściarzy, którzy mają namiot albo szałas, jesteś zdany na łaskę i niełaskę pogody, tylko na stacjach metra możesz uniknąć jej kaprysów, lecz musisz za to znosić mnóstwo innych udręk: wilgoć, tłum, nieustanny hałas, gdy ludzie krzyczą jak zahipnotyzowani echem własnych głosów.

W pierwszych tygodniach przekonałam się, że najbardziej trzeba obawiać się deszczu. W porównaniu z nim nawet chłód jest błahostką. Dla ochrony przed zimnem wystarczy mieć ciepły płaszcz (a ja go miałam) i chodzić szybkim krokiem, żeby pobudzić krążenie. Z czasem doceniłam też gazety – bezsprzecznie najskuteczniejszą i najtańszą namiastkę watoliny. W zimne dni musisz wstawać skoro świt, żeby zająć dobre miejsce w kolejce przed kioskiem. Spróbuj dokładnie obliczyć, ile czasu minie, nim dojdiesz do okienka, bo nic tak nie szkodzi człowiekowi jak długie stanie w porannym chłodziu. Jeśli wygląda na to, że spędzisz w ogonku

więcej niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć minut, zdrowy rozsądek nakazuje machnąć ręką i iść gdzie indziej.

Kiedy już kupisz gazetę – jeśli w ogóle ci się uda – najlepiej podrzyj ją na wąskie paski i zwiń je w ruloniki. Możesz nimi wypchać buty, zlikwidować przeciągi w nogawkach i pozatykać dziury. Kończyny i tors najpraktyczniej jest osłonić całymi arkuszami owiniętymi wokół paru luźno ugniecionych buł z papieru. Żeby zabezpieczyć okolice szyi, bierze się zwykle kilkanaście pasków gazety i ukręca z nich powróśła, z których z kolei plecie się coś na kształt kołnierza. Po takiej operacji wyglądasz jak nadmuchany albo wywatowany. Jest to zarazem rodzaj zabiegu kosmetycznego, maskującego chudość. Ci, co dbają o pozory, korzystają z tej tak zwanej „papierowej strawy”, usiłując zachować twarz. Ludzie, którzy dosłownie umierają z głodu, którym brzuchy przyrosły do pleców, a ręce i nogi sterczą jak patyki, chodzą wypchani papierem i udają, że ważą sto, sto pięćdziesiąt kilo. Nikogo to nie wprowadza w błąd, każdy na kilometr potrafi przejrzeć ich gierkę, ale im chyba w ogóle o co innego idzie. Za pomocą tych kostiumów chcą pokazać, że zdają sobie sprawę ze swojego stanu i wstydzą się go. Papierowy balast jest głównie dowodem świadomości, oznaką gorzkiej samowiedzy. Robią z siebie groteskowe karykatury dobrze odżywionych bogaczy, lecz przez te poronione, obłąkańcze przymiarki do nobliwości zdradzają tylko, że są dokładnym przeciwieństwem wszystkiego, pod co się podszywają, i że o tym wiedzą.

Ale z deszczem wygrać nie sposób, bo gdy raz zmokniesz, płacisz za to przez wiele godzin, a nawet dni. Najgorszy błąd, jaki możesz popełnić, to dać się przyłapać ulewie. Nie tylko narażasz się na przeziębienie, ale jeszcze musisz znieść niezliczone uciążliwości: zawilgłe ubranie, mróz w kościach, no i tę wieczną groźbę, że zniszczysz buty. Skoro najważniejsze jest to, żeby utrzymać się na nogach, wyobraź sobie, co się może stać, kiedy masz nie dość dobre obuwie. A nic tak butom nie szkodzi, jak porządne przemoczenie. Biorą się też z niego najrozmaitsze przypadłości – bąble, zapalenia stawów, odciski, wrośnięte paznokcie, wrzody, zwyrodnienia. A gdy chodzenie sprawia ci ból, to właściwie już po tobie. Krok za krokiem, krok za krokiem: oto złota maksyma. Jeśli nawet tyle nie potrafisz, najlepiej od razu się kładź i wstrzymaj oddech.

Ale jak tu uniknąć deszczu, który może lunąć w każdej chwili? Często zdarza się, że jesteś na dworze, bo właśnie idziesz gdzieś, gdzie po prostu musisz dotrzeć, nie masz wyboru, gdy wtem niebo ciemnieje, chmury nacierają na siebie i proszę: już przemokłeś do nitki. A nawet jeśli na początku ulewy zdołasz się skryć i tym akurat razem ujdzie ci na sucho, po deszczu też musisz bardzo uważać, wystrzegać się kałuż w zagłębieniach chodnika, sadzawek w rozpadlinach, no i błota, które podpływa od spodu i zastawia pułapki, a ty grzęzniesz po kostki. Ulice są w tak złym stanie, popękane, pełne dołów i wądołów, że nie sposób się uchronić. Prędzej czy później utkniesz w sytuacji bez wyjścia. A wystrzegać się trzeba nie tylko powierzchni, po których

stapasz, tego świata spod stóp, bo krople kapią i z góry, spływają z okapów, a co gorsza, po deszczu często zrywają się wichry, wściekłe wiry powietrzne zgarniają wodę z kałuż i rozlewisk, aby na powrót cisnąć ją w niebo, sypnąć garściami mokrych igieł, szpilek wilgoci, które kłują cię w twarz, kłębią się wokół ciebie i oślepiają. Ilekroć po deszczu nadciąga wiatr, ludzie częściej się zderzają i wdają w bójki, bo agresja wręcz wisi w powietrzu.

Gdyby chociaż pogodę dało się przewidzieć z jaką taką dokładnością, byłoby pół biedy. Wiedząc, kiedy należy unikać wychodzenia, człowiek mógłby coś zaplanować, zawczasu przygotować się na zmianę warunków. Ale wszystko dzieje się zbyt szybko, zbyt nagle są przeskoki, a każda prawda po minucie staje się nieprawdą. Zmarnowałam sporo czasu wypatrując znaków w powietrzu, doszukując się w atmosferze zapowiedzi tego, co nastąpi: badałam kolor i rzeźbę chmur, prędkość i kierunek wiatru, zapachy o różnych porach, konsystencję nocnego nieba, rozciągliwość zachodów, gęstość rosy o świcie. Nic to nie dało. Wieczne korelowanie danych, kojarzenie popołudniowej chmury z wieczornym wiatrem prowadzi tylko do szaleństwa. Wirujesz na karuzeli własnych kalkulacji i akurat gdy spodziewasz się deszczu, słońce świeci przez cały dzień.

Musisz więc być przygotowany na każdą ewentualność. Ale jak to zrobić? Opinie w tej kwestii są skrajnie rozbieżne. Pewna znikoma mniejszość twierdzi, że złą pogodę sprowadzają złe myśli. Jest to pogląd dość mistyczny, zakłada bowiem bezpośrednią przekładalność myśli na zjawiska fizyczne. Zwolennicy tej teorii utrzymują, że z każdej mrocznej czy pesymistycznej myśli powstaje chmura. Kiedy wiele osób naraz oddaje się posępnym rozważaniom, pada deszcz. Stąd rzekomo biorą się raptowne zmiany pogody i właśnie dlatego nikt jeszcze nie zdołał naukowo objaśnić naszego zdziwaczalego klimatu. Ludzie ci uważają, że wystarczy trwać w niezłomnym rozradowaniu, choćby okoliczności były nie wiedzieć jak ponure. Żadnego marszczenia brwi, ciężkich westchnień ani łez. Mówi się o nich „Uśmiechnięci”. Nie ma w Mieście drugiej sekty, która byłaby równie niewinna i dziecinna. Jej członkowie są przekonani, że gdyby większość populacji nawróciła się na ich wiarę, pogoda zaczęłaby się wreszcie wyrównywać i życie stałoby się znośniejsze. Uśmiechnięci nieustannie zatem głoszą dobrą nowinę, stale szukają nowych zwolenników, ale powściągliwość, którą sobie narzucili, pozbawia ich wszelkiej siły perswazji. Rzadko udaje im się kogoś nawrócić, więc ich idea nigdy nie doczekała się próby, bo bez szerokiej rzeszy wyznawców nie nagromadzi się masa krytyczna dobrych myśli. Ale ten brak dowodu tylko utwierdza ich w wierze. Widzę, jak kręcisz głową. Owszem, to śmieszni, zbłąkani ludzie. Lecz żyjąc w tutejszej codzienności nie sposób odmówić ich twierdzeniom pewnej racji, prawdopodobnie nie bardziej absurdalnej niż jakakolwiek inna. W bezpośrednim kontakcie bywają na ogół niezwykle mili. Człowiek przy nich odpoczywa, bo ich łagodność i optymizm to dobre antidotum na powszechną tutaj dość i rozgoryczenie.

Dokładnym przeciwieństwem Uśmiechniętych są Pełzacze. Wierzą, że będzie coraz gorzej,

póki nie okazemy w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości, jak okropnie wstydzimy się swego dawnego życia. Członkowie tej sekty padają na ziemię i nie chcą wstać, póki nie dostaną znaku, że ich pokutę uznano za wystarczającą. Nad naturą owego znaku toczą się długie dysputy. Zdaniem jednych będzie to miesiąc nieustannych deszczów, według innych – cały miesiąc słońca, a niektórzy twierdzą, że znak objawi im się w głębi ich własnych serc. Pełzacze dzielą się na dwa główne odłamy – Psów i Węży. Pierwsi uważają, że łażenie na czworakach dowodzi wystarczającej skruchy, natomiast drudzy bezkompromisowo czołgają się na brzuchach. Między tymi grupami dochodzi czasem do krwawych walk, bo każdy odłam usiłuje zdobyć władzę nad sektą, lecz ani Psy, ani Węże nie mają zbyt wielu zwolenników, a ostatnio cała sekta zdaje się dogorywać.

Większość ludzi nie ma w tych sprawach ustalonych przekonań. Gdyby tak zliczyć wszystkie grupy, które wypracowały w miarę spójne teorie na temat pogody (Bębniarzy, Końcówswiatowców, Wolnoskojarzeniowców), uzbierałaby się zaledwie garść. Moim zdaniem o wszystkim w sumie przesądza czysty traf. Niebem rządzi przypadek, siła tak złożona i tajemna, że nikt nie potrafi wyczerpująco jej objaśnić. Jeśli zmokniesz na deszczu, to twój pech. Zdołasz ująć przed ulewą – tym lepiej. Światopogląd ani wiara nie ma tu nic do rzeczy. Deszcz nie przebiera. Każdego prędzej czy później zmoczy, a gdy już pada, wszystkich zrównuje w prawach: nikt nie jest lepszy ani gorszy, wszyscy są równi, identyczni.

Tyle mam ci do powiedzenia. A kiedy zaczynam, nagle sobie uświadamiam, jak mało rozumiem. Tak niewiele mam liczb, konkretnych faktów z naszego życia w Mieście. Właśnie William miał zdobyć te dane. Gazeta przysłała go tu, żeby wszystkiego się dowiedział i co tydzień nadsyłał relację. Tło historyczne, wzruszające artykuły o ludzkim nieszczęściu i tak dalej. Ale niewiele ich dostaliśmy, prawda? Parę krótkich meldunków, a potem cisza. Skoro Williamowi się nie powiodło, nie bardzo rozumiem, czemu mnie miałyby się udać. Nie wiem, jakim cudem Miasto w ogóle jeszcze funkcjonuje, a nawet gdybym zdołała tego dociec, zajęłoby mi to pewnie tyle czasu, że po drodze sytuacja zupełnie by się zmieniła. Nie wiem na przykład, gdzie hoduje się warzywa i jak je się przywozi do Miasta. Niczego nie umiem ci wyjaśnić i nie spotkałam nikogo, kto by to potrafił. Mówi się czasem o strefach rolniczych na prowincji, gdzieś na zachodzie, ale nie wiadomo, czy jest w tych pogłoskach choćby łydźbło prawdy. Miejscowi gotowi są mówić o wszystkim, a już zwłaszcza o tym, na czym się nie znają. Mniej jednak dziwi mnie ogólny rozpad niż to, że tyle tu jeszcze ocalało. Wiele czasu potrzeba, żeby znikł pewien świat, nawet sobie nie wyobrażasz, jak wiele. Życie dalej się toczy i każdy ogląda scena po scenie swój mały dramat. Owszem, nie ma już szkół; owszem, ostatni film wyświetlono przed pięcioma laty; owszem, wino jest rzadkością i tylko bogaczy na nie stać. Ale czy te właśnie detale marny na myśli, mówiąc: „życie”? Niech wszystko zniknie, to zobaczymy, co zostało.

Może to właśnie jest najciekawsze pytanie: co zostaje, kiedy nie ma już nic, i czy tę ostatnią stratę też przeżyjemy.

Skutki bywają interesujące, często nieoczekiwane. Bezdenna rozpacz sąsiaduje z najbardziej olśniewającą wynalazczością; rozpad idzie w parze z rozkwitem. Tak niewiele zostało, że prawie niczego już się nie wyrzuca i nawet niegdyś pogardzane śmieci na coś się przydają. Wszystko jest względne. Niedostatek zmusza umysł do większej giętkości i każe mu wynajdywać nowe rozwiązania, a ty łapiesz się na tym, że chętnie dajesz posłuch myślom, jakie dawniej w ogóle nie przyszłyby ci do głowy. Chociażby sprawa ludzkich odchodów. Kanalizacja niemal już nie istnieje. Rury zżarła rdza, muszle klozetowe popękały i zaczęły przeciekać, system ścieków prawie nie działa. Zamiast czekać, aż mieszkańcy zdani na siebie zaczną pozbywać się własnych ekskrementów byle jakim sposobem – co szybko doprowadziłoby do chaosu i epidemii – opracowano pewien zawiły system: otóż każdą dzielnicę patroluje zespół zbieraczy ludzkiego nawozu. Trzy razy dziennie przemierzają oni ulice, z turkotem wlokąc i pchając po spękanej nawierzchni zardzewiałe wozy, bijąc w dzwonki, żeby mieszkańcy okolicznych domów wyszli na dwór i wylali do cystern brudy z wiader. Towarzyszy temu, rzecz jasna, przemożny odór, gdy więc tworzono tę instytucję, nikt nie chciał w niej pracować – oprócz więźniów, którym dawano rzekomo wolny wybór: przedłużenie wyroku, jeśli odmówią, lub skrócenie, jeśli się zgodzą. Lecz od tamtej pory zaszły spore zmiany, toteż dziś Fekaliści mają status urzędników państwowych i służbowe mieszkania nie gorsze od mieszkań policjantów. To chyba zresztą całkiem sprawiedliwe rozwiązanie. Gdyby z tą pracą nie wiązały się żadne korzyści, któż zechciałby się nią parać? Widzisz, jak skutecznie w pewnych sytuacjach potrafi działać rząd. Kiedy trzeba usunąć potencjalne źródło zarazy – na przykład trupy i gówno – nasi zarządcy dorównują sprawnością organizacyjną samym Rzymianom i mogą wręcz służyć za wzór precyzji myślenia i zaradności.

Na tym jednak rzecz się nie kończy. Gdy Fekaliści pozbierają odchody, nie wyrzucają ich byle gdzie. Tutejsze zasoby węgla i ropy niebezpiecznie się skurczyły, toteż gówno i śmieci zyskały rangę cennych surowców, z nich bowiem pochodzi spora część energii, którą wciąż jeszcze udaje nam się wytwarzać. Każdy rewir ma własną energownię, a korzystają one wyłącznie z odpadów.auta, domowe grzejniki – wszystko napędzane jest metanem produkowanym w tych zakładach. Rozumiem, że może cię to śmieszyć, ale tutaj nikt nie widzi w tym nic zabawnego. Gówno to poważna sprawa i każdy, kto zostanie przyłapany, gdy chlusta nim na ulicę, natychmiast trafia do aresztu. Recydywistom automatycznie wymierza się karę śmierci. Taki system siłą rzeczy odbiera ci ochotę do żartów. Potulnie wykonujesz polecenia i wkrótce zacznasz je spełniać bez namysłu.

Przede wszystkim liczy się przetrwanie. Żeby żyć, musisz zarabiać, a o pracę niełatwo – w każdym razie o taką, jaka według naszych dawnych pojęć zasługiwałyby na to miano. Bez

koneksji nie możesz ubiegać się o choćby najskromniejszą posadę państwową (niższego urzędnika, odźwiernego, pracownika Transformatorni itp.). To samo dotyczy rozmaitych legalnych i nielegalnych przedsiębiorstw, które kwitną w Mieście (Klinik Eutanazji, podziemnych sieci zaopatrzenia w żywność, kamieniczników-widmo). Bez znajomości nie ma sensu nawet pytać o pracę, więc ludzie, którzy znaleźli się na dnie, najczęściej zostają szperaczami. Jest to robota dla bezrobotnych i na moje oko wykonuje ją dobre dziesięć do dwudziestu procent ludności. Sama przez pewien czas byłam szperaczką i wiem, jaki to prosty mechanizm: gdy raz się wkręcisz w ten kierat, małe szanse, że z niego się wyrwiesz. Ta praca tak cię żyłuje, że nie masz nawet czasu pomyśleć o innym zajęciu.

Szperacze dzielą się na dwie kategorie: śmieciarzy i rupieciarzy. Tych pierwszych jest dużo więcej. Najbardziej pracowici mają nawet szansę jakoś wyżyć, harując przez dwanaście do czternastu godzin na dobę. Miejski system oczyszczania nie działa już od lat, więc Miasto podzielono między kilku prywatnych Śmiecioborców – po jednym na każdy rewir – którzy wykupili od rządu licencje na zbieranie śmieci w poszczególnych dzielnicach. Kto chce zostać śmieciarzem, musi wystarać się u jednego z nich o zezwolenie, płacąc miesięczną stawkę, nierzadko nawet połowę swoich dochodów. Rodzi się więc naturalna pokusa, żeby pracować bez zezwolenia, ale to bardzo niebezpieczne, bo każdy Śmiecioborca ma własną ekipę inspektorów, którzy patrolują ulice i na chybił trafił legitymują śmieciarzy. Gdy nie masz przy sobie odpowiednich zaświadczeń, inspektorzy mogą kazać ci zapłacić grzywnę, a jeśli cię na to nie stać, zostajesz aresztowany. Oznacza to deportację do jednego z obozów pracy na zachód od Miasta – i siedmioletni wyrok. Są tacy, co twierdzą, że w obozach żyje się lepiej niż w Mieście, ale to tylko fantazje. Niektórzy posunęli się nawet do tego, że rozmyślnie narazili się na aresztowanie, ale nigdy ich potem nie widziano.

Załóżmy, że jesteś legalnie zarejestrowanym śmieciarzem i masz papiery w porządku: zbierasz tyle śmieci, ile dasz radę, i wozisz je do najbliższej energowni, gdzie płacą ci od kilograma – śmieszne grosze! – a twój urobek trafia do silosa. Najwygodniej jest wozić towar wózkiem na zakupy, takim jak w starym kraju. Pomyślnie przeszły one wszelkie próby na wytrzymałość i bez wątpienia najlepiej nadają się do tego celu. Większy pojazd za ciężko byłoby pchać, wypełniwszy go po brzegi, a z mniejszym zbyt wiele razy trzeba by jeździć do skupu. (Kilka lat temu wydano nawet specjalną broszurę, która potwierdziła słusność moich tez.) Jest więc ogromny popyt na te wózki i każdy nowy śmieciarz przede wszystkim stawia sobie za cel kupno takiego metalowego koszyka na kółkach. Oszczędzać trzeba miesiącami, czasem latami, ale póki nie masz wózka, nie wyjdiesz na swoje. Rządzi tym zabójcza kalkulacja: ponieważ zyski z pracy są minimalne, rzadko udaje się coś odłożyć, a jeśli nawet, to zwykle za cenę rezygnacji z czegoś niezbędnego – na przykład z jedzenia, bez którego zabraknie ci sił do pracy, a bez niej z kolei nie zarobisz na wózek. Sam widzisz, w czym rzecz: im ciężiej pracujesz, tym

jesteś słabszy; im jesteś słabszy, tym bardziej wycieńcza cię praca. Ale to dopiero początek. Bo gdy już zdobędziesz wózek, musisz bardzo o niego dbać. Ulice są w takim stanie, że po prostu kasują sprzęt, a zwłaszcza koła. Lecz nawet jeśli zdołasz nad tym wszystkim zapanować, musisz spełnić jeszcze jeden warunek, a mianowicie nigdy nie spuszczać wózka z oka. Ponieważ wózki nabrały tak ogromnej wartości, są szczególnie łakomym kąskiem dla złodziei – a nie ma większej tragedii niż utrata wózka. Szperacz przeważnie zdobywa się więc na dodatkowy wydatek i sprawia sobie tak zwaną „pępowinę” – linkę, smycz albo łańcuch – którą się opasuje, a drugi koniec przywiązuje do wózka. Wprawdzie utrudnia to chodzenie, ale warto tę cenę zapłacić. Kiedy wózki toczą się po nierównej nawierzchni, łańcuchy robią tyle hałasu, że szperacze znani są także jako „muzykanci”.

Rupieciarz też musi się zarejestrować i bywa narażony na takie same przypadkowe kontrole jak śmieciarz, ale pracę ma inną, bo śmieciarz zbiera tylko odpadki, a rupieciarz wyławia spośród nich zdalne jeszcze do użytku przedmioty i materiały. Może z nimi robić, co chce, zwykle jednak sprzedaje swoje znaleziska jednemu z Reanimatorów, których agencje rozrzucone są po całym Mieście. Ci prywatni przedsiębiorcy z zupełnego szmelcu robią całkiem przyzwoity towar i sprzedają go na wolnym rynku. Grają wiele ról naraz – handlarzy starzyzną, producentów i po trosze sklepikarzy – a ponieważ w Mieście prawie zanikły inne sposoby produkcji, Reanimatorzy należą tu do najbogatszych, najbardziej wpływowych osobistości i tylko sami Śmieciobiorcy im dorównują. Dobry rupieciarz ma więc szansę nieźle żyć z tej pracy. Musi jednak być szybki i sprytny, musi wiedzieć, gdzie szukać. Najlepiej radzą sobie w tym fachu ludzie młodzi, toteż rzadko widuje się rupieciarzy starszych niż dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat. Ci, którym kiepsko idzie, muszą szybko się rozejrzeć za innym zajęciem, bo rupieciarz nie ma żadnej gwarancji, że jego trud przyniesie jakikolwiek zysk. Natomiast śmieciarz to na ogół osobnik starszy, bardziej konserwatywny, pogodzony z perspektywą monotonnej harówki, daje mu ona bowiem pewne utrzymanie – pod warunkiem, że nie będzie się oszczędzał. W rzeczywistości nic jednak nie jest już pewne, bo we wszystkich branżach szperactwa panuje straszliwa konkurencja. Im większe braki w zaopatrzeniu, tym niechętniej mieszkańcy cokolwiek wyrzucają. Dawniej bez namysłu cisnąłbyś na chodnik skórkę pomarańczy, lecz dziś wiele osób nawet skórki miele na miazgę i zjada. Wystrzępiony podkoszulek, podarte majtki, rondo kapelusza i inne łachmany skrzętnie się chowa, żeby uścibolić z nich nowy strój. Widuje się przechodniów w najbardziej dziwacznych i pstrych kostiumach, a ilekroć mija cię człowiek w ubraniu zszytym z samych łat, jest wysoce prawdopodobne, że jakiś rupieciarz stracił przez niego pracę.

Ja jednak wybrałam właśnie rupieciarstwo. I tak miałam szczęście, że zaczęłam, zanim pieniądze się rozeszły. Nawet kiedy kupiłam licencję (siedemnaście gлотów), wózek (sześćdziesiąt sześć), smycz i nowe buty (pięć i siedemdziesiąt jeden), zostało mi ponad dwieście. I bardzo dobrze, bo miałam dzięki temu większą swobodę ruchów i prawo do błędu,

a w tamtych dniach musiałam korzystać z każdej szansy. Wiedziałam, że już wkrótce tylko ode mnie będzie zależało, czy pójdę na dno, ale tymczasem uczepliłam się czegoś na kształt dryfującej szczapy, wręgi z rozbitego statku.

Z początku szło mi nie najlepiej. Miasto było dla mnie zupełnie nowym terenem i wiecznie w nim się gubiłam. Marnowałam czas na bezowocne wyprawy, zwodzona fałszywymi przecuciami zapuszczałam się w jałowe uliczki, trafiałam gdzie nie trzeba i nie w porę. Nieliczne sukcesy zawdzięczałam przypadkowi. Kierował mną wyłącznie ten niewytłumaczalny mechanizm, który sprawiał, że czasem jednak napotykałam wzrokiem jakąś rzecz i schylałam się po nią. Nie wypracowałam żadnego systemu, choć wydawało mi się, że inni rupieciarze działają dość metodycznie. Nie potrafiłam przewidzieć, dokąd warto pójść, nie miałam pojęcia, co, gdzie i kiedy można znaleźć. Trzeba przeżyć w Mieście wiele lat, żeby rozwinąć w sobie taki instynkt, a ja byłam nowicjuską, naiwną dyletantką, i ledwo umiałam trafić z rewiru do rewiru.

Ale jakoś sobie radziłam. Miałam przecież dwie zdrowe nogi, no i ten młodzieńczy entuzjazm, który dodawał mi sił, nawet gdy wyglądało na to, że marne przede mną widoki. Pomykałam z miejsca na miejsce, bez tchu rzucałam się to tu, to tam, omijając niebezpieczne zaułki i rogatki, miotałam się między jedną ulicą a drugą, nie tracąc nadziei, że tuż za rogiem dokonam jakiegoś nadzwyczajnego odkrycia. To chyba niezbyt naturalne, kiedy człowiek nieustannie patrzy w dół, stale szuka uszkodzonych, porzuconych przedmiotów. Po pewnym czasie musi to jakoś się odbić na działaniu mózgu. Wszystko bowiem straciło tu już tożsamość. Znajdujesz resztki tego, szczątki owego, ale nic do niczego nie pasuje. Lecz gdy ten chaos osiąga szczyt, rzeczywistość – o dziwo – z powrotem się zrasta. Zmiażdżone jabłko i zmiażdżona pomarańcza to taka sama miazga, nie sądzisz? Nie sposób stwierdzić, która suknia jest elegancka, a która nie, gdy obie są w strzępach, prawda? Na pewnym etapie rozpadu przedmioty zamieniają się w błoto, w kurz, w szmaty, i oto powstaje coś całkiem nowego, jakaś cząstka czy też zgęstka materii o nieokreślonej proveniencji: bryła, pyłek, bezański okruch świata – wcielenie nijakości. Jako rupieciarz masz za zadanie odkryć rzecz, nim wejdzie ona w to właśnie stadium rozkładu absolutnego. Nie próbuj szukać przedmiotów w dobrym stanie: jeśli coś takiego znajdziesz, to tylko przypadkiem, dzięki komuś, kto przez nieuwagę ten skarb zgubił. Ale nie trać czasu na szukanie czegoś, co zostało już do reszty zużyte. Musisz utrafić w złoty środek: wypatrywać rzeczy, które poniekąd zachowały jeszcze pierwotny kształt, nawet jeśli z pozoru są już do niczego. Coś, co inni uznali za kompletny szmelc, trzeba poddać dokładnym oględzinom i reanimować. Kawalek sznurka, kapsel od butelki, jedna cała deska z rozbitej skrzynki – w żadnym razie ich nie lekceważ. Wszystko się rozpada, ale nie wszystkie części wszystkich rzeczy, a przynajmniej nie wszystkie naraz. Chodzi o to, żeby wykryć te wysepki nienaruszoności, połączyć je w wyobraźni z innymi podobnymi wysepkami, a tamte z następnymi, tworząc nowe archipelagi materii. Ratuj z morza gratów, co się da, a resztę naucz

się ignorować. I działaj szybko, bo w tym cała sztuka.

Z czasem moje połowy zaczęły wyglądać w miarę zadowolająco. Na ogół były to, rzecz jasna, błahostki i drobiazgi, ale trafiały się zupełnie nieoczekiwane znaleziska: składany teleskop z pękniętą soczewką; gumowa maska potwora Frankensteina; koło od roweru; maszyna do pisania z rosyjską czcionką, prawie jak nowa, tylko bez pięciu klawiszy i odstępnika; paszport mężczyzny nazwiskiem Quinn. Dzięki takim skarbowi udawało mi się przetrwać gorsze dni, a pomału zaczęłam tyle zarabiać u Reanimatorów, że nie musiałam sięgać do skarbonki. Mogłam chyba robić jeszcze lepsze interesy, ale w duchu wyznaczyłam sobie pewne nieprzekraczalne granice. Postanowiłam na przykład nie ruszać zmarłych. Okradanie zwłok to w fachu szperacza jedna z najbardziej dochodowych specjalności, okazja nie do pogardzenia. Mówiłam sobie, że jestem głupia, że grymaszę jak panienka z dobrego domu, której życie niemiłe... wszystko na nic. Owszem, próbowałam. Parę razy byłam bliska tego, żeby się przemóc – ale w ostatniej chwili zabrakło mi odwagi. Pamiętam pewnego starca i kilkunastoletnią dziewczynę: kucnęłam przy nich, moje ręce same wyciągnęły się w ich stronę, usiłowałam sobie wmówić, że to nic takiego... Albo któregoś dnia na ulicy Abażurów, wczesnym rankiem, chłopczyk mniej więcej sześćioletni... Nie potrafiłam, i już. I nie był to nawet rodzaj pychy, że tak niby moralnie postępuję. Po prostu nie umiałam się posunąć aż tak daleko.

Traciłam także i przez to, że trzymałam się na uboczu. Nie zadawałam się z innymi szperaczami, nie nawiązałam żadnych przyjaźni. A w tym fachu człowiek potrzebuje sprzymierzeńców, zwłaszcza dla obrony przed Sępami – szperaczami, którzy żyją z okradania innych szperaczy. Inspektorzy pobbają tym podlecom, skupieni na szperaczach bez licencji. A życie rzetelnego szperacza to nieustająca wolnoamerykanka, jedno pasmo ataków i kontrataków, niepewność dnia ani godziny. Moje łupy podwędzono mi średnio raz na tydzień i w końcu zaczęłam z góry wkalkulowywać te straty jako nieodłączny element pracy. Gdybym miała przyjaciół, może uniknęłabym niektórych napaści. Czułam jednak, że na dłuższą metę nie opłaca się przyjaźnić z tak odrażającą hałastrą jak szperacze, właściwie nie lepsi od Sępów. Mdlilo mnie, kiedy słuchałam, jak knują, chełpią się i łąją. Grunt, że zawsze potrafiłam uratować wózek. Byłam w Mieście od niedawna i miałam jeszcze dość siły, żeby nie dać sobie wyrwać wózka, dość pary w nogach, żeby w razie czego uciec.

Bądź wyrozumiały. Wiem, zbaczam z tematu, ale jeśli nie będę opowiadać, jak mi pamięć dyktuje, raz na zawsze wszystko zapomnę. Mój umysł nie jest już taki jak dawniej. Zrobił się bardziej powolny, leniwy, mniej giętki, męczy mnie podążanie za choćby najprostszą myślą. Tak więc się ta historia zaczyna – czy chcę, czy nie chcę. Słowa nasuwają mi się tylko wtedy, kiedy myślę, że już nigdy ich nie znajdę, dopiero gdy tracę ostatnią nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek zdołam się wypowiedzieć. Co dzień te same smagania, ta sama pustka w głowie, to samo

pragnienie, żeby zapomnieć, a zarazem pamiętać. A kiedy coś wreszcie rusza z miejsca, to nigdzie indziej, tylko zawsze właśnie tu, dopiero na samej krawędzi ołówek raczy pisać. Historia zaczyna się i urywa, robi parę kroków i gubi się, a po każdym słowie jakież cisze, jakież słowa umykają i nikną bezpowrotnie.

Długo starałam się niczego nie wspominać. Żyjąc chwilą łatwiej dawałam sobie radę, łatwiej unikałam ataków melancholii. Widzisz, pamięć to najgorsza pułapka, więc powstrzymywałam się ze wszystkich sił, pilnowałam jak mogłam, żeby moje myśli nie myszkowały po przeszłości. Ale ostatnio tracę kontrolę, chyba co dzień bardziej, i czasem po prostu nie umiem się oderwać: od rodziców, od Williama, od ciebie.

Byłam szalonym dzieckiem, prawda? Dorosłam szybciej niż należy, pozjadałam wszystkie rozumy. A teraz wciąż myślę o tym, jaki ból zadałam rodzicom, jak matka płakała, kiedy jej powiedziałam, że tu jadę. Nie dość, że stracili Williama, mieli utracić i mnie. Proszę cię, gdybyś się z nimi widział, powtórz im, że żałuję. Muszę mieć pewność, że ktoś im ode mnie to powie, a tylko na ciebie mogę liczyć.

Owszem, wielu rzeczy się wstydzę. Chwilami własne życie wydaje mi się serią żalów, złych wyborów, nieodwracalnych błędów. Tak to bywa, kiedy zaczynasz spoglądać wstecz. Ze zgrozą widzisz, kim naprawdę byłeś. Wiem, za późno na przeprosiny. Na wszystko już za późno. Pozostaje tylko pchać wózek. Czytaj więc moje słowa. Prędzej czy później i tak będę chciała wyznać ci całą prawdę, więc chronologia nie gra roli: obojętne, czy o pierwszym zdarzeniu opowiem w drugiej kolejności, a o drugim na końcu. Wszystko naraz kłębi mi się w głowie, skupienie uwagi na jednej rzeczy przez czas dość długi, żeby o niej opowiedzieć, to już spory sukces. Jeśli nie możesz się połapać, to wielka szkoda, ale nie mam wyboru. Muszę brać wszystko tak, jak mi się samo nasuwa.

Nigdy nie odnalazłam Williama, ciągnęła. Może to zresztą oczywiste. Nie odnalazłam go ani nie spotkałam nikogo, kto umiałby powiedzieć, gdzie on jest. Rozsądek podpowiada, że mój brat nie żyje, ale to jeszcze nic pewnego. Nie ma nic na potwierdzenie nawet najbardziej szalonych hipotez, a póki nie dostanę do ręki niezbitego dowodu, wolę o niczym nie przesądzać. Niewiedza wyklucza i nadzieję, i rozpacz. Najlepszym wyjściem jest powątpiewanie – wielkie w tych okolicznościach błogosławieństwo.

Nawet jeśli Williama nie ma w Mieście, może być gdzie indziej. Pamiętaj, że to ogromna kraina, więc nie sposób zgadnąć, dokąd mógł pojechać. Podobno za obszarem rolniczym na zachodzie przez setki kilometrów ciągnie się pustynia. Ale dalej, jak niesie wieść, są inne miasta i łańcuchy górskie, pracują kopalnie i fabryki, olbrzymie przestrzenie sięgają drugiego oceanu. Może jest w tym wszystkim źdźbło prawdy. Jeśli tak, to William mógł spróbować szczęścia – gdzieś tam, hen. Zdaję sobie sprawę, że niełatwo jest wydostać się z Miasta, ale oboje wiemy,

jaki był William. Gdyby istniała choćby najmniejsza szansa ucieczki, umiałby ją wykorzystać.

Nie mówiłam ci, że niespełna tydzień przed wyjazdem widziałam się z naczelnym gazety Williama. Musiało to być ze trzy czy cztery dni przed naszym pożegnaniem, więc nie przyznałam ci się, bo się bałam, że znów zaczniemy się spierać. I bez tego nie najlepiej się między nami działo, a kolejna kłótnia tylko by zepsuła ostatnie wspólne chwile. Błagam, nie gniewaj się. Chybabym tego nie zniosła.

Naczelny – niejaki Bogat – był łysy i brzuchaty, nosił staroświeckie szelki i zegarek z dewizką. Przypominał mi mojego dziadka: był tak samo jak dziadek zapracowany, lizał czubek ołówka, nim zaczął pisać, i emanował roztargnioną dobrotliwością, w której wyczuwało się domieszkę sprytu, uprzejmością, spod której przebijały okrutne błyski. Prawie godzinę przesiedziałam w sekretariacie. Kiedy wreszcie znalazł wolną chwilę, wziął mnie za łokieć i zaprowadził do gabinetu, posadził we własnym fotelu i wysłuchał mojej opowieści. Mówiłam chyba przez pięć, może dziesięć minut, zanim mi przerwał. William od ponad dziewięciu miesięcy nie nadesłał żadnej korespondencji, powiedział. Owszem, w Mieście nie działa już łączność, ale to bez znaczenia. Dobry dziennikarz zawsze znajdzie sposób, żeby przekazać artykuł – a William był najlepszy. Dziewięć miesięcy zupełnego milczenia mogło oznaczać tylko jedno: spotkało go coś złego i już nie wróci. Zwięźle, bez ogródek. Wzruszyłam ramionami i odparłam, że to tylko domysły.

– Nie jedź tam, mała – powiedział. – To szaleństwo.

– Nie jestem mała – odrzekłam. – Mam dziewiętnaście lat i jestem bardziej samodzielna niż się panu zdaje.

– Dla mnie możesz mieć choćby i sto. Stamtąd nikt nie wraca. Cholera, przecież to koniec świata.

Wiedziałam, że ma rację. Ale podjęłam już decyzję i nic nie mogło mną zachwiać. Widząc mój upór zmienił taktykę.

– Słuchaj – rzeki. – Jakiś miesiąc temu posłałem tam drugiego reportera. Niedługo powinienem mieć od niego wiadomość. Może byś poczekała? A nuż dowiesz się wszystkiego bez tej całej fatygi?

– Co to ma wspólnego z moim bratem?

– Owszem, ma. Jeżeli facet się wywiąże, dowie się przy okazji, co się stało z Williamem.

Tak mówił, ale dobrze wiedział, że tego nie kupię. Trwałam przy swoim, nie nabrałam się na jego ojczulkowate miny, więc pomału zaczął rezygnować. Podał mi nazwisko tego drugiego dziennikarza, chociaż wcale go o to nie prosiłam, a na zakończenie otworzył szufladę segregatora, który stał za biurkiem, i wyjął fotografię młodego mężczyzny.

– Może warto, żebyś to z sobą zabrała – powiedział, rzucając ją na biurko. – Nigdy nie wiadomo.

Było to zdjęcie drugiego dziennikarza. Zerknęłam na nie i wsunęłam je do torby, żeby zrobić Bogatowi przyjemność. Na tym skończyła się nasza rozmowa. Wynik? Remis: żadne z nas nie ustąpiło ani o krok, Bogat był pewnie zły, ale też chyba trochę pod wrażeniem.

– Tylko pamiętaj, że cię ostrzegałem – powiedział.

– Nie zapomnę – obiecałam. – Kiedy wrócę z Williamem, przyjdę tu i przypomnę panu dzisiejszą rozmowę.

Chciał coś dodać, ale się rozmyślił. Westchnął, cicho klasnął dłońmi o blat biurka i wstał.

– Nie traktuj mnie jak wroga – rzekł. – Po prostu uważam, że robisz błąd. To jeszcze nie wrogość.

– Może i nie. Ale źle robi, kto nic nie robi. Każdemu trzeba dać szansę, a pan nie powinien wyciągać pochopnych wniosków, skoro sam pan nie wie, co pan właściwie mówi.

– Tak się niestety składa – odparł – że wiem, co mówię.

Potem chyba podaliśmy sobie ręce, a może tylko popatrzyliśmy na siebie ponad biurkiem. Odprowadził mnie przez pokój prasowy do windy. Sialiśmy w hallu nic nie mówiąc, nawet na siebie nie patrząc. Kołysał się na piętach, nucąc jakąś mrużankę bez wyraźnej melodii. Było jasne, że myśli już o czym innym. Kiedy drzwi się otworzyły i wsiadłam do windy, rzekł znużonym tonem:

– Niech ci się w życiu układa, mała.

Nim zdążyłam odpowiedzieć, drzwi się zamknęły i winda ruszyła w dół.

Fotografia w końcu bardzo się przydała. Właściwie nie miałam zamiaru jej wziąć, ale w ostatniej chwili namyśliłam się i zapakowałam ją razem z resztą rzeczy. Oczywiście nie wiedziałam jeszcze o zniknięciu Williama. Spodziewałam się, że zastanę jego następcę w lokalu gazety i tam właśnie rozpocznę poszukiwania. Ale wszystko ułożyło się inaczej. Kiedy dotarłam do trzeciego rewiru i zobaczyłam, co się stało z całą tą dzielnicą, nagle zrozumiałam, że mam już tylko fotografię nieznanego – ostatnie ogniwo między mną a Williamem.

Nieznanomy nazywał się Samuel Farr, lecz nic poza tym o nim nie wiedziałam. Nie raczyłam spytać Bogata o szczegóły, a tu na miejscu zabrakło mi punktów zaczepienia. Nazwisko, twarz – i tyle. Gdybym miała więcej zdrowego rozsądku i pokory, oszczędziłabym sobie wielu kłopotów. W końcu jednak spotkałam Sama, ale żadna w tym moja zasługa. Był to czysty traf, jeden z tych uśmiechów fortuny, które zsyła nam niebo. Minęło zresztą wiele czasu, nim doszło do tego spotkania – wolałabym nie pamiętać, jak wiele.

Pierwsze dni były najtrudniejsze. Snułam się jak lunatyczka, nie wiedząc, gdzie jestem, nie śmiąc do nikogo się odezwać. Cały bagaż sprzedałam Reanimatorowi, więc przez dłuższy czas starczało mi na jedzenie, ale nawet kiedy zostałam już zawodową szperaczką, wciąż nie miałam gdzie mieszkać. Spałam pod gołym niebem bez względu na pogodę, co noc wynajdując nowy

ką. Bóg jeden wie, jak długo trwał ten okres, niewątpliwie najgorszy w moim życiu: nigdy tak mało nie brakowało, żebym się wykończyła. Pewnie co najmniej dwa, trzy tygodnie – a może kilka miesięcy. Byłam cała zboląta i kompletnie przez to odmóżdżona. Zupełnie otepiałam, z mojego życia wewnętrznego ocalał tylko instykt i egoizm. Przydarzały mi się okropne rzeczy i sama nie wiem, jak zdołałam przetrwać ten czas. O mało nie zgwałcił mnie Mytnik na rogu Słownikowej i Bulwaru Muldoona. Pewnej nocy ukradłam jedzenie starcowi, który próbował mnie obrabować na dziedzińcu dawnego Teatru Hipnotyzerów: wyrwałam mu miskę z owsianką i nawet mnie potem nie gryzło sumienie. Z nikim się nie przyjaźniłam, nie miałam z kim porozmawiać ani razem zjeść. Gdyby nie fotografia Sama, chyba bym nie przeżyła. Świadomość, że on jest gdzieś w Mieście, dodawała mi otuchy. Ten człowiek ci pomoże, mówiłam sobie. Kiedy go wreszcie odnajdziesz, wszystko się zmieni. Pewnie ze sto razy dziennie sięgałam do kieszeni po zdjęcie. W końcu tak się pogięło i pomarszczyło, że ledwie dawało się rozpoznać twarz. Ale wtedy znałam ją już na pamięć i fotka nie była mi właściwie potrzebna. Nosilałam ją przy sobie jak amulet, miniaturową tarczę przeciw rozpaczy.

A potem los się do mnie uśmiechnął. Minał miesiąc, może dwa, odkąd zostałam rupieciarką, dokładnie nie pamiętam. Szłam właśnie skrajem piątego rewiru, niedaleko dawnego Placu Włókien, gdy ujrzałam wysoką kobietę w średnim wieku. Z trudem pchała wózek na zakupy, który skakał przed nią po kamieniach i wybojach, ale myślami wyraźnie była gdzie indziej. Słońce jasno świeciło tego dnia, pałając tym szczególnym blaskiem, który oślepia cię i sprawia, iż rzeczy stają się niewidzialne, w powietrzu wisiał żar, pamiętam jak dziś, taki żar, że można było dostać zawrotu głowy. Ledwo kobieta dopchała wózek na środek jezdni, zza rogu wypadła grupa Biegaczy – dwunastu, może piętnastu. Gnali zwartym szykiem, z tym swoim monotonnym wrzaskiem przedśmiertnej ekstazy. Zobaczyłam, że kobieta spogląda na nich, jakby nagle wyrwana z rozmarzenia, lecz zamiast czym prędzej usunąć się z drogi, zastyga w miejscu niczym sarna oślepiona blaskiem samochodowych reflektorów. Nie wiedzieć czemu – do tej pory tego nie rozumiem – wyplątałam się z „pępowiny”, puściłam się biegiem, i pociągnęłam za sobą nieznajomą, a w parę sekund później minęli nas Biegacze. Niewiele brakowało, żeby ją stratowali na śmierć.

W ten sposób poznałam Izabelę. Dopiero wtedy zaczęło się moje prawdziwe życie w Mieście – na dobre i na złe. Cały poprzedni okres to tylko prolog, raczkowanie, sieczka dni i nocy, plątanina myśli dziś już zapomnianych. Gdybym wtedy nie uległa temu irracjonalnemu odruchowi, historia, którą ci opowiadam, potoczyłaby się całkiem inaczej. Wziąwszy pod uwagę, w jakiej byłam wówczas formie, nie byłoby pewnie co opowiadać.

Leżałyśmy w rynsztoku, zdyszane, wczepione w siebie. Kiedy ostatni Biegacz zniknął za rogiem, Izabela zaczęła chyba rozumieć, co się stało. Usiadła, rozejrzała się, popatrzyła na mnie i łzy wolno spłynęły jej po policzkach. Przeżyła chwilę straszliwego oprzytomnienia – lecz nie

dlatego, że śmierć minęła ją o włos: po prostu dopiero wtedy poznała, gdzie jest. Zrobiło mi się jej żal, no i trochę straszno. Kim jest ta chuda, drżąca kobieta o pociągłej twarzy i zapadniętych oczach – a ja czemu właściwie leżę z nią na ulicy? Sprawiała wrażenie na wpół obłąkanej, więc gdy tylko wrócił mi oddech, chciałam uciec.

– Och, drogie dziecko – powiedziała nieznajoma, z wahaniem wyciągając dłoń ku mojej twarzy. – Skaleczyłaś się, dziecinko. Skoczyłaś staruszce na pomoc i zrobiłaś sobie krzywdę. A wiesz, dlaczego? Dlatego, że ja przynoszę pecha. Wszyscy to wiedzą, ale nie mają serca mi powiedzieć. A ja i tak wiem. Wiem wszystko, nawet to, czego nikt mi nie mówi.

Kiedy padałyśmy na ziemię, zawadziłam głową o kamień, więc z lewej skroni ciekła mi krew: nic poważnego, nic takiego, żeby trzeba było wpadać w panikę. Miałam już się pożegnać i odejść, ale na myśl o rozstaniu z nieznajomą poczułam bolesne ukłucie.

Może powinnam odprowadzić ją do domu, pomyślałam, dopilnować, żeby po drodze nie spotkało jej nic złego. Pomogłam jej wstać i przyprowadziłam wózek, który został po drugiej stronie placu.

– Ferdynand będzie wściekły – powiedziała. – Trzeci dzień z rzędu wracam z pustymi rękami. Jeszcze parę takich dni i będzie po nas.

– Tak czy owak powinna pani chyba wrócić do domu – stwierdziłam. – Przynajmniej na troszkę. W tej chwili i tak nie ma pani siły pchać wózka.

– Ale Ferdynand dostanie szału, kiedy zobaczy, że znowu nic nie znalazłam.

– Spokojna głowa – odparłam. – Sama mu wytłumaczę, co się stało.

Oczywiście nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi, ale powodował mnie jakiś przemożny impuls, nagła fala litości, głupie pragnienie, żeby zaopiekować się tą kobietą. Niewykluczone, że stare opowieści o ratowaniu cudzego życia mówią prawdę: gdy kogoś uratujesz, stajesz się za niego odpowiedzialny, i czy chcesz, czy nie, łączy was odtąd dożgonna więź.

Powrót do jej domu zabrał nam blisko trzy godziny. Normalnie trwałoby to dwa razy krócej, ale Izabela szła tak wolno, tak niepewnie, że słońce pomału już zachodziło, gdy wreszcie stanęliśmy u celu. Izabela nie miała „pępowiny” (podobno zgubiła ją kilka dni wcześniej), toteż wózek co chwila wymykał jej się z rak i odjeżdżał, podskakując na wybojach. W pewnym momencie jakiś człowiek o mało go nie ukraść, więc postanowiłam jedną rękę trzymać na jej wózku, a drugą na własnym, co jeszcze bardziej spowolniło nasz marsz. Idąc skrajem szóstego rewiru ominęłyśmy ostrym łukiem pagórki rogatek w Alei Pamięci i powlokłyśmy się przez Sektor Urzędowy na Piramidalnej, tam gdzie mieszczą się dziś koszary policji. Izabela sporo mi o sobie opowiedziała – po swojemu, czyli chaotycznie, skacząc z tematu na temat. Jej mąż zarabiał dawniej malowaniem szyldów, ale wiele firm zbankrutowało, a przynajmniej tak

podupadło, że nie mogło już sobie pozwolić na szyld, więc Ferdynand od kilku lat był bez pracy. Przez pewien czas ostro pił: pieniądze podkradał w nocy z torebki Izabeli albo kręcił się koło gorzelni w czwartym rewirze i czasem kapnęło mu parę gлотów od robotników, których zabawiał tańcem i opowiadaniem śmiesznych historyjek, aż w końcu paru mężczyzn pobiło go i odtąd zaszył się w domu. Zaparł się, że nie wyjdzie, i dzień za dniem przesiadywał w małym mieszkanku, prawie się nie odzywając, nie dbając o to, czy on sam i Izabela w ogóle przetrwają. Uznawszy, że sprawy praktyczne niegodne są jego uwagi, pozostawił je żonie i bez reszty poświęcił się swojemu hobby: montowaniu miniaturowych statków w pustych butelkach.

– Są takie piękne – powiedziała Izabela – że właściwie ma się ochotę wszystko mu wybaczyć. Takie piękne stateczki, doskonale miniatutki. Człowiek aż chciałby się skurczyć do rozmiarów szpilki, zakraść się na pokład i odpłynąć... Ferdynand jest artystą – dodała – więc zawsze był zmienny, nieobliczalny. Raz w euforii, raz w dołku: byle co wystarczało, żeby go pchnąć ze skrajności w skrajność. Ale gdybyś widziała, jakie malował szyldy! Zamówienia sypały się zewsząd, najrozmaitsze firmy chciały mieć szyld spod jego pędzla: małe domy towarowe, sklepy spożywcze, kioski z papierosami, jubilerzy, restauracje, księgarnie, mogłabym wyliczać bez końca. Miał własne atelier w śródmieściu, w dzielnicy starych magazynów: uroczy kącik. Dziś nie ma już śladu po tej pracowni, znikły piły, pędzle, puszki farb, zapach trocin i lakieru. Podczas drugiej czystki w ósmym rewirze wszystko to przepadło, raz na zawsze.

Nie rozumiałam połowy z tego, co mówiła, ale uzupełniając luki własną wyobraźnią i dopowiadając sobie to i owo ustaliłam, że miała troje lub czworo dzieci, z których jedne już nie żyły, a inne uciekły z domu. Kiedy Ferdynand stracił pracę, została szperaczką. Na zdrowy rozum kobieta w tym wieku powinna się zapisać do śmieciarzy, lecz ona, o dziwo, wybrała rupieciarstwo. Stwierdziłam bez ogródek, że gorzej już chyba zrobić nie mogła. Brakowało jej szybkości, sprytu, kondycji. Przyznała mi rację, ale zapewniła mnie, że jakoś nadrabia te niedostatki: pewien osobliwy instynkt mówi jej, dokąd i kiedy warto pójść, szczególny węch pozwala wynajdywać cenne przedmioty w miejscach, które inni lekceważą, jakiś wewnętrzny magnes wskazuje czasem właściwy kierunek. Nie potrafiła tego wytłumaczyć, ale faktem jest, że trafiło jej się parę zdumiewających znalezisk: cała torba koronkowej bielizny, dzięki której ona i Ferdynand przeżyli prawie miesiąc, saksofon w idealnym stanie, zapieczętowane pudło skórzanych pasków, nowiuteńkich, jakby prosto z fabryki (choć ostatnia taka fabryka upadła przed z górą pięćmioma laty), Stary Testament na papierze ryżowym z pozłacanymi brzegami, oprawiony w cielejącą skórę. Wszystko to jednak są stare dzieje, a od pół roku stopniowo traci ten dar. Jest już bardzo zmęczona, nie może długo stać ani chodzić, i taka rozkojarzona, że myśli o wszystkim, tylko nie o pracy. Prawie codziennie stwierdza nagle, że idzie zupełnie nie znaną ulicą, skręca za róg nie wiedząc, gdzie przed chwilą była, wchodzi do jednej dzielnicy, a myśli, że jest w innej.

– To istny cud, że się akurat zjawiłaś – powiedziała, kiedy przystanęliśmy przed jakimiś drzwiami, żeby chwilę odpocząć. – Cud, ale nie przypadek. Tak długo się modliłam, że Bóg w końcu zesłał mi cię na ratunek. Wiem, w dzisiejszych czasach już się nie mówi o Bogu, ale nic na to nie poradzę, że myślę o nim dzień w dzień, modlę się co noc, kiedy Ferdynand dawno śpi, w głębi duszy nieustannie przemawiam do Boga. Odkąd mąż przestał się do mnie odzywać, Bóg jest moim jedynym przyjacielem i słuchaczem. Rozumiem, że nie może marnować czasu dla takiej staruchy jak ja, ale to przecież dżentelmen, no i ma mnie na liście. Dziś złożył mi wreszcie wizytę. Przysłał cię na znak, że mnie kocha. Jesteś słodką dziecinką zesłaną od Boga, więc będę się tobą opiekować, zrobię dla ciebie, co tylko zdołam. Dość już spania na dworze, dość włóczenia się po ulicach od rana do nocy, dość złych snów. Wszystko to już skończone, słowo ci daję. Odtąd zawsze będziesz miała dach nad głową i nie zaznasz głodu, W ten sposób odwdzięczę się Bogu za to, że wysłuchał moich modłów, słodka dziecinko, miła Anno, posłanniczko Boża.

Ich dom stał w Cyrkowym Zaułku, w głębi labiryntu wąskich uliczek i gliniastych ścieżek, które biegły zygzakiem przez środek drugiego rewiru. Była to najstarsza część Miasta, a ja prawie nigdy do niej nie zaglądałam. Szperacz nie miał szans tam się obłowić, a zresztą bałam się zgubić w płataninie zaułków. Domy były przeważnie drewniane, co dawało rozmaite dziwne efekty. Podczas gdy gdzie indziej ze stosów rozsypujących się cegieł sterczały poszczerbione kamienie, a każdą powierzchnię pokrywała warstwa kurzu, tutaj wszystko chyliło się i osiadało, uginało pod własnym ciężarem i z wolna wkręcało w ziemię. W innych dzielnicach domy tak jakby stopniowo się niszczyły, lecz w drugim rewirze raczej wędły niczym słabnący starcy – artretycy, którzy ledwo już stoją. Wiele dachów zapadło się, gonty zgniły i zrobiły się gąbczaste, tu i ówdzie całe domy pochylały się na kształt ogromnych równoległoboków i trwały w ryzykownej pozie, o krok od ostatecznego upadku; zdawało się, że wystarczy trącić je palcem, chuchnąć, a runą z trzaskiem.

Ale dom Izabeli był ceglany: pięć pięter, na każdym cztery małe mieszkanie, ciemna klatka schodowa z wydeptanymi, chwiejnymi stopniami, odrapane ściany. Mrówki i karaluchy grasowały bez przeszkód, a wszędzie cuchnęło nieświeżym jedzeniem, brudną odzieżą i kurzem. Lecz sam budynek wydawał się dość solidny, więc dziękowałam losowi, że tak dobrze trafiłam. Zauważ, jak szybko zmienia się nasz odbiór sytuacji. Gdyby przed wyjazdem z kraju ktoś mi powiedział, że zamieszkać w takim domu, nigdy bym nie uwierzyła. Teraz jednak uznałam to za błogosławieństwo, wspaniały dar. Nędza, komfort – pojęcia względne. Zaledwie trzy czy cztery miesiące po przyjeździe do Miasta gotowa byłam uznać tę norę za swój nowy dom i nawet się nie wzdrygnąć.

Ferdynand nie robił większych trudności, kiedy Izabela oświadczyła, że się wprowadzam.

Obrała chyba zresztą właściwą taktykę. Nie pytała go o zgodę, tylko poinformowała, że odtąd mieszkamy we troje. Już dawno przerzucił na nią brzemię wszelkich praktycznych decyzji, więc gdyby nagle zechciał pokazać, że akurat w tej jednej sprawie jego zdanie też się liczy, musiałby tym samym wziąć na siebie większą odpowiedzialność za pozostałe sfery życia. Izabela nie wspomniała też o Bogu, choć przy mnie tak się rozwodziła nad jego rolę. Zwięźle opowiedziała mężowi, jak ją uratowałam, dodając, gdzie i kiedy to się stało, bez żadnych ozdobników ani komentarzy. Słuchał w milczeniu, z udawanym roztargnieniem, rzucając czasem ku mnie bojaźliwe spojrzenia, przeważnie jednak patrzył w stronę okna, jakby opowieść żony go nie dotyczyła. Kiedy Izabela umilkła, po chwili namysłu wzruszył ramionami, po raz pierwszy spojrzął mi w oczy i rzekł:

– Niepotrzebnie się fatygowałaś. Stara chabeta lepiej by na tym wyszła, gdyby ją szlag trafił.

Nie czekając, aż odpowiem, usiadł na krześle w kacie pokoju i zajął się swoim stateczkiem.

Nic był aż taki okropny, jak się spodziewałam, przynajmniej nie od razu. Pomagać nie pomagał, ale wbrew moim oczekiwaniom nie okazywał jawnej niechęci. Czasem złościł się i narowił, lecz były to krótkie napady, na ogół zaś milczał uparcie, nie dając się wciągnąć w rozmowę, i tylko siedział zaszępioty w swym kącie jak zbłąkany zły duch. Był brzydki i nie miał w sobie nic, co by tę brzydotę równoważyło – ani odrobiny wdzięku, wielkoduszności, uroku: chudy jak szczapa, zgarbiony, z haczykowatym nochem, z resztkami kręconych włosów, które dziko sterczały we wszystkie strony, brudne, zaniedbane. Miał chorobliwie, wręcz nieziemsko bladą cerę, tym bledszą przez kontrast z czarnymi włosami, które porastały mu ramiona, nogi i pierś. Stale nie ogolony, w łachmanach, w butach nie do pary, wyglądał jak wycięty z komiksu o kloszardach – albo jakby obsesja na punkcie żaglowców uczyniła zeń w końcu rozbitka, mieszkańca bezludnej wyspy. A może było odwrotnie? Może najpierw poczuł się rozbitkiem, a potem zaczął budować statki, żeby dać znać o swoim cierpieniu, posłać zaszyfrowaną prośbę o ratunek? Nie znaczyło to jednak, że spodziewa się odpowiedzi. Nigdy i nigdzie nie miał już podróżować i dobrze o tym wiedział. W rzadkim przypływie łaskawości zwierzył mi się, że od ponad czterech lat na krok nie rusza się z mieszkania.

– Tam wszędzie czyha śmierć – dodał, wskazując ręką okno. – W tych wodach grasują rekiny, a nawet kaszaloty. Mogą cię połknąć za jednym zamachem. Po mojemu najlepiej jest trzymać się brzegu, trzymać się brzegu i nadawać jak najwięcej sygnałów dymnych.

Izabela ani trochę nie przesadziła, mówiąc o jego zdolnościach. Każdy stateczek był prawdziwym cudem szkutnictwa, wyrzeźbionym z niebywałą precyzją, genialnie zaprojektowanym i zmontowanym. Póki Ferdynandowi starczało materiałów – były to kawałki drewna i papieru, klej, sznurek i co pewien czas nowa butelka – praca pochłaniała go bez reszty, więc nie robił w domu zbytniego zamieszania. Przekonałam się, że najlepiej się między nami ułoży, jeśli będę go po prostu ignorowała. Początkowo wyłączyłam ze skóry, żeby dowieść swoich

dobrych intencji, lecz on tak już się okopał w swoim kącie, doszczętnie zbrzydzonej sobą i światem, że zabiegi te spełzły na niczym. Życzliwe słowa były dla niego pustym dźwiękiem, a jeszcze częściej – groźbą. I tak na przykład popełniłam okropny błąd, gdy głośno zachwycając się jego statkami wspomniałam, że można by za nie wziąć mnóstwo pieniędzy, jeśliby zechciał je sprzedać. Zerwał się z krzesła, oburzony, i zaczął się miotać po pokoju, wymachując mi szczyrykiem przed nosem.

– Miałbym sprzedać flotę! – krzyczał. – Oszalałaś? Po moim trupie! Nie rozstanę się z ani jednym statkiem, nigdy w życiu. Toż to jawny bunt! Rebelia! Jeszcze jedno słowo i wylądujesz za burzą!

Prócz budowania statków miał chyba tylko jedną namiętność: polowanie na myszy. Nocami słyszeliśmy, jak chroboczą w ścianach, obgryzając jakieś mikroskopijne okruszki, bo nic bardziej posilnego znaleźć przecież nie mogły. Czasem robiły taki harmider, że wyrwały nas ze snu, ale były sprytne i niełatwo dawały się złapać. Ferdynand zmajstrował pułapkę z siatki i listewek i co wieczór sumiennie ją zastawiał, kładąc na przynętę jakiś drobny kąsek. Pułapka nie zabijała myszy. Kiedy do niej wchodziły, zwabione wonią jedzenia, drzwiczki zatrzaśkiwały się, więżąc ofiarę. Zdarzało się to zaledwie parę razy w miesiącu, lecz ilekroć Ferdynand budząc się rano stwierdzał, że mysz się złapała, wariował z radości: skakał wokół klatki, klaszcząc w dłonie i parszcząc głośnym śmiechem z gardła pełnego polipów. Chwytał mysz za ogon i melodycznie opiekał ją nad ogniem buchającym z pieca. Był to okropny widok, bo zwierzątko wiło się i piszczalo jak szalone, ale Ferdynand na to nic zważał, całkowicie zaabsorbowany, tylko bełkotał i rechotał na myśl o rozkoszach mięsożerstwa. Wystawne śniadanie dla kapitana, obwieszczając, kiedy już opiekał mysz, i zaczynał ją chrupać razem z futrem, śliniąc się i demonicznie uśmiechając. Bardzo przy tym uważał, żeby wypluć kości, które następnie suszył na parapecie, a potem robił z nich maszty, flagsztoki albo harpuny. Pewnego razu wstawił wiosła z mysich żeber w burty galery. Kiedy indziej umocował mysią czaszkę, jako galion na dziobie pirackiego szkunera. Był to zresztą bardzo zgrabny model, chociaż wzdrygałam się z obrzydzenia, ilekroć na niego patrzyłam.

W pogodne dni Ferdynand stawiał krzesło przy otwartym oknie, kładł poduszkę na parapecie i godzinami przesiadywał z brodą podpartą dłońmi, wyglądając na ulicę. Nie sposób było zgadnąć, co sobie myśli, bo nie odzywał się ani słowem, lecz w kilka godzin po takim czuwaniu zaczynał wściekle gulgotać, tryskając potoki cni wojowniczych bredni.

– Zetrzeć by ich na miazgę – warczał. – Zetrzeć, a prochy rozsypać. Świnie, wszyscy co do jednego! Gnij mnie do piachu, pięknościory wrogu! Pusz się i tusz, nigdy mi tuś mi nie powiesz.

Tego rodzaju nonsensy łąły się z niego niby jad nagromadzony we krwi. Bajdurzył i trajkotał przez piętnaście, dwadzieścia minut, po czym milkł bez najmniejszego ostrzeżenia, jakby uciął raptem sztorm szalejący w jego duszy.

Jego statki z miesiąca na miesiąc coraz bardziej malały. Z flaszek po whisky i piwie przerzucił się na buteleczki po syropie i probówki, potem na flakoniki po perfumach, i w końcu zaczął budować stateczki niemal mikroskopijne. Nie pojmowałam, czemu tak się mozoli, on jednak nigdy nie miał dość tej pracy, a im mniejszy był statek, tym bardziej Ferdynand się do niego przywiązywał. Kiedy parę razy zbudziłam się nieco wcześniej niż zwykle, zobaczyłam, że siedzi przy oknie i bawi się jak sześciolatek, śmiga w powietrzu okręcikiem, żegluje po urojonym oceanie i mruży do siebie na głosy, jakby odgrywał kolejne role w zabawie własnego pomysłu. Biedny dureń.

– Im mniejszy, tym lepszy – oświadczył pewnego wieczoru, chełpiąc się swoim artyzmem, – Kiedyś zbuduję taki mały, że w ogóle nie będzie go widać. Jeszcze się przekonasz, z kim masz do czynienia, ty dziwko pyskata. Tyci stateczek, całkiem niewidzialny! Napiszą o mnie książkę, taki się zrobię sławny. Dopiero wtedy zobaczysz, co jest co, szparo wredna. Nawet się nie obejrzysz, jak cię załatwię. Ha, ha! Ani się spostrzeżesz!

Mieszkaliśmy we troje w pokoju średniej wielkości, jakieś pięć metrów na siedem. Był tam zlew, piecyk turystyczny, stół, dwa – potem trzy – krzesła, a w rogu za cienką zasłonką stał nocnik. Ferdynand i Izabela sypiali osobno, każde w swoim kącie, i ja także dostałam swój. Nie mieliśmy łóżek, ale podłożyłam sobie koc i nie narzekałam na niewygodę. W porównaniu z miesiącami spędzonymi pod gołym niebem było mi bardzo wygodnie.

Odkąd się pojawiłam, Izabeli znacznie ulżyło i przez pewien czas wyglądało na to, że pomału wracają jej siły. Przedtem musiała wszystko robić sama – szukać towaru na ulicy, chodzić do Reanimatorów, kupować żywność na miejskim targowisku, gotować, rano wylewać brudy z nocnika. Dzięki mnie mogła przynajmniej z kimś dzielić ciężar pracy. W pierwszych tygodniach wszystko robiłyśmy razem. Patrząc wstecz stwierdzam, że był to chyba nasz najlepszy wspólny czas: jeszcze przed wschodem słońca wychodziłyśmy we dwie na ulicę i w porannej ciszy przemierzałyśmy opustoszałe zaułki i rozległe bulwary. Była wiosna, chyba koniec kwietnia, pogoda zwodniczo przyjazna, taka łaskawa, jakby nigdy już nie miało padać, jakby ziąb i wiatr odeszły raz na zawsze. Brałyśmy tylko jeden wózek. Popychałam go, idąc pomału, krok w krok z Izabelą, i czekałam, aż ona rozejrzy się w sytuacji i oceni szanse. Potwierdziło się wszystko, co mi o sobie powiedziała. Miała niebywały talent i nawet teraz, w gorszej formie, biła na głowę wszystkich rupieciarzy, których widywałam w akcji. Czasem myślałam, że jest wiedźmą, prawdziwą czarownicą, i dokonuje znalezisk za pomocą magii. Pytałam ją raz po raz, jak to robi, ale niewiele potrafiła mi wyjaśnić. Milkła, przez chwilę poważnie się zastanawiała, po czym rzucała jakieś ogólne zdanki o tym, że trzeba być wytrwałym i pod żadnym pozorem nic tracić nadziei, ale nic mi te mętne wyjaśnienia nie dały. Wszystko, czego się od niej w końcu nauczyłam, zawdzięczam nie słuchaniu, lecz

podpatrywaniu, swoistej osmozie, tak jak uczymy się języków obcych. Ruszałyśmy byle gdzie, skręcając to tu, to tam, bez planu, póki intuicja nie podpowiedziała Izabeli, gdzie warto szukać. Biegłam wtedy we wskazane miejsce, a ona pilnowała wózka. Wziąwszy pod uwagę ogólny niedostatek, jaki wówczas panował, trafiały nam się całkiem niezłe łupy, a w każdym razie wystarczająco obfite, żeby przeżyć z dnia na dzień, i nigdy nic było cienia wątpliwości co do tego, że tworzymy znakomity tandem. Na ulicy niewiele rozmawiałyśmy. Izabela często mnie ostrzegała, że to niebezpieczne. Nie myśl o niczym, radziła. Wtop się w Miasto, udawaj, że nie masz ciała. Żadnych rojeń; ani smutku, ani szczęścia; nic, tylko ulica, a ty bądź wewnątrz pusta i skup się wyłącznie na tym, żeby stawiać krok za krokiem. Ze wszystkich jej rad tę jedyną naprawdę zrozumiałam.

Lecz nawet przy mojej pomocy i znacznie skróconej marszrucie zaczęło jej w końcu brakować sił. Z coraz większym trudem wychodziła na ulice, coraz bardziej męczyło ją wielogodzinne dreptanie, aż pewnego ranka nastąpiło to, co nastąpić musiało: rano tak ją bolały nogi, że nie mogła wstać z łóżka, więc wyszłam sama. Odtąd pracowałam w pojedynkę.

To są fakty. Opowiadam ci o nich po kolei. Wzięłam we własne ręce prowadzenie domu. Wszystkim kierowałam, sama wszystko robiłam. Wiem, będziesz się śmiał. Pamiętasz przecież, jaki miałam dom: kucharka, pokojówka, czyste ubrania złożone w kostkę i poukładane w szufladach komody w każdy piątek. Nie musiałam kiwnąć palcem. Świat był mi dany i ani razu się nie zastanowiłam, czemu zawdzięczam lekcje gry na fortepianie, lekcje rysunku, letnie wakacje nad jeziorem, zagraniczne wycieczki z przyjaciółmi. Nagle stałam się wołem roboczym, jedyną podporą dwojga ludzi, których w swoim dawnym życiu w ogóle nie byłabym spotkała: Izabeli, do obłędu czystej i dobrej; Ferdynanda, dryfującego wśród bałwanów swej grubiańskiej, bezrozumnej furii. Wszystko to wydawało się takie dziwne, takie nieprawdopodobne. Lecz Izabela uratowała mi życie: było to równie oczywiste jak fakt, że przedtem ja ją uratowałam, więc nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby nie zrobić wszystkiego, co w mojej mocy. Ze zbłąkanej sierotki, którą przygarnęli prosto z ulicy, stałam się jedyną zaporą dzielącą ich od ostatecznego upadku. Beze mnie nie przeżyliby dziesięciu dni. Nie chwaląc się, po raz pierwszy w moim życiu ktoś na mnie polegał i się nie zawiódł.

Z początku Izabela upierała się, że nic jej nie jest, że musi tylko odpocząć kilka dni.

– Stanę na nogi, zanim się spostrzeżesz – mawiała, kiedy rano wychodziłam. – To chwilowa słabość.

Lecz wkrótce rozwiały się złudzenia. Mijał tydzień za tygodniem, a jej stan się nie zmieniał. W połowie wiosny zrozumiałyśmy, że poprawy nie będzie. Najgorszym ciosem było to, że w końcu musiałam sprzedać na czarnym rynku w czwartym rewirze jej wózek i licencję szperaczki. Przyznałyśmy tym samym, że jest beznadziejnie chora, ale nie miałyśmy wyboru. Wózek tylko zawadzał w domu, a myśmy pilnie potrzebowały pieniędzy. Izabela nie byłaby

sobą, gdyby sama nie zaproponowała, żeby go sprzedać, ale sporo ją to kosztowało.

Od tamtej pory stosunki między nami trochę się zmieniły. Nie byliśmy już równorzędnymi partnerkami, a ponieważ Izabela czuła się winna, że obarcza mnie dodatkową pracą, zaczęła się strasznie nade mną trząść, niemal histerycznie się bać o mój los. Wkrótce po tym, jak zaczęłam szperać w pojedynkę, wszczęła akcję na rzecz zmiany mojego wyglądu. Twierdziła, że nie nadaje się do życia na ulicy, bo jestem za ładna, i że jakoś trzeba temu zaradzić.

– Serce mi się kraje, kiedy rano wychodzisz – tłumaczyła mi. – Raz po raz jakąś młodą dziewczynę spotyka coś strasznego, coś tak okropnego, że nie mogę nawet o tym mówić. Och, Anno, dziecko moje, gdybym cię straciła, nigdy bym sobie nie darowała, zaraz bym umarła. Próżność to luksus, na który już cię nie stać, mój aniołku. Musisz się jej wyrzec.

Mówiła z takim przekonaniem, że w końcu się rozplakała, a ja zrozumiałam, że lepiej ulec, niż się spierać. Prawdę powiedziawszy, w środku cała się trzęsłam, ale sama bywałam świadkiem tych okropności, o których Izabela nie chciała mówić, więc nie bardzo mogłam dyskutować. Przede wszystkim należało ostrzyć mi włosy – straszna operacja. Ledwo się powstrzymałam od płaczu, kiedy Izabela je przycinała, a co gorsza, próbowała mnie pocieszać, chociaż sama aż dygotała, o krok od tego, żeby się rozpląnąć w mrocznej kałuży matczyego smutku. Ferdynand też oczywiście przy tym był: siedział w swoim kacie, założywszy ręce na piersi, i z okrutną obojętnością obserwował całą scenę. Śmiał się, kiedy moje włosy padały na ziemię, a gdy były już całkiem krótkie, powiedział, że zaczynam wyglądać jak wojująca lesbijka, i czy to nie śmieszne, że Izabela tak mnie obrabia, chociaż pizda jej wyschła na wiór.

– Nie słuchaj go, aniołku – powtarzała mi Izabela prosto do ucha. – Nie zwracaj uwagi na tego potwora.

Trudno jednak było go nie słuchać, trudno było nie cierpieć, ilekroć rozbrzmiewał jego jadowity śmiech. Kiedy Izabela wreszcie skończyła, podała mi lusterko i kazała się przejrzeć. W pierwszej chwili przeraziłam się. Byłam taka brzydka, że ledwo siebie poznałam. Czułam się, jakby mnie zmieniono w kogo innego. Co się ze mną stało? – pomyślałam. Gdzie się podziałam? W tej samej chwili Ferdynand po raz kolejny parsknął śmiechem, po prostu rzygnął jadem. Tego było już za wiele. Rzuciłam lusterkiem przez cały pokój i o mało nie trafiłam Ferdynanda w twarz. Lusterko przeleciało tuż obok jego ramienia i trzasnęło o ścianę, a okruchy posypały się na podłogę. Przez chwilę siedział z rozdziawionymi ustami, jakby nie mógł uwierzyć w to, co się stało, a potem trzęsąc się z niepohamowanej złości spojrzął na Izabelę i zaczął wykrzykiwać:

– Widziałaś? Chciała mnie zabić! Chciała mnie zabić, kurwa pierdolona!

Ale Izabela nie miała zamiaru mu współczuć, więc po paru minutach umilkł. Nigdy więcej nie wspominał o tym zdarzeniu – ani o moich włosach.

W końcu przywykłam do nowej fryzury. Dręczyła mnie raczej sama świadomość, że mam krótkie włosy, bo w gruncie rzeczy chyba mi z nimi tak znów źle nie było. Izabeli wcale nie szło

o to, żebym udawała chłopca: nie szykowałam dla mnie żadnych przebrań ani przyklejonych wąsów. Chciała tylko zamaskować moją kobiecość – moje, jak je nazywała, wypukłości. Nigdy zresztą specjalnie nie nadawałam się na chłopczycę, więc i teraz nie bardzo bym umiała zagrać męską rolę. Pamiętasz przecież moje szminki i okropne kolczyki, wąskie, kuse spódnice. Zawsze uwielbiałam się stroić i udawać wampa, nawet kiedy oboje byliśmy całkiem mali, Izabela pragnęła tylko, żebym jak najmniej zwracała na siebie uwagę, żeby nikt się za mną nic oglądał na ulicy. Najpierw zatem ścięła mi włosy, a potem kazała włożyć czapkę, luźny żakiet, wełniane spodnie i bardzo grzeczne buty, które niedawno kupiła z myślą o sobie. Były o cały rozmiar za duże, ale druga para skarpetek miała zapobiec błąbom. Kiedy włożyłam ten kostium, moje piersi i biodra nie rzucały się tak w oczy i już niewiele zostało mi ponęt, którymi mogłabym wzbudzać żądze. Żeby się domyślić, co kryje się pod tym całym przebraniem, trzeba by mieć wielką wyobraźnię, a właśnie wyobraźni w Mieście najbardziej brakowało.

Tak więc wyglądało moje życie. Wstawałam wczesnym rankiem, od razu wychodziłam z domu i cały dzień spędzałam na ulicy. Wracałam dopiero nocą. Byłam zbyt zajęta, żeby nad czymkolwiek się zastanawiać, zbyt wyczerpana, żeby złapać dystans i wybiec myślą w przyszłość, więc po kolacji chciałam tylko zwalić się na koc w swoim kacie i zasnąć. Ale od czasu incydentu z lusterkiem w Ferdynandzie dokonała się niestety jakaś przemiana, narosło między nami trudne do zniesienia napięcie. Dodaj do tego fakt, że utracił dotychczasowy przywilej wolności i samotności, bo musiał spędzać całe dnie w jednym pokoju z Izabelą, a zrozumiesz, czemu koncentrował się na mnie, ilekroć byłam pod ręką. I nie mam tu na myśli tylko jego utyskiwań ani nieustannych przytyków, że nie dość zarabiam i za mało przynoszę jedzenia. Nie, tego akurat od dawna się po nim spodziewałam. Było to zjawisko znacznie groźniejsze, dużo bardziej niszczące z racji furii, która się za nim kryła. Stałam się bowiem nagle dla Ferdynanda jedynym ukojeniem, jedyną ucieczką przed Izabelą, a ponieważ mnie nienawidził, ponieważ sama moja obecność zadawała mu katusze, wyłaził ze skóry, żeby obrzydzić mi życie. Podkopywał wszystko, co robiłam, prześladował mnie na każdym kroku, bombardował tysiącem niemiłych drobiazgów, ja zaś w żaden sposób nie mogłam się uchronić przed jego atakami. Dość wcześnie się połapałam, do czego może doprowadzić ta cała kampania, ale nigdy nie przeżyłam niczego choć trochę podobnego, więc nie umiałam się bronić.

Wiesz o mnie wszystko. Wiesz, czego moje ciało pragnie, a czego unika, jakie w nim drzemią burze i głody. Te zapały nigdy nie stygną – nawet w Mieście. Owszem, rzadziej można tu popuścić wodze fantazji, idąc ulicą musisz trzymać podwójną gardę i nie pozwalać sobie w myślach na żadne erotyczne dygresje, bywają jednak chwile, kiedy zostajesz sam, na przykład nocą w łóżku, świat wokół ciebie pograża się w ciemności, a wtedy siłą rzeczy zaczynasz sobie wyobrażać to i owo. Przyznaję, że czułam się w swoim kacie bardzo samotna. Do szaleństwa może człowieka doprowadzić ten dręczący ból, straszny, natarczywy, który sam nie ustanie, jeśli

czymś go nie uśmierzysz. Bóg świadkiem, próbowałam się opanować, ale czasem po prostu nie wytrzymałam, czasem myślałam, że serce mi pęknie. Zamykałam oczy i mówiłam sobie, że trzeba spać, lecz w mojej głowie panował zupełny zamęt: umysł podsuwał mi obrazy minionego dnia, judził mnie migawkami ulicznego pandemonium pełnego ludzkich ciał, a gdy do tego chaosu dodawały się wciąż świeże w mej pamięci obelgi Ferdynanda, o śnie nie było mowy. Jedynym lekarstwem wydawał się onanizm. Wybacz tę dosadność, ale nie widzę powodu, żeby przebierać w słowach. Wszyscy niekiedy uciekamy się do tego prostego rozwiązania, a ja nie miałam wielkiego wyboru. Niemal bezwiednie zaczynałam dotykać własnego ciała, wmawiając sobie, że moje ręce należą do kogoś innego. Lekko głaskałam dłońmi brzuch, gładziłam wewnętrzną, stronę, ud, czasem nawet chwytałam się za pośladki i ugniatałam je palcami, jak gdyby było nas dwie i nawzajem trzymałybyśmy się w ramionach. Wiedziałam, że to tylko żalonna gierka, lecz moje ciało nabierało się na te sztuczki i pomału reagowało, no i prędzej czy później czułam wilgoć między nogami. Środkowy palec prawej ręki dokonywał dzieła, fala rozleniwienia rozpełzała się po kościach, powieki zaczynały ciążyć i wreszcie zapadałam w sen.

No i na zdrowie. Sęk w tym, że w tak ciasnym mieszkaniu każde westchnienie było ryzykowne, a mnie w niektóre noce coś widocznie musiało się wyrwać, jakiś jęk czy pomruk w kluczowym momencie. Wspominam o tym, bo wkrótce się przekonałam, że Ferdynand podsłuchuje, a osobnik o tak wstrętnej wyobraźni szybko się domyślił, co wyczyniam w ciemnościach. Jego obelgi stopniowo nabierały seksualnego zabarwienia, aż stały się istną kanonadą insynuacji i paskudnych dowcipasów. Wymyślał mi od chutliwych kurewek, aby za chwilę stwierdzić, że żaden mężczyzna nie zechciałby dotknąć takiego oziębłego bydłęcia jak ja: każde zdanie przeczyło poprzedniemu, a biły we mnie ze wszystkich stron, bez chwili wytchnienia. Była to ze wszech miar plugawa historia i wiedziałam, że źle się dla nas trojga skończy. Ferdynandowi zakiełkowało w głowie pewne ziarno i nie było sposobu, żeby je stamtąd wypławić. Zbierał się w sobie, pomału się sprężał, a ja widziałam, że z każdym dniem staje się śmielszy, pewniejszy siebie, bardziej przejęty swoim zamiarem. Miałam już za sobą złą przygodę z Mytnikiem na Bulwarze Muldoona, ale spotkała mnie ona na otwartej przestrzeni, więc mogłam po prostu uciec. Co innego w mieszkaniu: nie było dokąd uciec, a gdyby do czegoś doszło, znalazłabym się w pułapce. Nic widziałam innego sposobu niż wieczne czuwanie, ciągła bezsenność.

Było lato – zapomniałam już, który miesiąc. Pamiętam tylko upał, kipiące w żyłach długie dni, duszne noce. Słońce co prawda zachodziło, lecz w powietrzu wciąż wisiał skwar gęsty od odorów, przed którymi wzbraniały się płuca. Właśnie w jedną z takich nocy Ferdynand wreszcie wykonał od dawna obmyślany ruch: ze sprytem półgłówka podkradł się na czworakach do mojego legowiska. Dotąd nie rozumiem, czemu całe moje przerażenie ulotniło się, gdy tylko mnie dotknął. Leżałam w ciemnościach udając, że śpię, niepewna, czy powinnam go odepchnąć,

czy raczej wrzasnąć ile sił w płucach. Wtem zrozumiałam, że ani jedno, ani drugie nie jest rozwiązaniem. Położył mi rękę na piersi i parsknął szyderczym śmieszkim, w którym brzmiało samozadowolenie i żal, tak jak w głosach ludzi właściwie już martwych, a ja w tejże chwili poczułam, że już wiem, co robić. Była w tej wiedzy pewność, jakiej nigdy wcześniej nie doznałam. Nie zaczęłam się szamotać, nie krzyknęłam, nie zareagowałam żadną częścią siebie, którą rozpoznałabym jako własną. Nic już nie miało znaczenia. Naprawdę nic. Ta pewność unicestwiła we mnie wszystkie inne uczucia. Zaledwie Ferdynand dotknął mojej piersi, zrozumiałam, że go zabiję, zrozumiałam to z pewnością tak bezgraniczną, tak przemożną, że miałam ochotę wstrzymać się jeszcze przez chwilę i go uprzedzić, żeby miał czas sobie uświadomić, co o nim myślę i czym zasłużył na śmierć.

Przysunął się bliżej, wyciągnął się na skraju legowiska i zaczął się ocierać szorstkim policzkiem o moją szyję, szepcząc, że od razu się na mnie poznał, i owszem, zerznie mnie, czemu nie, a ja będę w siódmym niebie. Zionął z ust suszoną wołowiną i gotowaną rzepą z kolacji, oboje pociliśmy się jak świny, dosłownie pływaliliśmy we własnym pocie. W pokoju nie było czym oddychać, powietrze stało, a ilekroć Ferdynand mnie dotykał, czułam muśnięcie słonej wody. Nie próbowałam się opierać, leżałam bezwładnie, milczałam, nie targały mną żadne namietności. Pomału tracił panowanie nad sobą, czułam to, czułam, jak buszuje po moim ciele, a kiedy zaczął na mnie włączyć, objęłam go dłońmi za szyję, z początku lekko, udając, że z nim igram, jakbym w końcu jednak poddała się jego urokowi, temu nieodpartemu urokowi, więc niczego nie podejrzewał. A potem nagle ścisnęłam i z jego gardła wydobył się ostry, zdławiony jęk. Kiedy tylko zaczęłam go dusić, załała mnie fala bezgranicznego szczęścia, niepoohamowanej euforii, jak gdybym przekroczyła w sobie jakiś próg i nagle cały świat się zmienił, niewyobrażalnie uprościł. Zamknęłam oczy i poczułam, że lecę przez pustą przestrzeń, bezkresną noc, wygwieżdżoną ciemność. Póki trzymałam Ferdynanda za gardło, byłam wolna, niedosiężna dla grawitacji, dla nocy, dla jakiegokolwiek myśli o samej sobie.

A potem stało się to najdziwniejsze. Wiedziałam, że jeszcze parę sekund i będzie po wszystkim, i właśnie wtedy puściłam – nie ze słabości ani z litości. Trzymałam Ferdynanda za gardło żelaznym chwytem i choćby się nie wiem jak szamotał, nigdy by się nie wyrwał. Ale nagle do mnie dotarło, że to, co robię, sprawia mi przyjemność. Nie wiem, jak to inaczej wytłumaczyć, ale pod sam koniec, kiedy leżąc na wznak w ciemności i zaduchu pomału wyciskałam z Ferdynanda ostatek życia, uświadomiłam sobie, że nie zabijam go w obronie własnej, lecz dla czystej rozkoszy zabijania. Straszliwa to była świadomość, przerażające objawienie. Puściłam Ferdynanda i z całej siły go odepchnęłam. Nie czułam nic prócz wstrętu, nic prócz oburzenia i goryczy. To, że się powstrzymałam, prawie nie miało znaczenia. Parę sekund w tę czy tamtą stronę, wielkie mi co. Grunt, że zrozumiałam to jedno: nie jestem lepsza niż Ferdynand, od nikogo na świecie nie jestem lepsza.

Z płuc wydarło mu się potworne rżenie, żalony, nieludzki dźwięk podobny do ryku osła. Trzymając się za szyję wił się po podłodze, pierś falowała mu z trwogi, gdy rozpaczliwie chwycił powietrze, prychając, kaszląc, obrzygując się od stóp do głów tą potwornością, której ledwie się wyrwał.

– Teraz już rozumiesz – powiedziałam. – Już wiesz, z kim masz do czynienia. Spróbuj wyciąć jeszcze jeden taki numer, to będę mniej wielkoduszna.

Nawet nie poczekałam, aż wróci do siebie. Wiedziałam, że będzie żył, i to mi wystarczało, wystarczało aż nadto. Wciągnęłam na siebie ubranie, wyszłam z mieszkania na schody i dalej na ulicę, prosto w noc. Wszystko stało się tak szybko. Uświadomiłam sobie, że cała afera trwała raptem kilka minut. A Izabela ani na chwilę się nie zbudziła. Zakrawało to na cud. O mały włos nie zabiłam jej męża, a ona nawet nie przewróciła się z boku na bok.

Włóczyłam się bez planu przez dwie czy trzy godziny i w końcu wróciłam do mieszkania. Dochodziła czwarta rano, Ferdynand i Izabela spali każde w swoim kącie. Liczyłam, że mam czas do szóstej, a wtedy wybuchnie piekło: Ferdynand zacznie się ciskać, machać rękami, toczyć pianę z ust i oskarżać mnie o całe mnóstwo najrozmaitszych zbrodni. Wydawało się to nieuniknione. Nie wiedziałam tylko, jak zachowa się Izabela. Instynkt podpowiadał mi, że stanie po mojej stronie, ale pewna być nie mogłam. Nigdy nie wiadomo, które więzi wezmą górę w krytycznej chwili, jaki konflikt wybuchnie w najmniej oczekiwanym momencie. Próbowałam przygotować się na najgorsze, wiedząc, że jeśli sprawy wezmą zły obrót, jeszcze tego samego dnia wyląduję na ulicy.

Izabela swoim zwyczajem zbudziła się pierwsza. Ranne wstawanie zawsze było dla niej trudną przeprawą, bo właśnie wtedy bóle w nogach najbardziej dawały jej się we znaki, więc często mijało dwadzieścia minut albo i pół godziny, nim odważyła się podnieść z legowiska. Akurat ten ranek miała wyjątkowo ciężki, a gdy pomału się dźwigała, krzątałam się jakby nigdy nic: zagrzałam wodę, pokroiłam chleb, nakryłam stół – ot, codzienna rutyna. Ferdynand zazwyczaj sypiał do ostatniej chwili, zaryty w pościeli, póki nie zwęszył, że na piecu gotuje się owsianka, więc i tym razem nie zwracałyśmy na niego uwagi. Leżał twarzą do ściany i wyglądał, jakby po prostu czepiał się snu z trochę większym niż zwykle uporem. Zważywszy, co przeżył w nocy, wydawało się to dość logiczne, toteż specjalnie nie zaprzętałam nim sobie głowy.

Jego bezruch wydał nam się jednak w końcu podejrzany. Odbyłyśmy już swoje poranne rytuały i byłyśmy gotowe zasiąść do śniadania. Każdego innego dnia któraś z nas byłaby już zbudziła Ferdynanda, lecz w ten wyjątkowy ranek nie odzywałyśmy się ani słowem. W powietrzu zawisła jakaś dziwna opieszałość i w końcu uzmysłowiłam sobie, że rozmyślnie unikamy drażliwego tematu, że każda czeka, aż ta druga pierwsza przemówi. Miałam oczywiście powód, żeby milczeć, lecz Izabela nigdy przedtem tak się nie zachowywała. W jej milczeniu było

coś niesamowitego, nuta wyzwania, stargane nerwy, jakby niepostrzeżenie dokonała się w niej przemiana. Nie wiedziałam, co o tym sądzić. Może jednak w nocy źle ją wyczułam – przyszło mi na myśl. Może wcale nie spała, tylko leżała z otwartymi oczami i widziała całą tę ohydę.

– Dobrze się czujesz, Izabelo? – spytałam.

– Tak, kochanie. Oczywiście, nic mi nie jest – odparła, posyłając mi ten swój uśmiech lekko zdemencjałego cherubina.

– Nie sądzisz, że powinniśmy obudzić Ferdynanda? Wiesz, co wyprawia, kiedy zaczynamy bez niego. Lepiej niech nic myśli, że go objadamy.

– Nie, chyba go nie objadamy – odrzekła z lekkim westchnieniem. – Ale miło jest posiedzieć we dwie. Ostatnio tak rzadko bywamy ze sobą sam na sam. Taka cisza w domu to trochę jak czar, nie uważasz?

– Masz rację, Izabelo, ale chyba rzeczywiście pora już zbudzić Ferdynanda.

– Skoro nalegasz. Chciałam po prostu odwlec godzinę prawdy. Życie mimo wszystko bywa chwilami takie piękne, nawet w dzisiejszych czasach. Szkoda, że niektórzy myślą tylko, jak by tu zniszczyć to piękno.

Pozostawiłam jej zagadkowe uwagi bez odpowiedzi. Coś najwyraźniej było nie tak i zaczynałam już podejrzewać, co mianowicie. Podeszłam do Ferdynanda, kucnęłam przy nim i położyłam mu dłoń na ramieniu. Żadnej reakcji. Potrząsnęłam nim, a kiedy się nie poruszył, przewróciłam go na plecy. Przez chwilę nic nie widziałam. Tylko niejasne wrażenia, raptowny tumult wrażeń przeleciał mi przez głowę. Mam przed sobą trupa – pomyślałam. Ferdynand nie żyje, widzę go na własne oczy. Dopiero powiedziawszy to sobie w duchu rzeczywiście zobaczyłam jego twarz: oczy wychodzące z orbit, wywalony język, zaschniętą krew wokół nosa. To niemożliwe, że nie żyje – pomyślałam. Przecież żył, kiedy wychodziłam z mieszkania, a zresztą to niepodobiestwo, żebym własnymi rękami doprowadziła go do tego stanu. Spróbowałam zamknąć mu usta, ale szczeki już zeszytywniały i nie zdołałam ich ruszyć. Musiałabym połamać mu kości, a na to nie miałam siły.

– Izabelo – rzekłam półgłosem. – Może byś tu podeszła?

– Coś się stało? – spytała. Jej głos nie zdradzał żadnych emocji, więc nie mogłam wyczuć, czy wie, co jej za chwilę pokażę.

– Chodź i sama zobacz.

Przywlokła się, podpierając się krzesłem, bo już tylko w ten sposób mogła się poruszać. Kiedy dotarła do kąta, w którym leżał Ferdynand, dokonując skomplikowanych ewolucji usiadła na krześle, trochę odpoczęła i dopiero potem spojrzała na trupa. Przez parę chwil patrzyła na niego w milczeniu, obojętnie, bez widocznej reakcji. A potem, nie zapowiedziawszy tego najlżejszym gestem ani dźwiękiem, rozplakała się – jakby bezwiednie: łzy polały jej się z oczu i spływały po policzkach. Tak właśnie płaczą czasem małe dzieci, nie szlochając, nie tracąc tchu –

ot, woda płynie równymi strużkami z dwóch identycznych kurków.

– Ferdynand chyba już nigdy się nie zbudzi – rzekła w końcu, nie odrywając wzroku od trupa, jakby nie była w stanie spojrzeć nigdzie indziej, jakby jej oczy miały już na zawsze pozostać doń przykute.

– Jak to się mogło stać?

– Bóg jeden wie, moja droga. Nawet nie próbuję się domyślać.

– Musiał umrzeć we śnie.

– Tak, to całkiem prawdopodobne. Musiał umrzeć we śnie.

– Jak się czujesz, Izabelo?

– Sama nie wiem. Musi minąć trochę czasu, nim się w tym rozeznam. Ale w tej chwili jestem chyba bardzo szczęśliwa. Zdaję sobie sprawę, jak to okropnie brzmi, ale jestem chyba bardzo szczęśliwa.

– Wcale nie okropnie. Masz prawo do odrobiny spokoju, tak jak każdy.

– Nie, kochanie, to okropne, co powiedziałam. Ale nic nie poradzę. Mam nadzieję, że Bóg mi wybaczy. Mam nadzieję, że będzie miłosierny i nie skarzę mnie za to, co czuję.

Przez resztę poranka zajmowała się trupem. Nie chciała mojej pomocy, więc przez kilka godzin siedziałam beczynn timer w swoim kącie i patrzyłam, co robi. Oczywiście nie było sensu ubierać Ferdynanda, ale się uparła. Chciała, żeby wyglądał jak człowiek, którym był przed laty, zanim zniszczyła go złość i żal nad sobą.

Umyła go wodą z mydłem, ogoliła, obciąła mu paznokcie i ubrała go w granatowy garnitur, który dawniej wkładał na specjalne okazje. Od kilku lat trzymała to ubranie pod luźną deską w podłodze, bojąc się, że jeśli Ferdynand wykryje schowek, każe jej sprzedać swój jedyny odświętny strój. Garnitur zrobił się tymczasem za duży, a w pasku musiała przebić nową dziurkę, żeby spodnie nie opadały. Pracowała niewiarygodnie wolno, mozoląc się nad każdym szczegółem z nieznośną precyzją, ani na chwilę nie przerywając, nigdy nie przyspieszając, aż w końcu zaczęło mi to działać na nerwy. Chciałam załatwić sprawę jak najszybciej, lecz Izabela nie zwracała na mnie uwagi. Była całkowicie pochłonięta swoim zadaniem, a o mnie wręcz chyba zapomniała. Przez cały czas przemawiała do Ferdynanda, łajac go półgłosem, trajkocząc bez przerwy, jakby wciąż ją słyszał, jakby chłonał każde słowo. Kiedy tak leżał z twarzą zastygłą w przedśmiertnym grymasie, nie miał chyba zresztą wielkiego wyboru: musiał dopuścić ją do głosu. Była to przecież jej ostatnia szansa, a on tym akurat razem nijak nie mógł się sprzeciwić.

Przeciągnęła ten obrządek prawie do południa. Czesła Ferdynanda, szczotkowała mu marynarkę, stroiła go i przyozdabiała jak lalkę. Kiedy wreszcie skończyła, musiałyśmy postanowić, co z nim zrobimy. Zaproponowałam, żeby znieść go po schodach i zostawić na ulicy, lecz Izabela uznała, że to zbyt bezlitosny sposób: najmniej, co możemy zrobić, to załadować go na mój wózek i zawieźć do Transformatorni. Zaprotekowałam, i to z kilku

powodów. Przede wszystkim Ferdynand był za duży, więc jazda tak obciążonym wózkiem przez pół Miasta mogłaby się źle skończyć. Wyobraziłam sobie, że wózek się przewraca, Ferdynand z niego wypada, a Sępy porywają trupa razem z wózkiem. Co ważniejsze, Izabela była za słaba, żeby ruszyć na tak daleką wyprawę. Bałam się, że sobie poważnie zaszkodzi. Po całym dniu na nogach z tej odrobiny zdrowia, którą jeszcze zachowała, nic by nie zostało, więc twardo zaoponowałam, nieczuła na jej łzy i błagania.

W końcu znalazłyśmy w miarę zadowalające wyjście. Wydawało nam się całkiem rozsądne, ale dziś widzę, że było to zupełnie dziwactwo. Po długich wahaniach i rozterkach postanowiłyśmy zaciągnąć Ferdynanda na dach i zrzucić, żeby wzięto go za Skoczka. Przynajmniej sąsiedzi pomyślą, że zostało mu jeszcze trochę fantazji, orzekła Izabela. Zobaczą, jak spada, i powiedzą, że oto ktoś odważył się pokierować własnym losem. Widziałam, jak podoba jej się ta myśl. Umówmy się, że wyrzucamy go za burtę, zaproponowałam, tak jak wtedy, kiedy marynarz umiera na morzu i kompani ciskają go w toń. Izabela była zachwycona. Dobrze, wyjdziemy na dach jak na pokład statku. Powietrze będzie wodą, a ziemia – dnem oceanu. Sprawimy Ferdynandowi marynarski pochówek, oddamy go morzu na wieki. Plan ten wydał nam się tak słuszny, że ustały wszelkie dyskusje: Ferdynand spocznie w Alei Kapitana Hooka i prędzej czy później upomną się o niego rekiny.

Okazało się to, niestety, wcale nie takie proste. Mieszkałyśmy co prawda na ostatnim piętrze, nie było jednak schodów na dach, tylko wąska stalowa drabinka prowadząca do klapy w suficie otwieranej pchnięciem od dołu. Drabinka miała raptem kilkanaście szczebli i nie więcej niż dwa i pół metra wysokości, ale i tak musiałam wtaszczyć Ferdynanda na górę jedną ręką, drugą trzymając się drabinki. Izabela niewiele mogła mi pomóc, więc całe zadanie spoczywało na moich barkach. Próbowalam pchać trupa od dołu, próbowalam ciągnąć od góry, ale nie miałam dość sił. Był za ciężki, za duży, nieporęczny, a na domiar złego w skwarnej duchocie pot zalewał mi oczy. W końcu uznałam, że nie mamy szans, i zaczęłam się zastanawiać, czy nie wyjdzie mniej więcej na to samo, jeśli zawlecziemy Ferdynanda z powrotem do mieszkania i wypchniemy przez okno. Owszem, efekt nie byłby aż tak dramatyczny, lecz w tych okolicznościach wydawało się to nie najgorszą namiastką. Miałam już dać za wygraną, gdy wtem Izabela wpadła na pomysł, żeby owinać Ferdynanda jednym prześcieradłem, a drugie przywiązać jak linę i w ten sposób wciągnąć trupa na dach. To także nie było całkiem proste, ale nie musiałam przynajmniej się wspinać, równocześnie taszcząc ciężar. Weszłam na dach i wciągnęłam Ferdynanda szczebel po szczeblu. Izabela stała na dole i kierowała ruchem tobołu, żeby po drodze nie uwiązał. Kiedy wreszcie z tym się uporałyśmy, położyłam się na brzuchu, sięgnęłam ręką z powrotem w ciemność i pomogłam Izabeli się wspiąć. Nie będę ci tu opowiadać o wszystkich potknięciach, omsknięciach, ledwie uniknionych katastrofach. Zanim Izabela przedostała się w końcu przez otwór w dachu i przyczołgała do mnie, byłyśmy obie tak wyczerpane, że padłyśmy na gorącą

papę i przez parę minut nie mogliśmy nie tylko wstać, ale nawet się ruszyć. Pamiętam, jak leżałam na wznak, patrząc w niebo i myśląc, że lada chwila wyfrunę z własnego ciała; pamiętam, z jakim trudem oddychałam, czując, że jaskrawe, obłędnie palące słońce ściera mnie na proch.

Nasz dom wcale nie był wieżowcem, lecz od przyjazdu do Miasta ani razu nie weszłam tak wysoko. Zerwał się lekki wiaterek, powietrze drgnęło, a kiedy wreszcie wstałam i spojrzałam w dół, na cały ten pogmatwany świat, ze zdumieniem zobaczyłam w oddali ocean, który na widnokręgu połyskiwał szaro niebieską smużką. Dziwnie się poczułam, oglądając go z takiej perspektywy, i nawet nic umiem ci opowiedzieć, jak na mnie podziałał ten widok. Po raz pierwszy od przyjazdu zyskałam niezbity dowód, że Miasto gdzieś jednak się kończy, że coś przecież istnieje poza jego granicami, że są jeszcze inne światy oprócz tego jednego. Było to jak objawienie, jak strumień tlenu prosto w płuca, i na samą tę myśl o mało nie zakręciło mi się w głowie. Widziałam rzędy dachów. Widziałam dym wznoszący się z krematoriów i energowni. Z pobliskiej ulicy dobiegł mnie odgłos wybuchu. Widziałam ludzi idących w dół, tak małych, że już nie wydawali się ludzcy. Czulałam wiatr na policzkach i wszechobecny odór. Wszystko to było mi obce i gdy tak stałam na dachu obok Izabeli, wciąż jeszcze zanadto zmęczona, żeby cokolwiek powiedzieć, nagle poczułam, że nie żyję, że jestem martwa jak Ferdynand w tym swoim granatowym garniturze, równie martwa jak ludzie, których ciała ulatywały z dymem na obrzeżach Miasta. Ogarnął mnie spokój, jakiego od dawna nie zaznałam, uczucie bliskie szczęścia, lecz było to szczęście nienamacalne, jak gdyby stan ten nie miał w gruncie rzeczy ze mną nic wspólnego. A potem ni stąd, ni zowąd wybuchłam płaczem, na serio się rozplakałam, raz po raz wyrывał mi się szloch z głębi piersi, z trudem łapałam oddech, całe powietrze uszło mi z płuc – ryczałam, jak nie zdarzyło mi się od wczesnego dzieciństwa. Izabela objęła mnie oburącz, a ja wtuliłam twarz w jej ramię i trwałam tak przez długi czas, wyplakując cały swój ból, i to bez najmniejszego powodu. Nie mam pojęcia, skąd brały się te łzy, ale potem przez dobre kilka miesięcy czulałam, że nie jestem sobą. Niby dalej żyłam, oddychałam, chodziłam z miejsca na miejsce, ale nie mogłam uciec przed myślą, że jestem martwa i nic mnie już nigdy nie wskrzesi. Po pewnym czasie znów zajęłyśmy się, Ferdynandem. Było już późne popołudnie i od żaru zaczęła topnieć smoła, a papa zrobiła się miękka i lepka. Granatowy garnitur mocno ucierpiał podczas wspinaczki, więc kiedy rozpakowałyśmy toból, Izabela odprawiła nad trupem kolejny seans kosmetyczny. Gdy wreszcie przyszła pora zanieść go na skraj dachu, uparła się, że przed rzekomym skokiem powinien stać, a nie leżeć, bo w przeciwnym razie pryśnie cała iluzja. Musimy przecież stworzyć wrażenie, że Ferdynand rzuca się w otchłań na modłę Skoczków, którzy nie czołgają się po dachach, lecz kroczą śmiało, z podniesioną głową. Była w tym niezaprzeczalna logika, spędziłyśmy więc kilka minut borykając się z bezwładnym ciałem, popychając je i szarpiąc, aż wreszcie chwiejnie stanęło na nogach: istna makabreska, możesz mi wierzyć. Trup Ferdynanda kolebał się między nami jak olbrzymia nakręcana zabawka, wiatr

rozwiewał mu włosy, spodnie opadały, no i wciąż miał tę zaskoczoną, przerażoną minę. Kiedy taszczyliśmy go w stronę narożnika, nogi raz po raz ugiwały mu się w kolanach i wlokły po dachu, więc nim dotarliśmy do celu, zgubił oba buty. Ponieważ bałyśmy się zaniechać zbliżyć do skrajnej przepaści, nie wiedziałyśmy nawet, czy ktoś jest na ulicy, czy w ogóle mamy świadków. O jakiś metr od brzegu stanęłyśmy, bojąc się postąpić choć o krok dalej, policzyłyśmy chórem do trzech, z całej mocy pchnęłyśmy trupa, a same padłyśmy na wznak, żeby zwłoki siłą bezwładu nie pociągnęły nas za sobą. Ferdynand uderzył brzuchem o krawędź, trochę się od niej odbił i runął w dół. Pamiętam, że nasłuchiwałam odgłosu ciała spadającego na chodnik, ale słyszałam tylko własny puls, bicie własnego serca we własnej głowie. Nigdy więcej nie zobaczyłyśmy Ferdynanda. Resztę dnia spędziłyśmy w domu, a zanim rano ruszyłam w obchód z wózkiem, trup znikł – wraz ze wszystkim, co miał na sobie.

Zostałam z Izabelą do końca: przez całe lato i jesień, a nawet trochę dłużej, do pierwszych dni zimy, kiedy mróz zaczął na dobre dawać się we znaki. W ciągu tych wszystkich miesięcy ani razu nie rozmawiałyśmy o Ferdynandzie, o jego życiu ani śmierci – o niczym, co jakkolwiek wiązało się z jego osobą. Nie potrafiłam uwierzyć, że Izabela miała siłę i odwagę go zabić, ale nie widziałam innego rozsądnego wyjaśnienia. Wiele razy korciło mnie, żeby ją spytać, co właściwie stało się tamtej nocy, nie mogłam jednak się przemóc. W pewnym sensie była to sprawa Izabeli, więc póki sama nie zechciała o niej mówić, czułam, że nie mam prawa dopytywać.

Jedno nie ulegało wątpliwości: nie żałowałyśmy, że go już nie ma. Gdy w parę dni po ceremonii na dachu sprzedałam wszystko, co po nim zostało, łącznie z modelami statków i na wpół opróżnioną tubą kleju, Izabela nie powiedziała ani słowa. Powinien to być dla niej czas nowych szans, stało się jednak inaczej. Coraz bardziej podupadała na zdrowiu, więc nie mogła naprawdę skorzystać ze świeżo zdobytej wolności. Po wyprawie na dach nie wyszła już z mieszkania.

Wiedziałam, że jest umierająca, ale zaskoczyło mnie tempo, w jakim jej stan się pogarszał. Najpierw straciła władzę w nogach, a potem choroba rozprzestrzeniła się, porażając ręce, kręgosłup, w końcu nawet gardło i usta. Izabela wyjaśniła mi, że jest to rodzaj nieuleczalnej sklerozy, na którą zmarła przed laty jej babka. Nazywała tę chorobę „upadkiem” albo „rozkładem”. Mogłam dbać o jej wygody, na tym jednak kończyły się moje możliwości.

Najgorsze było to, że wciąż musiałam pracować. Po dawnemu zrywałam się wczesnym rankiem i drałowałam przez ulice, węsząc za jakimkolwiek łupem. Nie wkładałam już w to serca i coraz trudniej było mi znaleźć coś wartościowego. Wiecznie rozmijałam się ze sobą, bo myśli wędrowały w jedną stronę, a kroki akurat w przeciwną, więc moje ruchy stawały się niepewne, opieszale. Raz po raz przegrywałam wyścig z innymi rupieciarzami. Wyłaniali się jakby znikąd

i porywali mi zdobycz sprzed nosa, gdy już się po nią schylałam. Musiałam zatem spędzać w Mieście coraz więcej czasu, żeby zbierać niezbędną minimum, nieustannie nękana poczuciem, że powinnam siedzieć w domu i opiekować się Izabelą. Wciąż sobie wyobrażałam, że coś jej się stanie pod moją nieobecność, że umrze, gdy mnie przy niej nie będzie, a sama ta myśl wystarczała, żebym się zupełnie rozkojarzyła i zapomniała o pracy. A wierz mi, pracować musiałam, bo inaczej nie miałybyśmy co jeść.

Pod koniec w ogóle nie mogła już się ruszyć o własnych siłach. Co rano próbowałam usadowić ją w pościeli, ale prawie całkiem straciła władzę w mięśniach, więc po kilku minutach zaczynała się osuwać. Przy tych zmianach pozycji cierpiała katusze, nawet sam ucisk podłogi sprawiał, że czuła się, jakby ją żywcem palono. Ale ból był tylko jednym z wielu problemów. Postępująca degeneracja mięśni i kości w końcu dosięgła gardła i Izabela zaczęła tracić mowę. Rozkład fizyczny można jeszcze wytrzymać, lecz gdy obumiera głos, sprawia to takie wrażenie, jakby chorego już nie było. Zaczęło się od pewnego niechlujstwa dykcji: zamazywały się kontury słów, spółgłoski stawały się miększe i mniej wyraźne, stopniowo upodabniały się do samogłosek. Początkowo nie przywiązywałam do tego zbytnej wagi. Miałam na głowie całe mnóstwo pilniejszych spraw, a przy odrobinie wysiłku wciąż jeszcze jako tako Izabelę rozumiałam. Nie przestało jej się jednak pogarszać, więc musiałam się coraz bardziej wysilać, chcąc wyłowić nieco sensu z tego, co próbowała mi powiedzieć, i w końcu zawsze jakoś mi się udawało, lecz z każdym dniem kosztowało mnie to więcej trudu. Aż wreszcie pewnego ranka zdałam sobie sprawę, że dźwięki, które wydobywają się z jej krtani, nie są już mową. Gulgotała i stękała, usiłując coś mi przekazać, wychodziło jednak z tego tylko niezrozumiałe jąkanie, straszliwy bełkot, chaos wcielony. Ślina ciekła jej z kącików ust, a wraz ze śliną wylewał się ten straszny dźwięk, niczym tren pełen niewyobrażalnego zamętu i bólu. Izabela rozplakała się, słysząc własny głos i widząc wyraz niezrozumienia na mojej twarzy. Chyba nigdy nikogo nie było mi tak żal. Świat wymknął jej się po kawałku, aż prawie nic nie zostało.

Lecz nie był to ostateczny koniec. Przez jakieś dziesięć dni miała jeszcze siłę pisać do mnie ołówkiem krótkie liściki. Pewnego popołudnia poszłam do Reanimatora i kupiłam duży notes z niebieską okładką. Wszystkie kartki były czyste, więc słono zapłaciłam, bo w Mieście bardzo trudno o notes w dobrym stanie. Nie miałam jednak cienia wątpliwości, że warto, bez względu na cenę. Znałam już tego agenta z poprzednich transakcji – był to niejaki Gambino, garbus z ulicy Chińskiej – i pamiętam, że zażarcie się targowaliśmy, prawie przez pół godziny. Nie mogłam go zmusić, żeby opuścił, ale w końcu dodał gratis sześć ołówek i małą plastikową temperówkę.

Piszę teraz, o dziwo, w tym samym notesie. Izabela niewiele kartek zdążyła zużyć, najwyżej pięć czy sześć, a kiedy umarła, nie miałam serca go wyrzucić. Wzięłam go więc z sobą i od tamtej pory stale mi towarzyszy w moich wędrówkach – niebieski notes, sześć żółtych ołówek i zielona temperówka. Gdybym jakiś czas temu nie znalazła ich w torbie, chyba bym nie zaczęła

tego listu. Natknęłam się jednak na notes z całym mnóstwem czystych stronic i poczułam przemożną chęć, żeby sięgnąć po ołówek i pisać. To jedyna rzecz, do której jeszcze przywiązuję wagę: wypowiedzieć się wreszcie, przelać wszystko na papier, nim będzie za późno. Drzę, ilekroć pomyślę, jak ściśle powiązane są sprawy pozornie odległe: gdyby Izabela nie oniemiała, nigdy nie powstałyby te zdania. Ponieważ zabrakło jej słów, spod mojej ręki wyszły te oto słowa. Pamiętaj o tym, proszę. Nie byłoby tego pisania, gdyby nie Izabela. Bez niej w ogóle bym nie zaczęła.

Uśmiercił ją ten sam proces, który pozbawił ją głosu. Jej gardło poraził całkowity paraliż, więc nie mogła już przełykać. Najpierw wykluczyło to z diety pokarmy stałe, a potem nawet wody nie była w stanie się napić. Doszło do tego, że zwilżałam jej usta, żeby całkiem nie wyschły, lecz obie wiedziałyśmy, że śmierć jest tylko kwestią czasu, bo głód dosłownie ją morzył: nikła w oczach, nic a nic nie jedząc. Zdumiewające, że raptem jakby się lekko uśmiechnęła – pod sam koniec, kiedy siedziałam przy niej, skrapiając jej wargi wodą. Właściwie nie jestem pewna, bo była już wtedy bardzo daleko, ale cieszy mnie myśl, że mógł to być uśmiech, choćby bezwiedny. Tak się wstydziła swojej choroby, tak ją to krępowało, że we wszystkim zdana jest na mnie, a tymczasem była mi nie mniej potrzebna niż ja jej. Tuż po tym, jak się uśmiechnęła – jeżeli istotnie był to uśmiech – zaczęła się dusić własną śliną, której nie mogła przełknąć, a choć próbowałam palcami oczyścić jej usta, tyle śliny spłynęło do gardła, że wkrótce nie miała już czym oddychać. Wydała wtedy okropny dźwięk, ale był on tak wątpy, tak zupełnie pozbawiony nuty szczerzego buntu, że niebawem ucichł.

Po paru godzinach wybrałam trochę rzeczy z mieszkania, załadowałam je na wózek i zawiozłam do ósmego rewiru, w Aleję Postępu. W głowie miałam spory zamęt – i pamiętam, że nawet dosyć dobrze zdawałam sobie z tego sprawę – ale w niczym mi to nie przeszkadzało. Sprzedałam naczynia, odzież, pościel, garnki, patelnie, Bóg wie co jeszcze – cokolwiek wpadło mi w ręce. Pozbywałam się tych gratów z prawdziwą ulgą: w pewien sposób zastępowało mi to łzy. Bo płakać już nie mogłam, ostatni raz, w życiu płakałam wtedy na dachu, więc kiedy Izabela umarła, miałam tylko ochotę wszystko porozwalać, przewrócić dom do góry nogami. Wzięłam pieniądze, poszłam przez całe miasto na Ozonowy Prospekt i kupiłam najpiękniejszą suknię, jaką udało mi się znaleźć: białą, z koronkowym kołnierzykiem i mankietami, z szeroką satynową szarfą w talii. Izabela byłaby pewnie szczęśliwa, gdyby wiedziała, że ma ją na sobie.

Z tego, co nastąpiło później, został mi dość mętny obraz. Nie zapominaj, że byłam na ostatnich nogach i miałam w głowie tę zaćmę, która sprawia, że człowiek przestaje czuć się sobą i nawet na jawie raz po raz traci świadomość. Pamiętam, że wzięłam Izabelę na ręce i aż zadrżałam, bo ważyła nie więcej niż dziecko: zostały z niej tylko kości jak piórka i miękkie, wiotkie ciało. Potem znalazłam się na ulicy: pchałam wózek z Izabelą przez miasto. Pamiętam

strach, pewność, że wszyscy patrzą na wózek i myślą tylko, jak by tu skraść suknię. Kolejny obraz: stoję u bramy Trzeciej Transformatorni, czekam w długiej kolejce i wreszcie urzędnik płaci mi ustaloną sumę. On także przyjrzał się sukni ze szczególnym zainteresowaniem i już widziałam, jak w plugawej mózgownicy zaczynają kręcić mu się kółeczka. Pokazałam pieniądze, które przed chwilą mi dał, i powiedziałam, że może je sobie wziąć, jeśli obieca spalić suknię razem z ciałem. Oczywiście się zgodził – z wulgarnie porozumiewawczym mrugnięciem – ale skąd mam wiedzieć, czy dotrzymał słowa? Kiedy się nad tym zastanawiam, przeważnie wydaje mi się, że nie dotrzymał, i pewnie właśnie dlatego niechętnie wspominam całe to zdarzenie.

Po wyjściu z Transformatorni musiałam chyba snuć się bez żadnego planu, z głową w chmurach, nie patrząc, gdzie jestem. W końcu zasnęłam – pewnie na jakimś progu – lecz po przebudzeniu nie czułam się ani trochę lepiej, może nawet gorzej. Pomyślałam o powrocie do mieszkania, ale uznałam, że jeszcze nie sprostam tej próbie. Przerazała mnie wizja samotności w czterech ścianach, świadomość, że prędzej czy później tam wrócę i będę siedziała beczynn timer. Może parę godzin na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi, pomyślałam. Kiedy trochę oprzytomniałam i zorientowałam się, gdzie jestem, stwierdziłam, że nie mam już wózka. Byłam opasana pepowiną, ale wózek znikł. Przeszukałam całą ulicę, jak szalona biegałam od drzwi do drzwi, lecz nic to nie dało. Zostawiłam go w krematorium, a może skradziono mi go podczas snu. W głowie miałam taki mętlik, że niczego nie byłam już pewna. Tyle tylko trzeba. Wystarczy moment nieuwagi, sekunda osłabionej czujności i wszystko diabli biorą, w jednej chwili cała praca idzie na marne. Pozwoliłam, żeby odebrano mi narzędzie, bez którego nie miałam szans przetrwać. Gdybym wzięła brzytwę i poderżnęła sobie gardło, nie byłaby to większa autodestrukcja.

Znalazłam się w fatalnej sytuacji, ale o dziwo się nie przejmowałam. Obiektywnie rzecz biorąc strata wózka była katastrofą, lecz zarazem dawała mi to, czego od dawna skrycie pragnęłam: pretekst, żeby zerwać z rupieciarstwem. Zostałam przy tym zajęciu ze względu na Izabelę, ale po jej śmierci nie widziałam już siebie w tej roli. Rupieciarstwo należało do świata, który dla mnie już umarł, i oto nadarzała się sposobność, żeby wkroczyć na nową drogę, wziąć życie we własne ręce i jakoś nim pokierować.

Bez namysłu poszłam do pewnego fałszerza dokumentów z piątego rewiru i za trzysta dolarów sprzedałam swoją licencję szperaczki. Pieniądze zarobione tego dnia mogły mi starczyć co najmniej na dwa, trzy tygodnie, ale skoro już zaczęłam, nie miałam zamiaru na tym poprzestać. Do domu wróciłam z głową pełną pomysłów, próbując obliczyć, ile jeszcze pieniędzy dostanę, jeśli sprzedam parę innych rzeczy z mieszkania. Spędziłam pracowitą noc, układając na środku pokoju stos różnych dóbr. Opróżniłam szafę w ścianie z wszelkich użytecznych przedmiotów: powywracałam pudła, splądrowałam szuflady, a koło piątej rano wyjęłam ze schowka, który Izabela urządziła pod podłogą, nieoczekiwany skarb: srebrny nóż i widelce,

Biblię o wyzłacanych brzegach i wypchaną sakiewkę, w niej zaś czterdzieści osiem gлотów drobnymi. Przez resztę dnia wpychałam do walizki wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, i biegałam po rozmaitych Reanimatorach, sprzedając kolejne partie towaru i wracając, żeby przygotować następne. W sumie zgarnęłam ponad trzysta gлотów (z czego prawie jedną trzecią dostałam za nóż i widelec) i oto nagle miałam przed sobą dobre pięć, sześć miesięcy spokojnego życia. Uwzględniając okoliczności było to więcej, niż mogło mi się zamarzyć. Z takim majątkiem w kieszeni poczułam się, jakby mnie kto na sto koni wsadził.

Lecz niedługo potrwiała ta euforia. Spać posyłam kompletnie wyczerpana całodzienną orgią sprzedaży, a już nazajutrz rano, niespełna godzinę po wschodzie słońca, rozległo się głośnie łomotanie w drzwi. To dziwne, jak szybko coś takiego może przyjść człowiekowi do głowy, ale moim pierwszym uczuciem była nadzieja, że mnie nie zabiją. Nie zdążyłam nawet wstać. Włamywacze wywalili drzwi i wdarli się do środka, wymachując zwykłymi w takich razach pałkami i kijami. Było ich trzech. W dwóch najroślejszych rozpoznałam młodych Gundersonów, synów rodziny, która mieszkała piętro niżej. Wiadomości prędko się rozchodzą, pomyślałam. Izabela zmarła raptem dwa dni temu, a sąsiedzi już zrobili nalot.

– Pobudka, dzidziu – powiedział jeden. – Czas na ciebie. Zjeżdżaj bez gadania, to ci nic nie zrobimy.

Była to wstrętna sytuacja, po prostu nie do zniesienia.

– Dajcie mi się spakować – odparłam, gramoląc się z legowiska. Staralam się za wszelką cenę zachować spokój, stłumić gniew, wiedząc, że choćby cień oporu z mojej strony sprowokuje ich do ataku.

– Dobra – zgodził się inny. – Masz trzy minuty. Ale weźmiesz jedną torbę, nic więcej. Bierz graty i wynocha.

Jakimś cudem akurat tej nocy raptownie spadła temperatura i przed snem włożyłam na siebie wszystkie ciuchy, więc nie musiałam się ponizac, ubierając się na ich oczach, a co ważniejsze – bo w końcu to właśnie uratowało mi życie – całe trzysta gлотów miałam w kieszeniach spodni. Nie jestem z tych, co wierzą w jasnowidztwo, ale było to trochę tak, jakbym zawczasu wiedziała, co się stanie. Trzech drabów miało mnie na oku, kiedy pakowałam chlebak, ale żaden nie okazał się dość bystry, żeby wyczuć, gdzie schowałam pieniądze. Zaraz potem czym prędzej się stamtąd wyniosłam, skacząc po dwa stopnie. Na dole przystanąłam, żeby złapać oddech, i otworzyłam frontowe drzwi. Jak obuchem uderzyło mnie powietrze, ryk wiatru i mróz, podmuchy zimy zaświstały mi w uszach; wokół mnie rozmaite przedmioty fruwały jak wściekłe, odbijały się od ścian, turlały po ziemi, pękały jak odłamki lodu. Spędziłam w Mieście z górą rok i jakoś nic mi się nie stało. Miałam w kieszeni trochę pieniędzy, ale byłam bez pracy i bez mieszkania. Po wszystkich wzlotach i upadkach wróciłam do punktu wyjścia.

Wbrew temu, co można by sądzić, biegu rzeczy cofnąć nie sposób. Choć udało ci się gdzieś wejść, niekoniecznie uda ci się wyjść. Wejście nie staje się automatycznie wyjściem i nie masz gwarancji, że drzwi, którymi właśnie wszedłeś, będą w tym samym miejscu, kiedy zechcesz jeszcze raz na nie spojrzeć. Tak to już jest w Mieście urządzone. Ilekroć ci się zdaje, że znasz odpowiedź, samo pytanie okazuje się bez sensu.

Przez kilka tygodni próbowałam uciec. Początkowo zdawało mi się, że jest wiele możliwości, wiele sposobów powrotu do domu, a ponieważ miałam pieniądze, nie przewidywałam większych przeszkód. Oczywiście myliłam się, minęło jednak sporo czasu, zanim przyjechałam do wiadomości. Przypłynęłam na zagranicznym statku wraz z jakąś misją dobroczynną, logika wskazywała zatem, że tą samą drogą mogę odpłynąć. Wybrałam się więc do portu, gotowa dać łapówkę każdemu urzędnikowi, który zarezerwuje mi miejsce w kabinie. Nic było jednak żadnych statków, znikły nawet kutry rybackie, które widziałam zaledwie miesiąc temu. Za to na nabrzeżu rojło się od robotników – setki, tysiące, nieprzeliczony tłum mężczyzn. Jedni wyładowywali gruz z ciężarówek, inni nosili cegły i kamienie nad samą wodę, jeszcze inni kładli fundamenty pod coś, co sprawiało wrażenie ogromnego falochronu lub fortyfikacji.

Uzbrojeni policjanci stali na pomostach, obserwując robotników, a wszędzie panował zgiełk i zamęt: warkot silników, biegania, krzyki brygadzystów rzucających rozkazy. Okazało się, że właśnie buduje się Morski Mur, a dzieje się to w ramach programu robót publicznych, uruchomionego niedawno przez nowy rząd. Rządy upadają i tworzą się tu co chwila, toteż często nie nadążamy za ich zmianami. W ten sposób po raz pierwszy usłyszałam o ostatnim przewrocie, a gdy spytałam, czemu ma służyć Morski Mur, wyjaśniono mi, że będzie on chronił kraj przed obcym najazdem. Groźba wojny z każdą chwilą rośnie, a naszym obywatelskim obowiązkiem jest bronić ojczyzny. Dzięki wysiłkom wielkiego Iksa – tu padło nazwisko nowego przywódcy – materiały z zawalonych domów gromadzi się obecnie dla celów obronnych, a przedsięwzięcie to zapewni pracę tysiącom ludzi. Zapytałam o płacę, Pieniądzy z tego nie ma, odparł mój informator, dają za to kąk do spania i jeden gorący posiłek dziennie. Czy chcę się zapisać? Nie, dziękuję, odrzekłam, mam co innego do roboty. No cóż, powiedział, zdążę jeszcze zmienić zdanie. Rząd ocenia, że ukończenie muru zajmie co najmniej pięćdziesiąt lat. Brawo, pochwaliłam, a na razie, to jak można stąd się wydostać? O, co to, to nie, rzekł kręcąc głową, wykluczone. Statków już się nie wpuszcza – a gdzie nie wpuszczają, stamtąd i nie wypuszczają. A gdyby tak samolotem? – spytałam. Co to takiego samolot? – zdziwił się i uśmiechnął, jakby usłyszał niezrozumiały żart. Samolot, powtórzyłam. Latająca maszyna, która przenosi ludzi z miejsca na miejsce. Nie bądź śmieszna, powiedział, spoglądając na mnie podejrzliwie. Nic takiego nie istnieje. Przecież to niepodobieństwo. Już nie pamiętasz? – zapytałam. Nie wiem, o czym mówisz, odparł. Możesz sobie napytać biedy, jeśli będziesz opowiadać takie bzdury. Rząd nie lubi, kiedy ludzie zmyślają niestworzone historie. To szkodzi ogólnemu morale.

No i widzisz, z czym tu się musimy borykać. Mało, że rzeczy znikają: gdy tylko znikną, ginie po nich wszelka pamięć. W mózgu tworzą się mroczne obszary i jeśli nie starasz się nieustannie przyzywać tego, co odeszło, wkrótce wymknie ci się raz na zawsze. Nie jestem bardziej niż inni odporna na tę zarazę i z pewnością noszę już w sobie sporo takich białych plam. Jakaś rzecz znika i jeśli zbyt długo zwlekasz, nim znów o niej pomyślisz, żadnym wysiłkiem woli już jej nie wyrwiesz z mroków zapomnienia. Wspominanie nie ma przecież nic wspólnego z wolą. Dzieje się niezależnie od naszych chęci, ale gdy wszystko bez przerwy się zmienia, mózg prędzej czy później zawodzi, rzeczywistość przecieka przezeń jak przez sito. Kiedy szukam po omacku jakiejś myśli, która mi umknęła, chwilami cofam się pamięcią do dawnych lat, aż do dzieciństwa, i wspominam letnie wakacje, na które jeździliśmy całą rodziną. Jechaliśmy pociągiem na północ, a starszy brat William zawsze odstępował mi miejsce przy oknie. Przeważnie milkłam wtedy i przez resztę podróży siedziałam z twarzą przyklepioną do szyby, wpatrzona w mijany krajobraz: niebo, drzewa, wodę. Pociąg nikał przez dzikie pustkowia, bez porównania piękniejsze niż wszystko, co oglądałam w mieście, a ja co roku powtarzałam sobie: Anno, nigdy nie widziałas nic piękniejszego – spróbuj to zapamiętać, zapamiętaj te wspaniałe widoki, żeby na zawsze w tobie zostały, nawet kiedy stracisz je z oczu. Nigdy chyba nie przyglądałam się światu z takim skupieniem, jak podczas tych podróży na północ. Wszystko chciałam wchłonąć, pragnęłam, żeby całe to piękno wrosło we mnie, i jeszcze dziś pamiętam, jak usiłowałam rejestrować każdy szczegół, gromadzić zapasy, do których mogłabym sięgnąć w potrzebie. Ale o dziwo żaden z tych pejzaży nie utkwiał mi w głowie. Choć tak się starałam, zawsze jakoś mi umykały i w końcu zostawało tylko wspomnienie tej walki, żeby je zapamiętać. Sam pejzaż zbyt szybko przemykał za oknem, więc nim cokolwiek dokładnie zobaczyłam, już mi wylatywało z głowy, ustępując miejsca kolejnej scenie, która także znikała, zanim miałam czas jej się przyjrzeć. Dziś pamiętam już tylko rozmytą plamę, jasną i piękną, ale rozmytą, a same drzewa, niebo i woda – pierzchały. Zawsze pierzchały, nim zdążyłam choćby na chwilę je pochwycić.

Nie wystarczy więc reagować niesmakiem. Wszyscy zapominają, nawet w najbardziej komfortowej sytuacji, a w takim miejscu jak to, gdzie tyle rzeczy znika całkiem dosłownie, w sensie najzupełniej fizycznym, wyobrażasz sobie, o ilu się codziennie zapomina. Ale problem nie tkwi w zapominaniu, tylko w tym, że różni ludzie zapominają różne rzeczy. Coś, co dla jednego jest wciąż żywym wspomnieniem, ktoś inny zdążył już nieodwołalnie zapomnieć, są więc trudności z porozumieniem, rosną nieprzekraczalne bariery. Jak mogę rozmawiać o samolotach z kimś, dla kogo słowo „samolot” nic nie znaczy? Jest to powolne, ale nieubłagane wymazywanie świata. Słowa są na ogół trochę trwalsze niż przedmioty, lecz i one prędzej czy później rozwiewają się w powietrzu – w ślad za obrazami, które niegdyś z nimi się kojarzyły. Przepadają całe kategorie rzeczy – doniczki, papierosy z filtrem, gumki-recepturki – i jeszcze przez jakiś czas po takim zniknięciu rozpoznaje się nazwy, nawet jeśli zapomniało się ich sens.

Potem jednak i słowa pomału zamieniają się w czyste dźwięki, przypadkowe zbitki spółgłosek trących i zwartoszczelinowych, wirujące kłębowiska fonemów i wreszcie zupełny bełkot. Słowo „doniczka” ma wtedy nie więcej sensu niż „splandigo”. Owszem, twój umysł przyjmie je do wiadomości, ale jako kompletnie niezrozumiały bulgot, wyraz z nieznanego języka. Im więcej pojawia się tych słów o obcym brzmieniu, tym trudniej jest rozmawiać. Dochodzi do tego, że każdy mówi swoim prywatnym językiem, coraz rzadziej zdarzają się chwile porozumienia i w końcu z nikim już nie można się dogadać.

Musiałam przestać się ludzi, że wrócę. Był to chyba jak dotąd najcięższy cios. Przedtem wmawiałam sobie, że wrócić mogę w każdej chwili. Ale gdy zobaczyłam mur wyrastający nad morzem i ten cały tłum, który zapędzono do pracy, żeby uniemożliwić ludziom ucieczkę, natychmiast rozwiała się ta moja największa nadzieja. Kiedy umarła Izabela, a zaraz potem straciłam mieszkanie, podpierałam się myślą o powrocie, teraz, jednak zabrano mi nawet tę ostatnią pociechę. Po raz pierwszy, odkąd przybyłam do Miasta, poddałam się fali pesymizmu.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie ruszyć w przeciwną stronę. Na zachodnim krańcu Miasta wznosił się Szaniec Skrzypka, który można było podobno przekroczyć za odpowiednią przepustką. Wszystko wydawało się lepsze niż Miasto, nawet skok w nieznaną, więc zaczęłam biegać od jednej rządowej agencji do drugiej i za każdym razem po kilku dniach stania w kolejce dowiadywałam się, że muszę złożyć podanie w jeszcze innym biurze, a w końcu i tak się okazało, że cena przepustki podskoczyła tymczasem do dwustu gлотów. Nie mogłam sobie na pozwolić na taką rozrzutność, bo za jednym zamachem wydałabym większą część oszczędności. Słyszałam plotki o podziemnej organizacji, która za jedną dziesiątą ceny pomagała ludziom wykraść się z Miasta, lecz wiele osób było zdania, że to tylko podstęp, sprytna pułapka zastawiona przez nowy rząd: na końcu tunelu stoją policjanci i każdego, kto się przeczołga, natychmiast odsyłają ciupasem do pracy w jednej kopalni na południu. Nie miałam jak sprawdzić wiarygodności tych pogłosek, ale uznałam, że to za duże ryzyko. Nadeszła zresztą zima i problem sam się rozwiązał. Wszelkie plany wyjazdu musiały poczekać do wiosny – zakładając, rzecz jasna, że wiosną bym jeszcze żyła, co w mojej ówczesnej sytuacji wydawało się mocno wątpliwe.

Tak strasznej zimy nie pamiętali najstarsi ludzie. Nazwano ją Złowrogą Zimą i jeszcze dziś, w wiele lat później, jest ona przełomowym wydarzeniem w dziejach Miasta, cezurą między dwiema epokami.

Mrozy trwały pięć, jeśli nie sześć miesięcy. Co pewien czas następowała krótka odwilż, ale te cieplejsze przerywniki tylko pogarszały sprawę. Śnieg potrafił padać przez cały tydzień: potężne, oślepiające zamiecie ubijały Miasto na białą miazgę, po czym na chwilę wychodziło słońce, aby zapalać bez mała letnim żarem. Śnieg topniał i jeszcze przed południem na ulicach zaczynał się istny potop. Rynsztoki zamieniały się w rwące strumienie i występowały z brzegów,

wszędzie jak okiem sięgnąć iskrzył się kalejdoskop wody i światła, jak gdyby świat przeistoczył się w ogromny, topniejący kryształ. Lecz nagle niebo ciemniało, nadciągała noc, temperatura spadała poniżej zera i woda raptownie zamarzała, lodowaciejąc w najprzedziwniejsze kształty, tworząc kopce, zmarszczki i spirale, całe fale zastygłe w pół ruchu, istną orgię geologiczną w miniaturze. Rano oczywiście nie sposób było chodzić po czymś takim: wszyscy ślizgali się i nakrywali nogami, czaszki trzaskały o lód, ciała miotały się bezradnie jak ryby po gładkiej, twardej powierzchni. A potem znów padał śnieg i cykl się powtarzał. Ciągnęło się to miesiącami, a nim nadeszła wiosna, zmarły tysiące. Bezdomni byli właściwie bez szans, ale nawet ci, co mieli dach nad głową i jadali do syta, zostali zdziesiątkowani. Stare domy zawały się pod ciężarem śniegu, miażdżąc na śmierć całe rodziny. Ludzie od mrozu tracili zmysły, a w niedogrzanych mieszkaniach nie było tak znów dużo przytulniej niż na dworze. Gdy rąbano meble na opał, ogień często wymykał się spod kontroli. Niemal dzień w dzień wybuchały pożary, trawiąc czasem całe osiedla czy wręcz dzielnice. Każdy taki pożar wabił gęste tłumy bezdomnych, którzy grzali się wokół niego, póki trwał, i wznosili radosne okrzyki, gdy płomienie wzbijały się w niebo. Wszystkie drzewa w Mieście wycięto i spalono. Znikły wszystkie zwierzęta domowe; wystrzelano wszystkie ptaki. Panował taki głód, że wstrzymano budowę Morskiego Muru – zaledwie w pół roku po jej rozpoczęciu – bo policjantów trzeba było odkomenderować do pilnowania dostaw żywności na miejskie targowiska. Mimo to parokrotnie dochodziło do rozruchów – stąd kolejne zgony, kalectwa, katastrofy. Nikt nie wie, ile osób zmarło tej zimy, ale słyszałam, że jedna czwarta, a może nawet jedna trzecia ludności.

Szczęście jakoś mi jednak sprzyjało. Pod koniec listopada o mało mnie nie aresztowano podczas głodowych zamieszek na Bulwarze Ptolemeusza. Był wściekły mróz i jak zwykle stała tam nie kończąca się kolejka. Kiedy przez ponad dwie godziny ani drgnęła, trzech mężczyźni stojący tuż przede mną zaczęli wymyślać policjantowi. Ten wyciągnął pałkę i ruszył prosto na nas, gotów przyłożyć każdemu, kto wejdzie mu w drogę. Zasada jest taka, że najpierw się paluje i dopiero potem zadaje pytania, a ja wiedziałam, że nie mam szans się obronić. Bez chwili zastanowienia wyskoczyłam z kolejki i pobiegłam, ile sił w nogach. Lekko zbity z tropu policjant zrobił za mną parę kroków, lecz zaraz się zatrzymał, bo wołał widocznie mieć na oku kolejkę, więc uznał, że jeśli ucieknę, to cóż, jeden kłopot mniej. Biegłam dalej, ale skręcając za róg usłyszałam w tłumie za sobą wrogi ryk. Wpadłam w panikę, wiedziałam bowiem, że za parę minut w okoliczne ulice wtargną oddziały policji do zadań specjalnych. Pędziłam co tchu, skręcając raz po raz, nie śmiać nawet się obejrzeć. Po kwadransie stwierdziłam, że biegnę wzdłuż jakiegoś kamiennego gmachu. Nie wiedziałam, czy ktoś mnie ściga, wtem jednak o kilka metrów przede mną otworzyły się drzwi, więc wbiegłam do środka. Na progu stał bladego mężczyzna w okularach. Miał właśnie wyjść, a kiedy prześliznęłam się obok niego, spojrzał na mnie ze zgrozą. Znalazłam się w jakimś biurze, w niedużym pokoju z kilkoma biurkami, stosami

papierzysk i książek.

– Nie miała pani prawa tu wejść – powiedział zniecierpliwionym tonem. – To jest biblioteka.

– Niech sobie będzie choćby rezydencja gubernatora – odparłam zgięta w pół, bo właśnie próbowałam złapać oddech. – Weszłam tu i żadna siła mnie nie wyrzuci.

– Będę musiał złożyć o pani meldunek – oświadczył z obłudną satysfakcją służbisty. – Nie można tu ot tak sobie włączyć prosto z ulicy. Tu jest biblioteka i bez przepustki nikt nie ma wstępu.

Jego pryncypialność tak mnie zirytowała, że aż mnie zatkało. Byłam na ostatnich nogach, u kresu wytrzymałości, więc zamiast z nim dyskutować, pchnęłam go z całych sił i przewróciłam; idiotyczny pomysł, ale już nad sobą nie panowałam. Kiedy rąbnął o ziemię, spadły mu okulary, a mnie przez chwilę nawet korciło, żeby je zdeptać.

– Składaj sobie ten swój meldunek – powiedziałam. – A mnie i tak trzeba będzie stąd wynieść.

Nim zdążył wstać, odwróciłam się i wybiegłam drzwiami w głębi pokoju.

Znalazłam się w imponującej sali o wysokim sklepieniu i marmurowych posadzkach. Zaskoczył mnie kontrast między maleńkim biurem a tym ogromem przestrzeni. Własne kroki wracały do mnie echem i nieomal słyszałam, jak szmer mojego oddechu odbija się od ścian. Tu i ówdzie jacyś ludzie spacerowali grupkami, rozmawiając półgłosem, najwidoczniej zatopieni w poważnych dysputach. Parę głów obróciło się, kiedy weszłam, ale był to tylko odruch i po chwili wszyscy znów zajęli się sobą. Staralam się mijać ich jak najciszej, możliwie dyskretnie, patrząc w podłogę i udając, że wiem, dokąd zmierzam. Kilkanaście metrów dalej znalazłam schody i ruszyłam na górę.

Nigdy przedtem nie byłam w Bibliotece Narodowej – w tym wspaniałym gmachu z portretami gubernatorów i generałów na ścianach, z rzędami kolumn we włoskim stylu i pięknymi marmurowymi mozaikami. Była ona jedną z wizytówek Miasta, lecz tak jak cała jego reszta najlepsze dni miała już za sobą. Na pierwszym piętrze zapadł się strop, kolumny poprzewracały się i popękały, wszędzie poniewierały się książki i papiery. Tu także przechadzały się grupki ludzi – głównie mężczyzn, jak wkrótce się zorientowałam – ale nikt mną się nie interesował. Za półkami, na których mieścił się katalog fiszek, odkryłam obite zieloną skórą drzwi na klatkę schodową. Weszłam na kolejne piętro, w długi, niski korytarz z rzędami drzwi po obu stronach. Nikogo tam nie było, a ponieważ w pokojach też zdawała się panować zupełna cisza, uznałam, że są puste. Nacisnęłam pierwszą z brzegu kłamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz, podobnie jak i drugie. Trzecie wbrew moim spodziewaniom otworzyły się: pięciu czy sześciu mężczyzn siedziało wokół drewnianego stołu, rozmawiając z przejęciem i ożywieniem. Pokój nie miał okien, z gołych ścian łuszczyła się żółtawa farba, z sufitu kapiała woda. Wszyscy mężczyźni byli brodaci, ubrani na czarno, w kapeluszach. Ich widok tak mnie zaskoczył, że

krzyknęłam półgłosem i chciałam zamknąć drzwi, ale najstarszy odwrócił się w moją stronę i posłał mi uśmiech tak cudowny, pełen takiego ciepła i dobroci, że się zawahałam.

– Czym możemy służyć? – spytał.

Mówił z obcym akcentem (wymawiał „sz” zamiast „ż”), ale nie umiałam odgadnąć, z jakiego kraju pochodzi. Czym możemy służyć. Spojrzałam mu w oczy i nagle wstrząsnął mną dreszcz: poznałam, kim jest.

– Myślałam, że wszyscy Żydzi już nie żyją – szepnęłam.

– Trochę jeszcze zostało – odparł, znów się uśmiechając. – Widzi pani, nie tak łatwo nas się pozbyć.

– Ja też jestem Żydówką – wyrwało mi się. – Nazywam się Anna Blume i przyjechałam z daleka, już ponad rok temu. Szukam brata, ale pewnie panowie go nie znają? Na imię mu William.

– Nie, droga pani – odrzekł, kręcąc głową. – Nigdy nie zetknąłem się z pani bratem.

Spojrzał ponad stołem na towarzyszy i zadał im to samo pytanie, ale żaden nie wiedział, kim jest William.

– Minęło już sporo czasu – dodałam. – Jeśli nie zdołał jakoś stąd się wydostać, na pewno nie żyje.

– Bardzo możliwe – zgodził się ze mną rabin. – Umarło już tyle osób. Lepiej nie liczyć na cud.

– Nie wierzę w Boga, jeśli to jego cuda ma pan na myśli – powiedziałam. – Już w dzieciństwie dałam sobie spokój z religią.

– Trudno się dziwić – rzekł. – Wobec takich dowodów rzeczowych to całkiem naturalne, że wielu ludzi podziela pani zdanie.

– Nie powie pan chyba, że wy w niego wierzycie – zdziwiłam się.

– Mówimy do niego, a czy nas słyszy, to inna historia.

– Moja przyjaciółka Izabela wierzyła w Boga – ciągnęłam. – Też już nie żyje. Sprzedałam jej Biblię za siedem glutów panu Gambino, temu Reanimatorowi. To ciężki grzech, prawda?

– Nie jest powiedziane. Są rzeczy ważniejsze od ksiązek. Najpierw jedzenie, potem modlitwa.

W obecności rabina ogarnął mnie przedziwny stan: im dłużej do mnie mówił, tym bardziej dziecinniał mój głos. Może przypominało mi się wczesne dzieciństwo, ta barbarzyńska epoka, kiedy jeszcze wierzyłam ojcom i nauczycielom. Sama nie wiem, jak to się działo, ale stojąc przed nim czułam mocny grunt pod nogami i wiedziałam, że mogę ufać temu człowiekowi. Niemal bezwiednie sięgnęłam do kieszeni płaszcza po fotografię Samuela Farra.

– Jego też szukam – powiedziałam. – Nazywa się Samuel Fan i może wiedzieć, co się stało z moim bratem.

Podalam zdjęcie rabinowi, który przyjrzał mu się uważnie, ale pokręcił głową i powiedział, że nie poznaje. Zanim zdążyłam poddać się fali zawodu, odezwał się mężczyzna siedzący naprzeciw rabina. Był najmłodszy i nie miał jeszcze prawdziwej brody, tylko rudawą bródkę.

– Rabbi – rzekł nieśmiało. – Mogę coś powiedzieć?

– Nie musisz pytać o pozwolenie, Izaaku – odparł rabin. – Mów, co tylko zechcesz.

– Oczywiście nie jestem pewien, ale chyba znam tego pana – oświadczył młody człowiek. – A przynajmniej kogoś o tym nazwisku. Może to nie ten, którego pani szuka, ale nazwisko nie jest mi obce.

– Skoro tak, rzuć okiem – rzekł rabin, śmigając zdjęciem po blacie.

Izaak spojrział na fotografię, ale jego posępna mina i brak jakiegokolwiek reakcji natychmiast odebrały mi wszelką nadzieję.

– Bardzo marna podobizna – stwierdził w końcu. – Ale po dokładnych oględzinach utwierdziłem się w przekonaniu, że znam tego człowieka. – Na jego bladej twarzy uczonego zabłysł uśmiech. – Parę razy z nim rozmawiałem. Jest inteligentny, ale zgorzkniały do szczytu. Prawie w niczym się nic zgadzamy.

Nie wierzyłam własnym uszom. Nim zdążyłam się odezwać, rabin zapytał:

– Gdzie on mieszka, Izaaku?

– Sam Farr mieszka całkiem sam – odparł Izaak, nie mogąc się oprzeć pokusie, żeby zażartować – i całkiem niedaleko. – Zachichotał, po czym wyjaśnił:

– Mieszka tu, w bibliotece.

– Naprawdę? – spytałam po chwili milczenia. – Czy to aby pewne?

– Oczywiście. Mogę panią do niego zaprowadzić choćby zaraz. – Izaak zawahał się, po czym dodał, zwracając się do rabina:

– To znaczy jeśli dostanę pozwolenie.

Ale rabin miał trochę niespokojną minę.

– Czy ten człowiek jest związany z którąś akademią? – spytał.

– Nic mi o tym nie wiadomo – rzekł Izaak. – Chyba jest niezależny. Podobno dawniej pracował dla jakiejś gazety.

– Zgadza się – wtrąciłam. – To na pewno on. Samuel Farr jest dziennikarzem.

– A co teraz robi? – ciągnął rabin, nie zważając na moje słowa.

– Píše książkę. Nie wiem o czym, ale zdaje się, że w pewnym sensie o Mieście. Rozmawialiśmy parę razy w hallu na dole. Zadaje bardzo dociekliwe pytania.

– A czy z nami sympatyzuje? – pytał dalej rabin.

– Jest neutralny. Za nikim się nie opowiada. To człowiek udręczony, ale całkowicie bezstronny, absolutnie bezinteresowny.

– Zdaje sobie pani sprawę, że mamy wielu wrogów – wyjaśnił mi rabin. – Nasz los jest

niepewny, odebrano nam bowiem pełny status akademicki, muszę więc postępować z najdalej posuniętą ostrożnością.

Kiwnęłam głową, jakbym wiedziała w czym rzecz.

– Ale skoro tak się sprawy mają – dodał – nie widzę nic złego w tym, żeby Izaak pokazał pani, gdzie ten człowiek mieszka.

– Dziękuję, rabbi – powiedziałam. – Jestem ogromnie zobowiązana.

– Izaak zaprowadzi panią do drzwi i ani kroku dalej. Czy to jasne, Izaaku? – Spojrzał na swego ucznia ze spokojem człowieka, który pewien jest swego autorytetu.

– Tak, rabbi – powiedział Izaak.

Rabin wstał od stołu i podał mi rękę.

– Proszę koniecznie jeszcze mnie kiedyś odwiedzić, Anno – rzekł. Nagle zobaczyłam, jaki jest stary i zmęczony. – Chcę wiedzieć, jak się potoczyła ta sprawa.

– Na pewno przyjdę – obiecałam. – Słowo.

Pokój mieścił się na dziewiątym – czyli ostatnim – piętrze. Izaak czmychnął, skoro tylko mnie tam zaprowadził, mrużąc jakieś niewyraźne przeprosiny, że nie może mi dłużej towarzyszyć, i nagle znów zostałam sama w ciemnym choć oko wykol korytarzu, z małą świeczką w lewej ręce. W Mieście obowiązuje zasada, że nie puka się do drzwi, jeśli się nie wie, co jest za nimi. Czy tylko po to odbyłam tę długą drogę, żeby ściągnąć na swoją głowę kolejne nieszczęście? Samuel Farr istniał dla mnie dotąd wyłącznie jako nazwisko, symbol niemożliwych tęsknot i absurdalnych nadziei – impuls, dzięki któremu trzymałam się na nogach – lecz gdy wreszcie stanęłam pod jego drzwiami, wpadłam w popłoch. Gdyby nie to, że świeczka szybko się dopalała, nie wiem, czy odważyłabym się zapukać.

Szorstki, nieprzyjazny głos odpowiedział:

– Proszę odejść.

– Szukam Samuela Farra – wyjaśniłam. – Czy to pan Farr?

– Kto pyta?

– Anna Blume.

– Nie znam żadnej Anny Blume – odparł głos. – Proszę odejść.

– Jestem siostrą Williama Blume – ciągnęłam. – Szukam pana od ponad roku. Nie może mnie pan teraz odprawić z kwitkiem. Jeżeli pan nie otworzy, będę pukać aż do skutku.

Usłyszałam szuranie krzesła po podłodze, odgłos zbliżających się kroków i zgrzyt zasuw. Drzwi otworzyły się i nagle przykryła mnie z głową fala światła, potop słońca tryskający z okna pokoju aż na korytarz. Minęło parę chwil, nim moje oczy przywykły do tej zmiany. Kiedy wreszcie mogłam przyjrzeć się stojącej przede mną postaci, najpierw zobaczyłam pistolet – mały czarny pistolecik wymierzony prosto w mój brzuch. Owszem, miałam przed sobą Samuela Farra,

lecz, jakże odmienionego. Krzepki młodzian ze zdjęcia przedzierzgnął się w wychudłego, brodatego osobnika z podkrążonymi oczami, emanującego jakąś nerwową, nieobliczalną w działaniu energią. W sumie wyglądał, jakby nie spał od miesiąca.

– Skąd mam wiedzieć, że się pani nie podszywa? – spytał.

– Stąd, że panu mówię. Byłby pan głupi, gdyby mi pan nie uwierzył.

– Muszę mieć jakiś dowód. Nie wpuszczę pani, póki mi go pani nie przedstawi.

– Proszę posłuchać, jaki mam akcent: identyczny jak pan. Pochodzimy z tego samego kraju, z jednego miasta. Pewnie nawet wychowaliśmy się w tej samej dzielnicy.

– Akcentu każdy może się nauczyć. Jeszcze mnie pani nie przekonała.

– A to? – spytałam, sięgając do kieszeni płaszcza po zdjęcie. Wpatrywał się w nie przez dziesięć, dwadzieścia sekund, nie mówiąc ani słowa, a przez tę chwilę, cały jakby stopniowo się miał, marszczył, zapadał w siebie. Nim znów podniósł na mnie wzrok, zobaczyłam, że ręka z pistoletem bezwładnie mu opadła.

– Mój Boże – prawie szepnął. – Skąd pani to ma?

– Od Bogata. Dał mi przed wyjazdem.

– To ja. Tak właśnie wyglądałem.

– Wiem.

– Trudno uwierzyć, co?

– Wcale nie tak trudno. Proszę nie zapominać, od jak dawna pan tu jest.

Na chwilę jakby gdzieś odbiegł myślą. Nim znów na mnie spojrział, zdążył chyba zapomnieć, skąd się wzięłam.

– Zaraz, zaraz, kim pani właściwie jest? – Uśmiechnął się przeproszająco, a ja zauważyłam, że brak mu paru dolnych zębów.

– Jestem Anna Blume. Siostra Williama Blume.

– Blume jak „sum” albo „tum”?

– Zgadza się. Blume jak „dzum” albo „pum”. Do wyboru, do koloru.

– Chciałabyś wejść, co?

– Tak. Po to tu przyszłam. Sporo mamy do omówienia.

Pokój był mały i niski, ale nie aż tak, żeby nie mogły w nim się zmieścić dwie osoby: materac na podłodze, biurko i krzesło przy oknie, w kącie piec opalany drewnem, pod ścianą mnóstwo papierów i książek, odzież w tekturowym pudle. Przypominał pokój studencki, trochę taki jak twój w akademiku, kiedy przyjechałam cię odwiedzić. Pochyły sufit tak raptownie opadał ku oknu, że nie dałoby się tam podejść, nie zginając się w pół. Za to okno było nadzwyczajne: przepiękny wachlarz prawie na całą ścianę, ułożony z grubych szybek rozdzielonych wąskimi paskami ołowiu, o wzorze zawiłym jak skrzydło motyla. Widoczny z niego pejzaż ciągnął się całymi kilometrami, aż po Szaniec Skrzyпка, a nawet dalej.

Gospodarz wskazał mi łóżko, a sam usiadł na obrotowym krześle przy biurku i skrzył je w moją stronę. Przeprosił za to, że przywitał mnie z pistoletem w garści, ale był w bardzo niepewnej sytuacji i nie mógł sobie pozwolić na najmniejsze ryzyko. Mieszkał w bibliotece już od roku i pomału rozeszły się pogłoski, że trzyma u siebie w pokoju grubszą forszę.

– Sądząc po tym wnętrzu – powiedziałam – nigdy bym nie zgadła, że jesteś bogaty.

– Na siebie nic nie wydaję. Wszystko inwestuję w swoją książkę. Płacę ludziom za to, że tu przychodzą i ze mną rozmawiają. Stawka zależy od długości wywiadu. Głot za pierwszą godzinę i po pół głota za każdą następną. Przepytalem już setki ludzi, wysłuchuję historii za historią. Nie widzę innego sposobu, bo to taki rozległy temat, że jeden człowiek go nie wyczerpie.

Sarn przybył do Miasta na polecenie Bogata i wciąż jeszcze się zastanawiał, co go opętało, że przyjął tę delegację.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że twój brata spotkało coś strasznego – powiedział. – Przez pół roku nie dał znaku życia, a każdy, kto ruszyłby w ślad za nim, też wpadłby jak śliwka w kompot. Oczywiście Bogata nic to nie obchodziło. Kiedyś rano wezwał mnie do gabinetu i powiada: „Oto szansa, na którą czekałeś, młody człowieku. Wysyłam cię, żebyś zastąpił Blume’a”. Instrukcja była jasna: pisać relacje, ustalić, co się stało z Williamem, no i przeżyć. W trzy dni później odbyło się pożegnalne przyjęcie: szampan, cygara. Bogat wznosił toast, wszyscy wypili za moje zdrowie, ściskali mi rękę, klepali po plecach. Czuję się jak gość na własnym pogrzebie. Ale na mnie przynajmniej nie czekało w domu troje dzieci ani akwarium ze złotymi rybkami – w przeciwieństwie do takiego choćby Willoughby’ego. Nasz szef to człowiek wrażliwy, cokolwiek poza tym można by mu zarzucić. Nigdy nie miałem pretensji, że wybrał właśnie mnie. W gruncie rzeczy sam pewnie chciałem tu przyjechać. W każdej chwili mogłem przecież się zwolnić. No i tak to się zaczęło. Spakowałem manatki, zatemperowałem ołówki, pożegnałem się ze wszystkimi. To już ponad półtora roku. Nie muszę ci mówić, że nie wysłałem ani jednej relacji i nie znalazłem Williama. Na razie wygląda na to, że przeżyłem. Ale nie założylbym się, jak długo jeszcze potrwa ten skądinąd korzystny stan.

– Miałam nadzieję, że dowiem się od ciebie o Williamie czegoś bardziej rozstrzygającego – odparłam. – W tę czy wewtę.

Pokręcił głową.

– Tutaj nigdy nie wie się nic rozstrzygającego. Biorąc pod uwagę wachlarz możliwości, powinnaś być raczej zadowolona.

– Nie dam za wygraną. Przynajmniej póki nie dowiem się czegoś pewnego.

– Twoje prawo. Ale chyba niemądrze byłoby spodziewać się czegoś lepszego niż najgorsze.

– To samo powiedział rabin.

– Powie ci to każdy rozsądny człowiek.

Głos mu się trząsał, gdy opowiadał mi o sobie kpiarskim tonem, skacząc z tematu na temat, aż

z trudem nadażałam. Wydawało mi się, że jest o krok od załamania, że wziął na siebie zbyt wiele i ledwo się trzyma na nogach. Powiedział mi, że zapełnił już notatkami ponad trzy tysiące stron. Gdyby dalej pracował w tym tempie, za pięć, sześć miesięcy skończyłby może brudnopis książki. Sęk w tym, że gonił resztkami pieniędzy i w ogóle miał złą passę. Nie mógł już sobie pozwolić na to, żeby płacić za wywiady, a wobec tak fatalnego stanu finansów ostatnio jadał tylko co drugi dzień, co oczywiście pogarszało sprawę. Opadał z sił i chwilami tak mu się kręciło w głowie, że sam nie widział, co pisze. Czasem zasypiał przy biurku, nawet nie wiedząc kiedy.

– Zarznieś się, nim skończysz – stwierdziłam. – Gdzie tu sens? Rzuć w kąć tę całą książkę i zacznij wreszcie dbać o siebie.

– Nie mogę przerwać. To moja ostatnia deska ratunku. Tylko pisząc zapominam o sobie i nie grzęznę w bagienku własnego życia. Gdybym przerwał, byłoby po mnie. Ani dnia bym nie przeżył.

– I tak nikt nie przeczyta tej twojej choleryjnej książki – rzekłam gniewnie. – Nie zdajesz sobie sprawy, czy co? Wszystko jedno, ile stron napiszesz. Nikt nigdy nie zobaczy, czego dokonałeś.

– Nieprawda. Zabiorę ze sobą rękopis, kiedy będę wracał. Książka się ukaże i wszyscy się dowiedzą, co tu się dzieje.

– Nie wiesz, co mówisz. Nie słyszałeś o Morskim Murze? Już nie można stąd się wydostać.

– Wiem o Morskim Murze. Ale morze to tylko jedna z wielu dróg. Są inne, możesz mi wierzyć. Na północ wzdłuż wybrzeża. Na zachód przez opuszczone terytoria. Kiedy przyjdzie pora, będę gotów.

– Nie dożyjesz. Zanim skończy się zima, do niczego nie będziesz gotów.

– Trafi się jakaś okazja. A jeśli nie, to dla mnie i tak bez znaczenia.

– Ile ci zostało pieniędzy?

– Nie wiem. Chyba jakieś trzydzieści, trzydzieści pięć gлотów.

Zatkało mnie, kiedy usłyszałam, że ma tak niewiele. Choćby nie wiedzieć jak oszczędzał, kupując tylko rzeczy naprawdę niezbędne, trzydzieści gлотów mogło starczyć najwyżej na trzy, cztery tygodnie. Nagle zrozumiałam, w jak niebezpiecznej jest sytuacji. Szedł prosto na spotkanie śmierci i nawet sobie z tego nic zdawał sprawy.

Raptem słowa same zaczęły mi się cisnąć na usta. Nie wiedziałam, co znaczą, póki ich nie usłyszałam, ale wtedy było już za późno.

– Ja też mam pieniądze – powiedziałam. – Niewiele, ale więcej niż ty.

– No to się ciesz – odparł.

– Nie rozumiesz. Mówię, że mam pieniądze, bo chce się z tobą podzielić.

– Podzielić? Niby po co?

– Żebyśmy oboje przeżyli. Ja szukam mieszkania, a ty potrzebujesz pieniędzy. Wspólnie mamy szansę przeżyć zimę. Inaczej oboje umrzemy. Nie widzę innej możliwości. Umrzemy,

a byłoby głupio, skoro można tego uniknąć.

Bezpośredniość, z jaką to powiedziałam, zaszokowała nas oboje i na chwilę zapanowało milczenie. W jakiś dziwny sposób powiedziałam prawdę – naga, groteskową, ale jednak prawdę. W pierwszym odruchu chciałam przeprosić, lecz moje słowa wisiały jeszcze w powietrzu między nami i wydawały się wciąż tak samo sensowne, więc nie bardzo miałam ochotę je cofać. Oboje chyba rozumieliśmy, co się dzieje, ale wcale nie było nam przez to łatwiej wymówić następne słowo. Przecież w takich sytuacjach ludzie w Mieście popełniają morderstwa. Zabić kogoś, żeby zdobyć pokój czy choćby garść bilonu, to dla nich drobiazg. Może chroniło nas przed sobą nawzajem po prostu to, że nie byliśmy ludźmi z Miasta, tylko przybyszami z daleka? Wychowaliśmy się gdzie indziej i ten jeden szczegół kazał nam sądzić, że trochę się znamy? Nie jestem pewna. W naszym raptownym, przypadkowym spotkaniu było coś ponadosobistego, coś, co nadawało mu swoistą logikę i siłę niezależną od któregośkolwiek z nas. Rzuciłam szaloną propozycję, wykonałam dziki skok w sferę intymności, a Sam w ogóle się nie odezwał. Czułam, że już samo to milczenie jest niezwykle, a im dłużej trwało, tym bardziej zdawało się uwierzytelniać moje słowa. Gdy wreszcie je przerwał, nie było już o czym dyskutować.

– Strasznie tu ciasno – powiedział, rozglądając się po swojej klitce. – Gdzie chcesz spać?

– Wszystko jedno – odparłam. – Coś się wymyśli.

– William wspominał mi o tobie – rzekł z leciutkim uśmiechem, ledwie widocznym w kącikach ust. – Nawet mnie ostrzegał. „Jakbyś kiedyś poznał moją małą siostrzyczkę, to uważaj – mówił. – Niezła z niej rakieta”. Miał rację, Anno Blume? Niezła z ciebie rakieta?

– Wiem, o czym myślisz – powiedziałam. – Ale nie martw się. Nie będę ci przeszkadzać. Nie jestem przecież głupia. Umiem czytać i pisać. Umiem myśleć. Przy mojej pomocy dużo szybciej skończysz książkę.

– Nie martwię się, Anno Blume. Wchodzisz tu prosto z mrozu, rzucasz się na moje łóżko i chcesz się ze mną podzielić swoim majątkiem, a ja miałbym się martwić?

– Bez przesady. To niecałe trzysta glotów. Nawet nie dwieście siedemdziesiąt pięć.

– No przecież mówię że majątek.

– Jak sobie chcesz.

– Tak, chcę. I wiesz, co ci jeszcze powiem? Oboje mamy cholerne szczęście, że pistolet nie był nabity.

W ten sposób przeżyłam Złowrogą Zimę. Zamieszkałam z Samem w bibliotece i przez następne pół roku jego mały pokój stał się dla mnie centrum świata. Chyba cię to nie zaszkuje, jeśli powiem, że w końcu zaczęliśmy sypiać w jednym łóżku. Musielibyśmy być z kamienia, żeby się oprzeć pokusie, a gdy jej wreszcie ulegliśmy w trzecią czy czwartą noc, oboje czuliśmy, że głupio zrobiliśmy, tak długo zwlekając. Z początku była to sprawa czysto fizyczna, zwanie

obląkanych ciał, kłębowisko kończyn, chluśnięcie spiętrzonych żądź. Ulżyło nam ogromnie, więc przez kilka dni napawaliśmy się sobą aż do zupełnego wyczerpania. Potem tempo spadło, bo kiedyś przecież spaść musiało, a w ciągu następnych tygodni pomału zakochaliśmy się w sobie. Nie połączyła nas zwykła tkliwość ani uroki wspólnej codzienności, lecz zakochanie tak głębokie i nieodwołalne, że w końcu poczuliśmy się, jakbyśmy byli zaślubieni i nigdy już nie mieli się rozstać.

Były to moje najlepsze dni. Dobrze mnie zrozum: najlepsze nie tylko tutaj, ale w ogóle w życiu. Tak, to dziwne, że w tym strasznym czasie mogłam być taka szczęśliwa, ale zawdzięczam to Samowi. Nasze spotkanie na pozór niewiele zmieniło. Borykałam się z identycznymi trudnościami, codziennie musiałam rozwiązywać identyczne problemy, zaświtał mi jednak cień nadziei, więc uwierzyłam, że nasze kłopoty prędzej czy później się skończą. Sam wiedział o Mieście więcej niż ktokolwiek, z kim zdarzyło mi się rozmawiać. Potrafił wymienić wszystkie rządy z ostatnich dziesięciu lat; wyrecytować z pamięci nazwiska gubernatorów, burmistrzów i ich niezliczonych podwładnych; opowiedzieć, skąd wzięli się Mytnicy, jak zbudowano energownie, podać szczegółowe charakterystyki nawet najbardziej marginalnych sekt. Otuchą napawało mnie jednak właśnie to, że choć tyle wie, widzi przed nami szansę ucieczki. Nie przekręcał faktów. Jako dziennikarz wyrobił w sobie pewien sceptycyzm: żadnych pobożnych życzeń ani mętnych hipotez. Skoro twierdził, że zdołamy wrócić do domu, widocznie wiedział, że to da się zrobić.

W sumie wcale nie był beztroskim optymistą. Raz po raz wzbierała w nim jakaś furia i nawet śpiąc chyba się męczył, bo miotał się pod kołdrą, jakby we śnie z kimś walczył. Kiedy się do niego wprowadziłam, był w kiepskiej formie – niedożywiony, co chwila wstrząsany atakami kaszlu – potrzebowałam więc miesiąca z okładem, żeby go doprowadzić do jakiegoś takiego stanu. Przez ten czas prawie wszystko było na mojej głowie: zakupy, wylewanie brudów z wiadra, gotowanie, sprzątanie. Gdy dość się wzmocnił, żeby zaryzykować wyjście na mróz, zaczął wymykać się rano i załatwiać różne sprawy, a mnie kazał leżeć w łóżku i odsypiać. Miał wielki dar okazywania dobroci i umiał mnie kochać: nie sądziłam, że zaznam w życiu tak dobrej miłości. Zdarzały mu się momenty udreki, która czasem nas rozdzielała, potrafił jednak sam z nią się rozprawić. Książka pozostała jego obsesją i często zapracowywał się ponad własną wytrzymałość. Skomponowanie spójnego tekstu z tego chaosu materiałów, które zgromadził, wydawało mu się chwilami niewykonalne. Tracił nagle wiarę w sens przedsięwzięcia. Zaczynał wygadywać, że książka nie trzyma się kupy – ot, stos papierzysek, w których usiłuje powiedzieć coś, na co brak słów – i popadał w depresję trwającą czasem dzień, a czasem trzy dni. Po tych czarnych godzinach zawsze następowały przyływy nadzwyczajnej czułości. Kupował mi drobne prezenty: jabłko, wstążkę do włosów, kawałek czekolady. Pewnie źle robił, trwoniąc pieniądze, ale nie umiałam oprzeć się wzruszeniu. Na co dzień grałam pragmatyczkę, przyziemną kure

domową, skrzętną i zrzedną, lecz ilekroć zdarzał mu się jeden z tych rozrzutnych gestów, zalewała mnie niepohamowana fala radości. Nic na to nie mogłam poradzić. Żeby żyć, musiałam czuć, że mnie kocha, i nawet jeśli trochę wcześniej miały nam się przez to skończyć oszczędności, gotowa byłam zapłacić tę cenę.

Oboje staliśmy się namiętnymi palaczami. Tytoń to tutaj okropnie drogi rarytas, ale Sam zbierając materiały do książki nawiązał trochę kontaktów na czarnym rynku, więc często udawało mu się kupić dwadzieścia papierosów raptem za glota czy półtora. I były to prawdziwe, staroświeckie, fabryczne papierosy w kolorowych opakowaniach, nawet w celofanie. Skradziono je niegdyś ze statków rozmaitych dobroczynnych misji, toteż zwykle nie umieliśmy nawet przeczytać obcojęzycznych nazw. Paliliśmy po zmroku: leżąc w łóżku patrzyliśmy przez ogromny wachlarz okna we wzburzone niebo, na chmury raz po raz przesłaniające księżyc, na maleńkie gwiazdki, na sypiące z góry zamiecie. Wydmuchiwaaliśmy dym ustami i obserwowaliśmy, jak sunie przez pokój, rzucając na przeciwległą ścianę zwiewne cienie. Była w tym wszystkim przepiękna ulotność, poczucie, że los wlecze nas za sobą w zapoznane zakamarki zapomnienia. Często w takich chwilach rozmawialiśmy o starym kraju, starając się przywołać jak najwięcej wspomnień, wskrzesić niespieszną inwokacją nawet najkrótsze, jedyne w swoim rodzaju mgnienia – klony wzdłuż Alei Miro, gdy nadciągał październik; zegary z rzymskimi cyframi w klasach szkoły publicznej; lampę w kształcie zielonego smoka w chińskiej knajpce naprzeciw uniwersytetu. Umieliśmy wspólnie napawać się ich aromatem, na nowo delektować się miliardem detali wziętych ze świata, który oboje znaliśmy od dzieciństwa, i chyba podtrzymywało nas to na duchu, dodawało wiary, że kiedyś jednak zdołamy tam wrócić.

Nie wiem, ile osób mieszkało wtedy w bibliotece, ale pewnie grubo ponad setka, może nawet więcej. Byli to wszystko uczeni i pisarze, niedobitki Ruchu Odnowy, który powstał w poprzednim dziesięcioleciu. Wiem od Sama, że rząd, który wyłonił się z ówczesnej burzy, w ramach polityki tolerancji zakwaterował uczonych w paru gmachach publicznych rozsianych po Mieście – w uniwersyteckiej sali gimnastycznej i jej przyległościach, w opuszczonym szpitalu i wreszcie w Bibliotece Narodowej. Wszystkie te kwatery pozostawały na rządowym garnuszku (co wyjaśniało obecność żeliwnego piecyka w pokoju Sama i cudowną sprawność zlewów i ubikacji na piątym piętrze), z czasem zaś program rozszerzono, obejmując nim kilka ugrupowań religijnych oraz zagranicznych dziennikarzy. Lecz gdy w dwa lata później do władzy doszedł nowy rząd, zaniechano tej polityki. Naukowców co prawda nie eksmitowano, wstrzymano jednak rządowe subwencje. Oczywiście trup zaczął słać się gęsto, kiedy uczeni w obliczu ponurej konieczności ruszyli do Miasta w poszukiwaniu nowej pracy. Ci, co przeżyli, byli w znacznej mierze zdani na siebie, bo kolejne rządy nie poświęcały im najmniejszej uwagi. Wśród rozmaitych odłamów bibliotecznego ludku wytworzyła się swego rodzaju ostrożna solidarność, akurat na tyle silna, żeby intelektualisci różnej maści mieli ochotę rozmawiać i wymieniać

poglądy. Właśnie dlatego krążyli grupkami po hallu, tak jak to widziałam pierwszego dnia. Co rano odbywały się dwugodzinne kolokwia – tak zwane Poranki Perypatetyków – otwarte dla wszystkich mieszkańców gmachu. Sam poznał Izaaka na jednej z tych sesji, zwykle ich jednak unikał, uczeni wydawali mu się bowiem niezbyt interesujący – a jeśli już, to tylko jako zjawisko samo w sobie, jeszcze jeden aspekt życia w Mieście. W większości pochłonięci byli dość ezoterycznymi przedsięwzięciami: poszukiwali paraleli między bieżącymi wydarzeniami a przykładami z klasyków, dokonywali analizy statystycznej tendencji demograficznych, kompilowali nowe słowniki i tak dalej. Sam uważał tego rodzaju dociekania za coś zupełnie zbędnego, starał się jednak pozostawać ze wszystkimi na dobrej stopie, wiedząc, że uczeni potrafią być wredni, jeśli sądzą, że z nich się kpi. Wielu przelotnie poznałam, kiedy stałam z wiadrem w kolejce do zlewu na piątym piętrze, wymieniałam z kobietami kulinarne pomysły i słuchałam plotek, lecz za radą Sama nie wikałam się w żadne układy, zachowując przyjazną rezerwę.

Oprócz Sama rozmawiałam tylko z rabinem. W pierwszym miesiącu odwiedzałam go najczęściej, jak się dało – późnym popołudniem, jeśli miałam akurat wolną godzinę, albo przy jednej z tych rzadkich okazji, kiedy Sam siedział zatopiony w pracy nad książką, a ja zdążyłam już się uporać z wszystkimi domowymi robotkami. Rabin często był zajęty, bo miał przecież swoich uczniów, więc nie zawsze mógł znaleźć dla mnie czas, udało nam się jednak parę niezłych rozmów. Najlepiej pamiętam, co mi powiedział podczas ostatniej wizyty. Tak mnie to uderzyło, że wciąż o tym myślę. Otóż każdy Żyd sądzi, że należy do ostatniego żydowskiego pokolenia. Zawsze wisi nad nami widmo zagłady, stale balansujemy na krawędzi ostatniej chwili, więc niby czemu akurat teraz miałyby być inaczej? Może dlatego tak wyraźnie pamiętam te słowa, że nigdy więcej go nie ujrzałam. Kiedy następnym razem zeszłam na drugie piętro, zamiast rabina zastałam tam chudego, łysego mężczyznę w okularach w drucianej oprawce. Zaciekle pisał w zeszycie, siedząc przy stole między stertą papierów a stosikiem kości i czaszek, które musiały chyba pochodzić z ludzkich szkieletów. Ledwie weszłam, spojrzał na mnie z irytacją, a nawet wrogością.

– Nie nauczono pani pukać? – spytał.

– Szukam rabina – odparłam.

– Już go tu nie ma – rzekł zniecierpliwionym tonem. Zacisnął usta i spojrzał na mnie jak na idiotkę. – Wszyscy Żydzi wynieśli się dwa dni temu.

– O czym pan mówi?

– Żydzi wynieśli się, dwa dni temu – powtórzył, sapiąc ze wstrętem. – Jutro kolej na jansenistów, a w poniedziałek na jezuitów. Z księżycą pani spadła, czy co?

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi.

– O nowych przepisach. Ugrupowaniom religijnym odebrano status akademicki. Nie

wyobrażam sobie, jak można być taką ciemniaczką.

– Nie musi mi pan ubliżać. Kim pan w ogóle jest?

– Nazywam się Dujardin. Henri Dujardin. Jestem etnografem.

– I to panu przydzielono ten pokój?

– Najdokładniej. Jest teraz mój.

– A zagraniczni dziennikarze? Czy ich status też się zmienił?

– Nie wiem. Nic mnie to nie obchodzi.

– Pewnie obchodzą pana tylko te kości i czaszki.

– Zgadza się. Właśnie je analizuję.

– Do kogo należały?

– Pochodzą z anonimowych trupów. Z ludzi, którzy zamazali na śmierć.

– Wie pan, gdzie teraz jest rabin?

– Zapewne w drodze do Ziemi Obiecanej – odparł z sarkazmem. – Niech pani wreszcie sobie idzie. Już dość czasu przez panią straciłem. Mam ważną pracę i nie lubię, żeby mi przerywano. Dziękuję. I proszę nie zapomnieć o zaniknięciu drzwi.

W końcu nowe przepisy nie dały się we znaki Samowi ani mnie. Fiasko budowy Morskiego Muru podważyło pozycję rządu, więc nim zdążył on rozwiązać kwestię zagranicznych dziennikarzy, do władzy doszła nowa klika. Eksmisja ugrupowań religijnych była jedynie absurdalnym, desperackim pokazem siły, nijak nie uzasadnionym atakiem na bezbronnych ludzi. Zupełnie oszołomiona bezsensem tych represji, tym bardziej nie mogłam się pogodzić ze zniknięciem rabina. Widzisz, co to za kraj. Wszystko znika. Ludzie tak samo nieodwołalnie jak rzeczy, żywi razem z umarłymi. Oplakiwałam utratę przyjaciela, zmiażdżona bezmiarem nieszczęścia. Nie mogłam nawet pocieszać się pewnością, że go zabito: pozostawała tylko pustka, żarłoczna nicość.

Odtąd książka Sama stała się najważniejszą sprawą w moim życiu. Uświadomiłam sobie, że póki będzie nad nią pracował, przyszłość nie przestanie dla nas istnieć. Tłumaczył mi to już pierwszego dnia, lecz dopiero teraz to zrozumiałam. Wzięłam na siebie wszystkie pomocnicze prace: numerowałam strony, redagowałam wywiady, opracowywałam ostateczne wersje i własnoręcznie przepisywałam je na czysto. Oczywiście lepszy byłby maszynopis, ale Sam sprzedał swoją maszynę przed kilkoma miesiącami, a w żaden sposób nie mogliśmy sobie pozwolić na nową. Nawet o ołówki i pióra było dość trudno. Złowroga Zima wyśrubowała ceny jak nigdy przedtem. Gdyby nie moich sześć ołówków – i dwa długopisy, które znalazłam na ulicy – nasz zapas przyborów do pisania mógłby się wyczerpać. Papieru mieliśmy pod dostatkiem (Sam przyniósł ze sobą dwanaście ryz, kiedy się wprowadzał do biblioteki), ale problemem były świece. Dla oszczędności staraliśmy się pracować za dnia, ale w środku zimy, gdy słońce tylko

przez parę godzin kreśliło na niebie skąpy łuk, nie mogliśmy uniknąć pewnych ofiar, jeśli praca nad książką nie miała się wlec w nieskończoność. Próbowaliśmy ograniczyć palenie do czterech, pięciu papierosów na wieczór, a Sam z powrotem zapuścił brodę. Żyłki były przecież luksusem, a my musieliśmy wybierać: gładka twarz Sama albo moje gładkie nogi. Ustaliliśmy od ręki, że nogi są ważniejsze.

Świec potrzebowaliśmy bez względu na porę dnia, jeśli akurat szliśmy między regały. Książki składowano w środkowej części budynku, pozbawionej okien. Ponieważ już dawno odcięto dopływ prądu, trzeba było wędrować z własnym światłem. Podobno Biblioteka Narodowa zawierała niegdyś ponad milion tomów. Zanim w niej zamieszkałam, liczba ta znacznie spadła, pozostały jednak setki tysięcy, istna drukowana lawina. Jedne książki stały pionowo na półkach, inne poniewierały się na podłodze, jeszcze inne leżały w stosach, rzucone byle jak. Surowe przepisy zabraniały wynoszenia ich z gmachu, lecz, wiele wykradzono i sprzedano na czarnym rynku. Wcale zresztą nie wydawało się oczywiste, że to w ogóle jeszcze jest biblioteka. System klasyfikacji poszedł w rozsypkę i tyle książek leżało nie tam, gdzie powinno, że praktycznie rzecz biorąc nie sposób było znaleźć te, której akurat się szukało. Ponieważ zaś księgozbiór zajmował siedem pięter, tom odłożony nie na miejsce tak jakby się dematerializował – fizycznie wciąż obecny, ale nie do odnalezienia. Wytropiłam kilka starych rejestrów miejskich dla Sama, lecz przeważnie zbierałam, co mi w ręce wpadło. Niechętnie schodziłam na dół, bo nigdy nie wiedziałam, z kim przy okazji się zderzę, i nie lubiłam lepkiego odoru stęchlizny, który tam panował. Zgarniałam pod każdą pachę tyle tomów, ile się dało, i czym prędzej wracałam do naszego pokoju. Właśnie książki stały się dla nas podczas tamtej zimy źródłem ciepła. Paliliśmy nimi w żeliwnym piecyku, bo innego opału nie było. Wiem, że brzmi to okropnie, ale przecież nie mieliśmy wyboru. Zamarzlibyśmy na śmierć. Dostrzegam oczywiście ironię sytuacji: przez tyle miesięcy pracowaliśmy nad jedną książką, a setki innych spaliliśmy, żeby się ogrzać. Nigdy, o dziwo, nie miałam wyrzutów sumienia. Szczerze mówiąc, wręcz chyba z radością ciskałam książki w ogień. Może rozładowywało to we mnie jakiś tłumiony gniew, a może po prostu zdawałam sobie sprawę, że nie ma najmniejszego znaczenia, co się z nimi stanie? Ich świat i tak już nie istniał, a w ten sposób przynajmniej na coś się przydawały. W większości nie warte były zresztą nawet przekartkowania: ot, sentymentalne powieścicdła, zebrane przemówienia polityków, przestarzałe podręczniki. Wszystko, co wydawało się w miarę strawne, odkładałam na bok, żeby później przeczytać. Kiedy Sam był kompletnie wyczerpany pracą, czytałam mu na dobranoc. Pamiętam, że w ten właśnie sposób przerobiłam fragmenty Herodota, a pewnej nocy wzięłam na warsztat tę dziwną książeczkę Cyrano de Bergeraca o podróży na księżyc i słońce. Ale prędzej czy później każda zadrukowana kartka trafiała do pieca i wychodziła przez komin.

Kiedy wspominam tamte dni, wciąż mi się wydaje, że wszystko mogło się jednak ułożyć.

Niewiele brakowało, a skończylibyśmy książkę i prędzej czy później znaleźli sposób, żeby wrócić do domu. Gdyby nie głupie potknięcie, które mi się zdarzyło pod koniec zimy, mogłabym siedzieć teraz naprzeciw ciebie i własnym głosem opowiadać ci tę historię. To, że popełniłam błąd z czystej naiwności, wcale nie łagodzi mojego bólu. Powinna być mieć więcej rozumu, a tymczasem poszłam za impulsem, zaufałam komuś, komu żadną miarą ufać nie należało, i zламаłam sobie życie. Nie, nie dramatyzuję. Sama wszystko zniszczyłam przez własną głupotę i tylko do siebie mieć mogę pretensje.

A było to tak: wkrótce po Nowym Roku stwierdziłam, że jestem w ciąży. Nie wiedząc, jak Sam zareaguje, nie od razu mu powiedziałam, ale pewnego ranka uderzyły na mnie zimne poty i dostałam takich mdłości, że zwymiotowałam na podłogę i przyznałam się. O dziwo się ucieszył, może nawet bardziej niż ja. Co nie znaczy, że nie chciałam mieć dziecka, ale nie mogłam opędzić się przed lękiem, a chwilami wpadałam w zupełną panikę, bo pomyśl, żeby je urodzić w tych warunkach, zakrawał na czyste szaleństwo. Ale równie wielki jak moje przerażenie był entuzjizm Sama. Myśl o ojcostwie wręcz dodała mu wigoru, więc pomału rozproszył moje obawy i nauczył mnie traktować ciążę jak dobry omen. Według niego była ona sygnałem, że zostaliśmy oszczędzeni. Szala losu przechyliła się na naszą korzyść i odtąd wszystko będzie inaczej. Wspólnie stworzyliśmy młode życie, dając początek nowemu światu. Nigdy przedtem nie słyszałam u niego tego tonu. Było w nim tyle męstwa i idealizmu, że prawie mnie zaszokował. Ale i zachwyił. Tak bardzo, że sama zaczęłam w to wierzyć.

Przede wszystkim jednak nie chciałam go zawieść. W pierwszych tygodniach miewałam ciężkie poranki, lecz zdrowie mi dopisywało, więc starałam się nie zaniedbywać dotychczasowych obowiązków. W połowie marca zaczęło wyglądać na to, że zima wkrótce pofolguje: burze stały się trochę rzadsze, odwilże trochę dłuższe, mróz nocami trochę lżejszy. Nie, nie ociepliło się, ale nie brakowało dyskretnych zapowiedzi wiosny, drobnych sygnałów, że najgorsze za nami. Niestety akurat wtedy rozleciały mi się buty – te same, które przed wieloma miesiącami dostałam od Izabeli. Nie umiałabym policzyć, ile kilometrów w nich przeszłam. Spędziły ze mną więcej niż rok, pokornie dając się deptać towarzyszyły mi do wszystkich zakątków Miasta i wreszcie nie wytrzymały: zelówki były dziurawe, przyszwyy w strzępach, a zatykanie szpar gazetami nic nie pomagało, bo ulice zamieniły się w rwące potoki, więc nie dawało się uniknąć przemoczenia nóg, ilekroć wychodziłam na dwór. Zdarzyło mi się to o jeden raz za dużo i w początkach kwietnia zmogło mnie przeziębienie. Poważnie się rozchorowałam, miałam wszelkie możliwe objawy: bóle i dreszcze, chrypę i katar – cały komplet. Sam był tak przejęty moją ciążą, że wpadł prawie w histerię. Rzucił wszystko, aby mną się opiekować, krążył wokół łóżka niczym obłąkana pielęgniarka, trwonił pieniądze na takie luksusy, jak herbata i zupy w puszkach. Po trzech czy czterech dniach polepszyło mi się, lecz Sam wprowadził surowy zakaz: póki nie zdobędziemy dla mnie nowych butów, nie ma mowy, żebyśmy wyszła z domu.

Gotów jest robić zakupy i załatwiać wszystkie inne sprawy. Protestowałam, ale nie dał się przekonać, że to śmieszny pomysł.

– Cięża to jeszcze nie powód, żeby mnie traktować jak inwalidkę – powiedziałam.

– Nie ty jesteś inwalidką – odparł – tylko twoje buty. Przy każdym wyjściu przemoczysz nogi. Z następnego przeziębienia mogłabyś tak łatwo się nie wygrzebać, a co będzie, jak się na serio rozchorujesz?

– Skoro tak się martwisz, to może daj mi swoje buty?

– Są za duże. Latałyby ci na nogach jak dziecku i prędzej czy później byś się wywaliła. A wtedy co? Zaraz ktoś by ci je ściągnął z nóg.

– Nie moja wina, że mam małe stopy. Taka już się urodziłam.

– Masz, piękne stopki, Anno. Zgrabniejszych nikt by nie wymyślił. Uwielbiam je. Całuję ziemię, po której stąpają. Właśnie dlatego trzeba o nie dbać. Musimy pilnować, żeby nic złego im się nie stało.

Przeżyłam potem kilka ciężkich tygodni. Patrzyłam, jak Sam marnuje czas na błahostki, które bez trudu mogłam załatwić, a praca nad książką prawie stoi w miejscu. Złościło mnie, że z powodu głupich butów jest tyle zawracania głowy. Moja cięża powoli stawała się widoczna, więc tym bardziej czułam się jak leniwa krowa, jak przygłupia księżniczka, która po całych dniach przesiaduje w domu, gdy jej pan i rycerz idzie na bój. Wciąż sobie powtarzałam, że jeśli bym tylko zdołała postarać się o nową parę, życie ruszyłoby z martwego punktu. Pomału zaczęłam rozpytywać, zaczepiałam ludzi w kolejce do zlewu i nawet parę razy zeszedłam do hallu na Poranek Perypatetyków, licząc, że może ktoś mi coś podpowie. Nic to nie dało, ale pewnego dnia idąc korytarzem piątego piętra wpadłam na Dujardina, który natychmiast wdał się ze mną w rozmowę, paplając, jakby łączyła nas zażyła przyjaźń. Odkąd poznaliśmy się w pokoju rabina, omijałam go szerokim łukiem, więc ta nagła życzliwość wydała mi się dziwna. Przecież ten mały, śliski pedancik przez ostatnie miesiące unikał mnie równie starannie jak ja jego. A tu ni stąd, ni zowąd przejął się moim losem i cały w uśmiechach rzekł:

– Podobno szuka pani butów. Jeśli istotnie tak jest, mógłbym może pomóc.

Powinam była od razu się połapać, że coś tu nie gra, ale samo słowo „buty” uśpiło moją czujność. Zrozum, tak bardzo chciałam je zdobyć, że nie przyszło mi do głowy powątpiewać w czystość jego intencji.

– Otóż pewien mój kuzyn – trajkotał Dujardin – zajmuje się, hmm, powiedzmy, kupnem i sprzedażą. Jego branża to przedmioty z odzysku, towary konsumpcyjne, te rzeczy, rozumie pani. Czasem trafiają mu się buty, jak choćby te, które mam na nogach, i zaryzykuję twierdzenie, że znalazłby w magazynie kilka innych par. Akurat dziś wieczór wybieram się do niego i nic absolutnie nic by mnie nie kosztowało zasięgnąć języka w pani imieniu. Musiałbym oczywiście wiedzieć, który numer pani nosi – hmm, na oko sądząc, raczej nieduży – i ile jest pani skłonna

zapłacić. Ale to już są drobiazgi, zupełne drobiazgi. Gdybyśmy mogli umówić się na jutro, miałbym może dla pani jakieś konkrety. Bądź co bądź każdy potrzebuje butów, a ja doskonale rozumiem, czemu pani o nie rozpytywała, bo przecież widzę, co ma pani na nogach. Same strzępy. Nie na dzisiejszą pogodę.

Powiedziałam mu, który numer nosze, i ile mogę wydać, no i umówiliśmy się na następne popołudnie. Chociaż Dujardin wydawał mi się jakiś lepki, nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że na swój sposób usiłuje być miły. Kuzyn odpalał mu pewnie to i owo od każdego skaptowanego klienta, ale nie widziałam w tym nic złego. Wszyscy musimy przecież zarabiać, a jeśli Dujardin miał jakieś boki, z których żył no to brawo. Przez resztę dnia uważałam, żeby się nie wygadać przed Samem. Wcale nie byłam pewna, czy kuzyn Dujardina coś dla mnie znajdzie, ale chciałam zrobić Samowi niespodziankę – zakładając, że wszystko pomyślnie się skończy. Starłam się jednak na nic nie liczyć. Nasze oszczędności skurczyły się tymczasem do mniej niż stu gлотów, więc suma, którą zaproponowałam Dujardinowi, była absurdalnie niska – dwanaście czy jedenaście gлотów, może nawet dziesięć. Lecz on ani mrugnął. Natchnęło mnie to optymizmem, a w każdym razie pewną nadzieją, więc następne dwadzieścia cztery godziny upłynęły mi w pełnym oczekiwaniu ferworze.

Nazajutrz o drugiej spotkaliśmy się w północno-zachodnim rogu głównego hallu. Dujardin przyszedł z papierową torbą, a ja na jej widok natychmiast zrozumiałam, że się udało.

– Chyba mamy szczęście – rzekł, gestem spiskowca biorąc mnie pod ramię i prowadząc za marmurową kolumnę, żeby nikt nas nie podglądał. – Kuzyn dysponuje akurat pani rozmiarem i gotów jest sprzedać tę parę za trzynaście gлотów. Przykro mi, że nie zdołałem nic więcej utargować, chociaż dokładałem starań. Ale to i tak bardzo okazyjna cena, wzięwszy pod uwagę jakość towaru.

Obrócił się twarzą do ściany, a tyłem do mnie, i ostrożnie wyciągnął z torby but: brązowy, skórzany, na lewą nogę. Widać było, że skóra jest prawdziwa, a gumowa podeszwa trwała i twarda, ale wygodna w chodzeniu, w sam raz dla kogoś, kto musi lawirować po ulicach Miasta. Co więcej, but był prawie nowiuteński.

– Proszę przymierzyć – zachęcił mnie Dujardin. – Ciekawe, czy pasuje.

Owszem, pasował. Przebierałam palcami lewej stopy po gładkim wnętrzu podeszwy. Dawno nie byłam taka szczęśliwa.

– Uratował mi pan życie – powiedziałam. – Zgoda, niech będzie trzynaście gлотów. Proszę mi dać drugi but, to od ręki zapłacę.

Ale Dujardin tak jakby się zawahał, a potem z zakłopotaną miną pokazał mi, że torba jest pusta.

– Co to za żarty? – spytałam. – Gdzie drugi but?

– Nie mam go przy sobie – przyznał.

– To jakiś nędzny podstęp, co? Pokazał mi pan na wabia but w dobrym stanie, żebym z góry zapłaciła za całą parę, a zamiast drugiego da mi pan kawał szmelcu, tak? Nie ze mną te numery, bardzo mi przykro. Ani glota nie dam, póki nie zobaczę drugiego buta.

– To nie tak, panno Blume, źle mnie pani zrozumiała. Tu zupełnie o co innego chodzi. Drugi but jest w równie dobrym stanie jak ten i nikt nie każe pani płacić z góry. Niestety, mój kuzyn ma dość szczególny styl prowadzenia interesów. Uparł się, że musi pani zgłosić się do niego sama i osobiście dopełnić transakcji.

Próbowałem mu to wyperswadować, ale nawet słuchać nie chciał. Twierdzi, że przy tak niskiej cenie nie ma miejsca dla pośredników.

– Będzie mi pan wmawiał, że kuzyn nie chce panu powierzyć głupich trzynastu glutów?

– Przyznaję, że stawia mnie to w bardzo niezręcznej sytuacji, Ale mój kuzyn jest twardy. W interesach nikomu nie dowierza. Może pani sobie wyobrazić, jak się czułem, kiedy mi to powiedział. Zakwestionował przecież moją uczciwość, a to gorzka pigułka, zapewniam panią.

– Jeśli nie ma pan z tego żadnej korzyści, po co pan się w ogóle fatygował na dzisiejsze spotkanie?

– Dałem pani słowo, panno Blume, i nic chciałem sprawić zawodu. W ten sposób przyznałbym tylko rację kuzynowi, a człowiek ma przecież swój honor, swoją godność. Są sprawy ważniejsze od pieniędzy.

Dał imponujący popis. Rolę człowieka zranionego do żywego zagrał wprost bezbłędnie. Pomyślałam, że chce pozostać na dobrej stopie z kuzynem i dlatego gotów jest wyświadczyć mi tę przysługę: to pewnie rodzaj próby, a jeśli ją przejdzie, kuzyn pozwoli mu robić interesy na własną rękę. Widzisz, jaka chciałam być sprytna. Wydawało mi się, że przechytryłam Dujardina, więc nie miałam dość rozumu, żeby się bać.

Popołudnie całe iskrzyło się od wszechobecnego słońca, a wiatr prawie niósł nas na rękach. Było mi tak, jakbym wyzdrowiała po długiej chorobie: znów czułam dotyk światła, własne nogi, powietrze. Szliśmy żwawym krokiem, omijając rozmaite przeszkody, zręcznie skręcając, ilekroć napotykaliliśmy hałdę śmieci pozostałych po zimie, i przez całą drogę prawie się do siebie nie odzywaliśmy. Wiosna wyraźnie była tuż, tuż, ale w ciągnących się wzdłuż domów smugach cienia leżały jeszcze łachy śniegu i lodu, choć środkiem ulicy, tam gdzie słońce grzało najmocniej, między kamieniami wyrwanymi z jezdni i odłamkami płyt chodnikowych mknęły szerokie strugi wody. Dziesięć minut wędrówki doprowadziło moje buty do żalostnego stanu, wewnątrz i na zewnątrz: skarpetki przemokły, palcami czułam śliską wilgoć i ziab. Możesz się dziwić, że wspominam o takich detalach, ale z całego dnia najżywiej utkwiły mi w pamięci właśnie te chwile radości z wyprawy po buty, bez mała ekstatyczne upojenie ruchem. Bo kiedy dotarliśmy do celu, wszystko potoczyło się zbyt szybko, żebym zdołała cokolwiek wyraźnie zapamiętać. Dziś widzę tylko krótkie, chaotyczne zlepki, migawki wyrwane z kontekstu,

fontanny światel i cieni. Na przykład sam budynek nie zrobił na mnie żadnego wrażenia. Pamiętam, że stał na skraju dzielnicy magazynów w ósmym rewirze, niedaleko dawnej pracowni Ferdynanda, ale zapamiętałam to tylko dlatego, że Izabela mimochodem wskazała mi kiedyś tę ulicę, więc teraz poczułam się swojsko. Może zanadto byłam roztargniona, żeby zauważać powierzchowne sprawy, zbyt pogrążona w sobie, żeby myśleć o czymkolwiek prócz tego, jak Sam się ucieszy, gdy wrócę. Zamiast fasady budynku mam więc w pamięci lukę. Tego, jak weszliśmy drzwiami od ulicy i wdrapaliśmy się po schodach na któreś tam piętro, też nie zarejestrowałam. Prawie jakby wszystko to wcale się nie wydarzyło, chociaż wiem ponad wszelką wątpliwość, że się jednak stało. Pierwsze, co w miarę wyraźnie pamiętam, to twarz kuzyna. Nie tyle może twarz, ile to, że nosił takie same okulary w drucianej oprawce jak Dujardin i że się zastanawiałam – króciuteńko, przez mgnienie – czy kupili je od tej samej osoby. Ale przyglądałam się tej twarzy najwyżej przez kilka sekund, ledwie bowiem kuzyn Dujardina podszedł, żeby podać mi rękę, otworzyły się za nim drzwi – chyba przypadkiem, bo słysząc ich zgrzyt zmienił nagle minę z jowialnej na straszliwie zaniepokojoną, obrócił się gwałtownie i zatrzęsął je, rezygnując z uścisku dłoni – a ja natychmiast zrozumiałam, że mnie oszukano, że moja wizyta w tym miejscu nie ma nic wspólnego z butami, pieniędzmi ani żadną transakcją. Bo zanim kuzyn Dujardina zamknął drzwi, w tej króciuteńkiej pauzie zdążyłam rzucić okiem w głąb drugiego pokoju i wyraźnie zobaczyć to, co się w nim kryło: kilka nagich ciał ludzkich zawieszonych na rzeźnickich hakach i człowieka z siekierą, który pochylał się nad stołem i jeszcze jednemu trupowi odrąbał kończyny. Po bibliotece krążyły pogłoski, jakoby w Mieście powstały ludorzeźnie, ale ja w to nie wierzyłam. Teraz jednak dzięki temu, że za plecami kuzyna przypadkiem uchyliły się drzwi, udało mi się w porę odkryć, jaki chciano mi zgotować los. Chyba zaczęłam wtedy krzyczeć. Czasem wydaje mi się, że słyszę własny wrzask: „mordercy”, „mordercy”... raz za razem. Nie mogło to jednak trwać długo. Nie potrafię odtworzyć swoich myśli z tamtej chwili, nie wiem, czy w ogóle coś wtedy myślałam. Zobaczyłam okno gdzieś na lewo i pobiegłam w jego stronę. Pamiętam, że Dujardin i jego kuzyn rzucili się na mnie, lecz przemknęłam pełną parą między ich wyciągniętymi rękami i dałam nura przez szybę. Pamiętam dźwięk tłuczonego szkła i pęd powietrza prosto w twarz. Musiał to być długi upadek. Dość długi, żebym zdała sobie sprawę, że lecę. I że nie wyjdę z tego żywa.

Próbuję ci opowiedzieć chwila po chwili, co się stało. Nic nie poradzę, że mam luki w pamięci. Pewne szczegóły nie chcą z niej się wyłonić i choćbym nie wiem jak się wysilała, nie mogę ich odgrzebać z zapomnienia. Musiałam chyba stracić przytomność, ledwie dotknęłam ziemi, ale nie pamiętam bólu, nie pamiętam, gdzie upadłam. Jedno jest pewne: nie zabiłam się. Nie przestaje mnie to zdumiewać. Minęły ponad dwa lata od tamtego skoku z okna, a ja wciąż nie rozumiem, jakim cudem przeżyłam.

Podobno jęczałam, kiedy mnie podniesiono, ale zaraz znieruchomiałam, zastygłam bez tchu,

bez głosu. Minęły długie godziny. Nikt mi nigdy nie powiedział, ile ich było, ale domyślałam się, że w sumie więcej niż dzień – może trzy, cztery. Gdy wreszcie otworzyłam oczy, było to podobno raczej zmartwychwstanie niż oprzytomnienie, powrót z absolutnej nicości. Pamiętam, że zobaczyłam sufit i zaczęłam się zastanawiać, jakim cudem się pod nim znalazłam, lecz natychmiast poczułam kłujący ból – w głowie, w prawym boku, w brzuchu – tak straszny, że jęknęłam. Leżałam w łóżku, w prawdziwym łóżku z pościelą, ale mogłam w nim tylko leżeć i skowyczeć, czekając, aż ból przewędruje przez całe ciało. Nagle jakaś kobieta pojawiła się w moim polu widzenia i spojrzała na mnie z uśmiechem. Musiała mieć ze trzydzieści osiem, czterdzieści lat. Choć czułam się okropnie, dostrzegłam jej urodę – ciemne faliste włosy, wielkie zielone oczy. Była piękna – może najpiękniejsza z wszystkich kobiet, które widziałam w Mieście.

– Pewnie bardzo boli – powiedziała.

– Może pani sobie darować ten uśmiech – odparłam. – Nie mam nastroju do uśmiechów.

Bóg jeden wie, gdzie i kiedy nabyłam tego poczucia taktu, ale ból był tak potworny, że palnęłam, co mi ślina na język przyniosła. Lecz nieznamomej widać to nie zniechęciło, bo wciąż uśmiechała się kojąco.

– Cieszę się, że pani żyje – powiedziała.

– Mówi pani, że nie umarłam? Trzeba będzie mi to udowodnić, nim uwierzę.

– Ma pani złamaną rękę i parę żeber, no i sporego guza na głowie. Ale jak dotąd wygląda na to, że pani żyje. Dowodem chociażby ten ostry język.

– Kim pani w ogóle jest? – spytałam szorstko, nie dając się ugłaskać. – Aniołem miłosierdzia?

– Nazywam się Wiktoria Woburn. Trafiła pani do Domu Woburnów. Niesiemy tu ludziom pomoc.

– Piękne kobiety nie mają prawa być lekarkami. To wbrew przepisom.

– Nie jestem lekarką. Mój ojciec był lekarzem, ale zmarł. To on założył Dom Woburnów.

– Ktoś mi kiedyś o tym domu opowiadał. Myślałam, że fantazjuje.

– Zdarza się. W dzisiejszych czasach nigdy się nie wie, w co jeszcze wierzyć.

– Czy to pani mnie tu przywiozła?

– Nie, to pan Frick. Pan Frick ze swoim wnukiem Williem. Co środa po południu biorą auto i ruszają w objazd. Nie wszyscy potrzebujący mogą tu dotrzeć o własnych siłach, więc sami ich szukamy. Staramy się przyjąć co najmniej jedną nową osobę na tydzień.

– Czyli znaleźli mnie przypadkiem?

– Akurat przejeżdżali, kiedy pani skoczyła.

– To nie była próba samobójstwa – zastrzegłam się. – Niech pani sobie nie myśli.

– Skoczkowie nie rzucają się z okien. A jeśli już, to przedtem je otwierają.

– W żadnym razie nie popełniłabym samobójstwa – ciągnęłam zaczepnym tonem, żeby ją upewnić, ale właśnie wtedy zaczęła mi świtać straszliwa prawda. – Nie popełniłabym samobójstwa – powtórzyłam. – Widzi pani, spodziewam się dziecka, a niby po co kobieta w ciąży miałaby się zabijać? Musiałaby stracić rozum.

Widząc jej zmienioną minę natychmiast zrozumiałam, co się stało. Nikt nie musiał mi mówić, że nie mam już w sobie dziecka. Nie przeżyło upadku. Umarło. Nie umiem ci opisać, jak cały mój świat w tym momencie sposepniał. Ogarnęła mnie okrutna, zwierzęca rozpacz, w której znikły wszelkie obrazy i sądy, tak że nie było już na co patrzeć ani o czym myśleć. Chyba się rozplakałam, zanim kobieta znów przemówiła.

– To cud, że w ogóle zaszła pani w ciążę – rzekła głaszcząc mnie po policzku. – W Mieście już nie rodzą się dzieci. Wie pani o tym równie dobrze jak ja. Od lat nikt tu się nie urodził.

– A co mi do tego – odparłam gniewnie, przez łzy. – Myli się pani. Moje dziecko by przeżyło. Na pewno by przeżyło.

Przy każdym szlochu piekący ból smagał mnie po żebrach. Usiłowałam nad sobą zapanować, ale skurcze w klatce piersiowej tylko się przez to wzmogły. Aż drżałam z wysiłku, żeby się nie ruszać, a to z kolei wywołało całą serię nieznośnych spazmów.

Wiktoria próbowała mnie pocieszyć, ale nie chciałam jej pocieszać. Jej ani niczyich.

– Proszę już iść – powiedziałam wreszcie. – Nie chcę nikogo widzieć. Pani jest bardzo dobra, ale muszę teraz zostać sama.

Nieprędko się wylizałam. Rany na twarzy zagoiły się, nie pozostawiając zbyt trwałych śladów (mam tylko bliznę na czole i drugą tuż przy skroni), a żebra pomału się zrosły. Ale złamana ręka nie jest już taka jak dawniej i do tej pory mocno mi dokucza: boli, ilekroć poruszę nią zbyt szybko albo w niewłaściwą stronę, no i nie mogę całkiem jej wyprostować. Głowę miałam obandażowaną prawie przez miesiąc, a choć guzy i zadrapania w końcu znikły, została mi skłonność do migren, które w najbardziej nieoczekiwanych momentach dźgają jak nożem, zaś u podstawy czaszki pulsuje czasem tępy ból. O innych ranach nie bardzo chce mi się mówić. Moje łono jest dla mnie samej zagadką: nie mam czym zmierzyć zasięgu katastrofy, która je spustoszyła.

Poniosłam jednak nie tylko fizyczne szkody. Zaledwie kilka godzin po pierwszej rozmowie z Wiktoria dostałam następną złą wiadomość i wtedy już prawie się poddałam, prawie straciłam wolę życia. Pod wieczór Wiktoria przyniosła mi do pokoju jedzenie na tacy. Powiedziałam jej, jak mi na tym zależy, żeby ktoś czym prędzej poszedł do Biblioteki Narodowej i odszukał Sama. Na pewno śmiertelnie się niepokoił, a ja chciałam go mieć przy sobie, i to już. Już! – wrzasnęłam. Chcę być z nim, i to już! Wyszłam z siebie, chwycił mnie niepohamowany szloch. Natychmiast wysłano w tej sprawie piętnastolatka Williego, lecz wrócił z miążdzącą nowiną.

Otóż po południu wybuchł w bibliotece pożar i cały dach już się zawalił. Nie wiadomo, kto zaprószył ogień, ale gmach stoi w płomieniach, a w środku uwięziona jest podobno więcej niż setka ludzi. Nie ustalono, czy komukolwiek udało się wymknąć: krążą na ten temat sprzeczne pogłoski. Lecz nawet gdyby Sam był jednym z nielicznych szczęściarzy, ani Willie, ani nikt inny nie zdoła go odnaleźć. A jeśli zginął wraz z resztą mieszkańców biblioteki, dla mnie już wszystko stracone. Nie umiałam na to inaczej spojrzeć. Jeśli Sam nie żyje, ja także nie mam prawa żyć. A jeżeli przeżył, jest prawie pewne, że nigdy go nie zobaczę.

Tak więc wyglądała moja sytuacja podczas pierwszych miesięcy u Woburnów. Był to czarny okres, najczarniejszy w moim życiu. Początkowo nie ruszałam się z pokoju na pierwszym piętrze. Trzy razy dziennie ktoś do mnie zaglądał – dwa razy z jedzeniem i raz po nocnik. Na dole trwał wieczny ruch – słyszałam głosy, szuranie nogami, jęki i śmiech, wycie, a nocą chrapanie – ale byłam za słaba i zanadto przygnębiona, żeby chciało mi się wstać choć na chwilę. Leżałam pod kocami rozżalona, naburmuszona, dąsałam się po całych dniach i ni stąd, ni zowąd wybuchałam płaczem. Tymczasem nadeszła wiosna, lecz, ja przez większość czasu przyglądałam się przez okno chmurom, wpatrywałam się w biegnący wokół pokoju gzyms i w rysy na suficie. Przez dziesięć, dwanaście dni nie wyszłam chyba nawet na korytarz.

Dom Woburnów miał cztery piętra i ponad dwadzieścia pokoiów. Stał nieco odsunięty od ulicy, w małym prywatnym parku. Zbudowany przed prawie stu laty przez dziadka doktora Woburna, uchodził za jedną z najelegantszych rezydencji w Mieście. Kiedy zaczęły się Trudności, doktor Woburn jako jeden z pierwszych zwrócił uwagę opinii publicznej na rosnącą liczbę bezdomnych. Był powszechnie szanowanym lekarzem i pochodził z wpływowej rodziny, więc zdołał nadać swemu oświadczeniu szeroki rozgłos i niebawem w zamożnych kręgach zaczęła się moda na to, żeby wspierać jego działalność. Organizowano kolacje, bale i inne imprezy towarzyskie, z których dochód szedł na cele dobroczynne, a szereg domów w różnych częściach Miasta przerobiono z czasem na noclegownie. Doktor Woburn zaniechał prywatnej praktyki, żeby zarządzać tymi tak zwanymi schroniskami i odtąd co rano szofer go po nich obwoził. Doktor rozmawiał z podopiecznymi i w miarę możliwości ich leczył. Jego dobroć i idealizm zyskały taki rozgłos, że stał się w Mieście żywą legendą, ilekroć więc rozmawiano o współczesnym barbarzyństwie, prędzej czy później ktoś wymieniał nazwisko doktora jako dowód, że szlachetne czyny są jeszcze możliwe. Był to jednak dawno temu, kiedy nikt nawet nie przypuszczał, że ogólny rozkład może osiągnąć dzisiejsze stadium. W miarę jak sytuacja się pogarszała, działalność doktora dawała coraz mniejsze efekty. Bezdomnych przybywało w postępie geometrycznym, a proporcjonalnie do tego kurczyły się fundusze, z których utrzymywano schroniska. Ludzie bogaci pierzchali z kraju, wywożąc złoto i diamenty, a pozostali nie mogli już sobie pozwolić na szczodrość. Doktor hojnie wspierał schroniska z własnej kiesy, to jednak nie powstrzymało ich upadku, więc kolejno zamykały swe podwoje.

Kto inny pewnie by zrezygnował, ale doktor Woburn nie chciał dać za wygraną. Oświadczył, że skoro nie może uratować tysięcy, uratuje przy najmniej setki, a jeśli nie setki, to chociaż dwudziestu, trzydziestu potrzebujących. Liczby przestały już być istotne. Zbyt wiele złego się zdarzyło, toteż doktor wiedział, że może przyjść z zaledwie symboliczną pomocą, wykonać gest przeciw totalnemu rozpadowi. Działo się to sześć czy siedem lat temu, więc doktor Woburn był już grubo po sześćdziesiątce. Przy poparciu córki postanowił otworzyć przed obcymi drzwi własnego domu i urządzić na parterze i pierwszym piętrze rodowej siedziby coś między szpitalem, a noclegownią. Woburnowie kupili łóżka, kupili sprzęty kuchenne i odtąd pomалу wyzbywali się resztek fortuny, żeby przedsięwzięcie nie upadło. Kiedy skończyły się pieniądze, zaczęli wyprzedawać pamiątki i odziedziczone po przodkach antyki, stopniowo opróżniając górne pokoje. Dzięki nieustannemu, morderczemu trudowi udawało im się stale gościć osiemnaście do dwudziestu czterech osób. Każdy z tych nędzarzy mógł zostać u nich dziesięć dni; beznadziejnie chorych zatrzymywali na dłużej. Każdemu dawali łóżko z czystą pościelą i dwa gorące posiłki dziennie. Niczego to oczywiście nie rozwiązywało, ale ludzie mogli przynajmniej odpocząć od codziennej mordęgi i nabrać sił, zanim ruszą dalej. „Niewiele możemy – mawiał doktor – ale przed tym, co możemy, nie uchylamy się”.

Nie żył zaledwie od czterech miesięcy, kiedy trafiłam do Woburnów. Wiktor i inni dokładali wszelkich starań, żeby kontynuować działalność, lecz nie obeszło się bez pewnych zmian – zwłaszcza jeśli idzie o opiekę lekarską, bo nikt nie mógł pod tym względem zastąpić doktora. Wiktor i pan Frick byli wysoko kwalifikowanymi pielęgniarzami, ale od tego daleko przecież do stawiania diagnoz i przepisywania kuracji. Chyba właśnie dlatego poświęcali mi aż tyle uwagi. Od śmierci doktora byłam pierwszą pacjentką, której zdołali pomóc, jedyną, u której stwierdzili widoczną poprawę. Stałam się więc żywym dowodem, że słusznie zrobili, postanawiając dalej prowadzić Dom Woburnów. Byłam świadectwem ich sukcesu, świetlistym przykładem, że coś jednak jeszcze mogą, toteż niańczyli mnie, póki mój stan zdawał się tego wymagać, znosili moje depresje i okazywali najdalej posuniętą wyrozumiałość.

Pan Frick wierzył, że dosłownie zmartwychwstałam. Będąc przez wiele lat szoferem doktora (czterdzieści jeden, jak sam mi powiedział) napatrzył się życiu i śmierci z tak bliska jak mało kto. Twierdził, że nigdy nie spotkał się z podobnym przypadkiem.

– Swoje wiem, panienko – mawiał. – Jużes panienka była na tamtem świecie. Widziałem na własne oczy. Panienka nie żyła, a potem nazad wróciła się do życia.

Mówił dziwnie, niegramatycznie, i kiedy próbował się wysłowić, często wychodził z tego kompletny galimatias. Moim zdaniem nie świadczyło to źle o jego poziomie umysłowym, tylko po prostu o tym, że nie radzi sobie ze słowami. Nie bardzo umiał je obracać językiem i czasem borykał się z nimi jak z namacalnymi przedmiotami, z kamieniami kneblującymi usta. Dlatego też był szczególnie uwrażliwiony na wewnętrzne właściwości słów samych w sobie, na

brzmienie w oderwaniu od znaczenia, na rozmaite symetrie i sprzeczności.

– Ze słów się dorozumiewam, co i jak – wyjaśnił mi kiedyś. – To bez to dożyłem aż, potąd. Na imię mi Otto, W te i nazad czyta się jednakowo. Jak już ma się skończyć, to się znowuż zaczyna. Czyli żyję dubeltowo, dwa razy dłużej niż każdy jeden człowiek. Panienska tyż tak samo. Panienska imię takie jak i moje. A-n-n-a. W te i nazad jednakowo, całkiem jak Otto. To bez to panienska od nowego się urodziła. To błogie sławieństwo, panno Anno. Panienska już nie żyła, ale żeś się odrodziła, a ja widziałem to na własne oczy. To bardzo błogie sławieństwo losu.

Pan Frick – smukły, prosto się trzymający starzec o policzkach żółtych jak kość słoniowa – odznaczał się jakąś powściągliwą gracją. Niezlomnie oddany doktorowi Woburnowi, nawet po jego śmierci dbał o samochód, którym niegdyś go woził – szesnastocylindrowy Pierce-Arrow z szerokimi stopniami po bokach i skórzaną tapicerką. Przywiązanie do tego pięćdziesięcioletniego automobilu było jedynym dziwactwem doktora. W każdy wtorek wieczorem, obojętne, ile było innych pilnych prac, Frick szedł do garażu za domem i co najmniej przez dwie godziny czyścił i pucował wóz, żeby go doprowadzić do jak najlepszego stanu przed środowym objazdem. Przerobił nawet silnik na napęd metanowy. W ogóle miał złote ręce i nie wątpię, że głównie za jego sprawą Dom Woburnów nie zamienił się w kupę gruzów. Pan Frick naprawił kanalizację, zainstalował prysznice, wykopał nową studnię. Dzięki tym i wielu innym udoskonaleniom Woburnowie działali, choćby czasy były nie wiem jak ciężkie. Willie pomagał dziadkowi we wszystkim, w milczeniu towarzysząc mu przy kolejnych robotach – ponury, nie wyrosnięty chłopiec w zielonym dresie z kapturem. Frick zamierzał nauczyć wnuka przynajmniej tyle, żeby ten mógł po jego śmierci przejąć rolę naczelnego konserwatora, lecz Willie okazał się mało pojętny.

– Spokojna główka – rzekł raz do mnie Frick, kiedy o tym rozmawialiśmy. – Pomaluśku przyuczmy Williego. Ni ma gwałtu. Zaczynam rąbnę w kalendarz, chłopak się zdąży zestarzeć.

Najwięcej jednak zajmowała się mną Wiktoria. Wspomniałam już, jak zależało jej na moim wyzdrowieniu, lecz kryło się chyba za tym głębsze zainteresowanie. Pragnęła rozmowy z kimś, kto by ją rozumiał, więc odkąd zaczęło przybywać mi sił, coraz częściej przychodziła do mnie na górę. Gdy po śmierci ojca została sama z Frickiem i Williem, kierowała schroniskiem i załatwiała wszystkie codzienne sprawy, ale nie miała komu powierzyć swych myśli. Pomału stałam się dla niej właśnie tą wymarzoną rozmówczynią. Porozumiewałyśmy się bez trudu i w miarę rozwoju naszej przyjaźni coraz wyraźniej widziałam, ile nas łączy. Co prawda nie urodziłam się wśród takiego bogactwa jak ona, ale miałam łatwe dzieciństwo, pełne burżuazyjnych splendorów i awantazy, i wyrastałam z poczuciem, że wszystko, czego pragnę, jest w zasięgu ręki. Chodziłam do dobrych szkół i umiem dyskutować o książkach. Wiem, czym różni się Beaujolais od Bordeaux i dlaczego Schubert jest większym muzykiem niż Schumann. Zważywszy, w jakim świecie wychowała się Wiktoria, od lat nie spotkała pewnie nikogo, kto byłby jej bliższy klasą

niż ja. Nie chcę przez to powiedzieć, że była snobką. Pieniądze same w sobie nie interesowały jej ani trochę i dawno już wzgardziła wszystkim, co symbolizowały. Znalazłyśmy po prostu wspólny język, a gdy opowiadała mi o swej przeszłości, rozumiałam ją bez pytania.

Miała dwóch mężów. Pierwszy był, jak powiedziała z sarkazmem, „znakomitą partią”, lecz niedługo to potrwało. Drugi miał na imię Tommy, ale jego nazwiska nigdy mi nie zdradziła. Był, zdaje się, prawnikiem. Urodziło im się dwoje dzieci, dziewczynka i chłopiec. Kiedy zaczęły się Trudności, coraz bardziej wciągała go polityka: najpierw był zastępcą sekretarza Związku Zielonych (wszelkie orientacje polityczne nosiły tu niegdyś nazwy pochodzące od kolorów), a kiedy w wyniku strategicznego aliansu jego ugrupowanie wchłonęła Liga Lazurowa, został naczelnikiem zachodniej połowy Miasta. Gdy przed jedenastoma czy dwunastoma laty wybuchło pierwsze powstanie przeciw Mytnikom, podczas rozruchów na Prospeckie Nerona utknął w tłumie i zginął od kuli policjanta. Ojciec zaczął wtedy namawiać Wiktorię, żeby wyjechała wraz z dziećmi, które miały dopiero trzy i cztery lata, lecz odmówiła. Wysłała jednak córeczkę i synka z rodzicami Tommy’ego do Anglii. Oświadczyła, że nie zamierza wzorem wielu osób dać za wygraną i uciec, ale z drugiej strony nie chce narażać dzieci na nieuchronne kataklizmy. Do pewnych wyborów nikt nigdy nie powinien być zmuszany, pewne decyzje przytłaczają umysł zbyt ciężkim brzemieniem. Cokolwiek postanowisz, prędzej czy później tego pożałujesz i będziesz żałować do końca życia. Dzieci wyjechały do Anglii i jeszcze przez kilka lat Wiktoria podtrzymywała z nimi korespondencję. Potem jednak cały system pocztowy zaczął się sypać. Kontakty stawały się coraz rzadsze, coraz bardziej nieregularne – towarzyszyła im wieczna udręka oczekiwania, poczucie, jakby ciskało się na oślepiec w morze listy w butelkach – aż wreszcie wszystko się urwało. Było to osiem lat temu. Od tamtej pory Wiktoria nie dostała ani słowa wiadomości i dawno już przestała się łudzić, że dzieci jeszcze się kiedyś odezwą.

Opowiadam o tym wszystkim, żeby ci uzmysłwić, jak podobne miałyśmy za sobą doświadczenia, ile ogniw spajało naszą przyjaźń. Obie straciłyśmy ukochane osoby, w równie okropny sposób. Nasi mężowie i dzieci, jej ojciec, mój brat – wszyscy oni znikli porwani przez śmierć lub co najmniej niepewny los. Gdy zatem jako tako wydobrzałam i mogłam już odejść (dokąd właściwie?), nie widziałam nic nienaturalnego w propozycji Wiktorii, żebym została u Woburnów jako członek personelu. Nie było to wymarzone rozwiązanie, nie miałam jednak innego wyjścia. Czułam się trochę nieswojo w instytucji rządzonej filozofią filantropii, ideą niesienia pomocy obcym, poświęcenia dla sprawy. Odpychał mnie od tych zasad nadmiar abstrakcji, żarliwości, altruizmu. Uwierzyłam w książkę Sama, bo Sam był moim ukochaniem, całym życiem, ale czy będę umiała się poświęcić dla dobra nieznajomych? Wiktoria zauważyła moje ociąganie, lecz nie próbowała mnie namawiać ani przekonywać, i chyba głównie dzięki tej powściągliwości w końcu się zgodziłam. Nie wygłosiła podniosłej mowy, nie zaczęła dowodzić, że przyjmując jej propozycję zbawię własną duszę. Powiedziała tylko:

– Jest tu wiele pracy, Anno, tyle, że nie mamy najmniejszych szans jej podolać. Nie wiem, czy sprawdzi się to akurat w twoim przypadku, ale praca leczy niektóre złamane serca.

Ta akurat praca była żmudna i nie miała końca. Nie tyle mnie leczyła, ile rozpraszała, ale chętnie godziłam się na wszystko, co łagodziło ból. Nie liczyłam przecież na cud. Wyczerpałam już cały swój przydział cudów i wiedziałam, że odtąd zbierać będę tylko ich pokłosie, wiodąc okropne, jakby pośmiertne życie, w którym to i owo jeszcze mi się przydarzy, choć wszystko już się skończyło. Ból zatem nie ustał, zauważyłam jednak, że coraz rzadziej płaczę, że nie zawsze oblewam poduszkę łzami, nim zasnę, a kiedyś nawet złapałam się na tym, że przez bite trzy godziny ani razu nie pomyślałam o Samie – drobne triumfy, owszem, ale w mojej sytuacji też nie do pogardzenia.

Na parterze było sześć pokoi, a w każdym trzy albo cztery łóżka. Na pierwszym piętrze urządzono dwie izolatki dla ciężkich przypadków i właśnie w jednej z nich początkowo wylądowałam. Kiedy zaczęłam pracować, dostałam własną sypialnię na trzecim. Sypialnia Wiktorii mieściła się o parę drzwi dalej, a nad nią w dużym pokoju mieszkali Frick i Willie. Pokój na parterze, z wejściem prosto z kuchni, zajmowała piąta i ostatnia osoba spośród personelu – niejaka Maggie Vine, głuchoniema w nieokreślonym wieku, kucharka i praczka zarazem. Była bardzo niska, miała grube, krótkie uda, a jej szeroką twarz wieńczyła dżungla rudych włosów. Poza tym, że porozumiewała się na migi z Wiktoria, żyła bez kontaktu z kimkolwiek. Pracowała jakby w ponurym transie, sumiennie i skutecznie wywiązując się z każdego zadania, harując do późna w noc, aż chwilami zastanawiałam się, czy w ogóle sypia. Prawie nigdy mnie nie pozdrawiała ani w żaden sposób nie dawała poznać, że zauważa moją obecność, ale jeśli akurat zdarzyło nam się zostać sam na sam, czasem pukała mnie w ramię, uśmiechała się od ucha do ucha i rozpoczynała zawiłą pantomimę primadonny śpiewającej arie, a nie zapominała przy tym o teatralnych gestach ani o efekcie drgającej krtani. Następnie kłaniała się, z wdziękiem kwitując aplauz urojonej publiczności, i natychmiast wracała do pracy, bez najmniejszej pauzy ani przejścia: obłęd! Chyba z sześć lub siedem razy dała przede mną taki popis, ale nigdy nie umiałam wyczuć, czy chce mnie zabawić, czy nastraszyć. Wiktoria twierdziła, że Maggie przez wszystkie lata spędzone u Woburnów nigdy dla nikogo nie śpiewała.

Każdy rezydent – bo tak się o nich mówiło – musiał przyjąć pewne warunki, nim zyskał prawo pobytu w Domu. Żadnych bójek ani kradzieży, udział w pracach domowych: ślanie łóżka, odnośnienie talerza do kuchni po posiłkach i tak dalej. W zamian za to miał zapewniony dach nad głową i wikt, nową odzież, codzienny prysznic i całkowitą swobodę korzystania z wszelkich miejscowych dobrodziejstw, takich jak salon na parterze, wyposażony w parę kanap i foteli, bogaty księgozbiór i najrozmaitsze gry (karty, bingo, tryktrak), a także podwórko za domem, które przy sprzyjającej pogodzie było szczególnie miłym miejscem. W najdalszym rogu mieściło

się boisko do krokieta, siatka do badmintona i duży wybór krzeseł ogrodowych. Dom Woburnów był ze wszech miar idealną przystanią, zacisznym schronieniem przed powszechną niedolą i nędzą. Człowiek, któremu pozwolono spędzić w takim miejscu kilka dni, na zdrowy rozum powinien delektować się każdą chwilą, zdarzały się jednak wyjątki. Oczywiście na ogół rezydenci doceniali to, co dla nich robiono, i byli wdzięczni, lecz wielu z trudem się dostosowywało. Często wybuchały spory, z byle powodu: o to, jak ktoś je albo dłubie w nosie, kaszle albo chrapie, kiedy inni chcą spać, ma w jakiejś kwestii inne zdanie niż rozmówca. Raz po raz dochodziło do małostkowych utarczek – jak zwykle, gdy grupę nieznajomych los ciśnie nagle pod jeden dach. Zapewne nie należało im się dziwić, lecz mimo wszystko te ich kłótnie zawsze wydawały mi się żalną groteską, smutną farsą graną wciąż od nowa. Prawie wszyscy rezydenci Woburnów przez dłuższy czas żyli na ulicy. Kontrast między jednym a drugim stylem życia mógł okazać się dla nich zbyt wielkim szokiem. Uczysz się dbać tylko o siebie, mieć na względzie tylko swoje dobro, a tu ni stąd, ni zowąd ktoś każe ci dogadywać się z całą bandą obcych, chociaż właśnie obcym przywykłeś nie ufać. A skoro wiesz, że za parę dni znowu wyładujesz na ulicy, to czy naprawdę jest sens zawracać sobie głowę demontażem własnej osobowości?

Jeszcze inni wydawali się niemal rozczarowani panującymi u Woburnów porządkami. Byli to ci, którzy tak długo czekali na swoją kolej, że ich spodziewania przekroczyły wszelkie granice rozsądku, czyniąc z Domu ziemski raj, przedmiot wszelkich możliwych tęsknot, jakie w życiu odczuli. Myśl, że będą mogli kiedyś tam zamieszkać, pozwalała im przetrwać z dnia na dzień, lecz gdy się wreszcie znaleźli w wymarzonym miejscu, musieli doznać zawodu. Nie wkraczali przecież do zakłętej krainy. Dom Woburnów – skądinąd uroczy – należał jednak do świata realnego, mogli więc w nim znaleźć tylko dalszy ciąg życia, a choć było to zapewne nieco lepsze życie, nie tak znów bardzo różniło się od tego, które znali od zawsze. Najbardziej zdumiewała mnie szybkość, z jaką wszyscy przyzwyczajali się do wygód – do łóżek i pryszniców, do smacznego jedzenia i czystych ubrań, do beczynności. Po dwóch, trzech dniach u Woburnów ludzie, którzy jeszcze niedawno wyjadali resztki ze śmietników, z niewzruszonym spokojem zasiadali do obfitej i urozmaiconej kolacji przy ładnie nakrytym stole, niczym tłuści, zamożni mieszczanie. A może nie ma w tym nic dziwnego?

Wszyscy uważamy, że właściwie należy nam się cały świat, a gdy w grę wchodzi sprawy najbardziej podstawowe – chociażby jedzenie czy dach nad głową, do których zapewne z natury mamy prawo – niewiele czasu potrzeba, żebyśmy zaczęli traktować je jak niezbywalne dobra. Dopiero tracąc je zauważamy, cośmy właściwie posiadali. Lecz gdy tylko odzyskamy rzecz utraconą, natychmiast znów przestajemy ją dostrzegać. Ten właśnie problem mieli ci, którym Dom Woburnów sprawił zawód. Tak długo cierpieli niedostatek, że pocieszali się tylko myślą o tym mitycznym zaciszu, lecz zaledwie dano im to, czego przez tyle czasu byli pozbawieni, stwierdzali ze zdumieniem, że w nich samych nie zaszła większa zmiana. Świat był taki jak

zawsze. Mieli pełne brzuchy, ale poza tym nic a nic się nie zmieniło.

Zawsze pamiętaliśmy, żeby uprzedzić ich o tym, jaki trudny może być ostatni dzień, ale nasze rady nikomu chyba zbytnio nie pomogły. Nie sposób przygotować się na taki wstrząs, nie sposób też przewidzieć, kto z rezydentów w ostatniej chwili stanie okoniem, a kto nie. Jedni potrafili odejść bez bólu, inni nie umieli temu sprostać. Myśl o powrocie na ulicę była dla nich udawką – zwłaszcza dla tych łagodnych, delikatnych, najbardziej wdzięcznych za okazaną pomoc – więc czasem serio się zastanawiałam, czy w ogóle warto, czy nie lepiej byłoby nic nie robić, niż mieć ludzi łakociami, żeby zaraz potem wyrwać im je z rąk. U samych podstaw tej sytuacji tkwiło okrucieństwo, z którym w gruncie rzeczy pogodzić się nie umiałam. Patrzeć, jak dorośli ludzie padają na kolana i żebrzą o jeszcze jeden dzień. Widzieć ich łzy, słyszeć skowyt, szaleńcze błagania. Niektórzy udawali chorych – niby to bez zmysłów walili się na ziemię, symulowali paraliż – inni posuwali się do rozmyślnych samookaleczeń: podcinali sobie żyły, haratali nogi nożyczkami, odrąbywali palce dłoni i stóp. W skrajnych przypadkach zdarzały się samobójstwa – pamiętam co najmniej trzy czy cztery. Dom Woburnów miał rzekomo pomagać ludziom, ale czasem ich niszczył.

Jest to jednak niebywale trudny problem. Gdy tylko uznasz, że instytucja w rodzaju Woburnów ma swoje dobre strony, pogrążasz się w grzęzawisku sprzeczności. Nie wystarczy stwierdzić, że rezydentów powinno się zatrzymywać na dłużej – zwłaszcza jeśli chcesz wydać sprawiedliwy werdykt. Cóż bowiem począć z tymi, co stoją za drzwiami, czekając swojej kolejki? Na każdego rezydenta przypadały dziesiątki petentów, błagających, żeby ich wpuszczono. Lepiej jest pomagać wielu osobom po troszeczkę, czy bardzo pomóc nielicznym? Nie widzę odpowiedzi na to pytanie. Doktor Woburn nadal swemu przedsięwzięciu taki a nie inny kierunek, a Wiktoria postanowiła trzymać się go do końca. To jeszcze nie znaczyło, że kierunek jest słuszny. Ani że jest niewłaściwy. Problem tkwił nie tyle w obranej metodzie, ile w naturze samego problemu. Zbyt wielu ludzi oczekiwało pomocy od nie dość licznych współpracowników. Nie było rady na tę nieubłaganą niszczycielską arytmetykę. Choćbyś się nie wiem jak zapracował, czekało cię fiasko. Praca miała sens tylko pod warunkiem, że gotów byłeś pogodzić się z jej całkowitą daremnością.

Najwięcej czasu pochłaniało mi odpytywanie kandydatów, wpisywanie ich na listę, ustalanie, kto i kiedy się wprowadzi. Wywiady te trwały od dziewiątej do pierwszej. Codziennie przesłuchiwałam w hallu od ulicy dwadzieścia, dwadzieścia pięć osób – pojedynczo, po kolei. Dawniej zdarzały się podobno paskudne incydenty, kiedy całe grupy usiłowały przemocą wdrzeć się do środka, więc podczas wywiadów zawsze dyżurował uzbrojony wartownik. Był nim Frick, który z karabinem w ręku stawał na schodach przed domem i obserwował tłum, pilnując, żeby wszystko szło gładko, według planu. Kolejka bywała czasem zdumiewająco długa, zwłaszcza w cieplej porze roku. Nierzadko stało w niej pięćdziesięciu, a nawet siedemdziesięciu

pięciu chętnych. Znaczyło to, że większość ludzi, z którymi rozmawiam, na samą tę rozmowę czeka trzy do sześciu dni, śpiąc na chodniku, posuwając się naprzód krok za krokiem, uparcie tkwiąc w ogonku, póki nie przyjdzie ich chwila. Kolejno wtaczali się do hallu nie kończącym się, nieprzerwanym szeregiem. Siadali w fotelu obitym czerwoną skórą, który stał po drugiej stronie stołu, a ja zadawałam im niezbędne pytania. Imię, nazwisko, wiek, stan cywilny, dawny zawód, ostatni stały adres i tak dalej. Nigdy nie trwało to dłużej niż kilka minut, ale do rzadkości należały wywiady, które na tym się kończyły. Wszyscy chcieli mi opowiedzieć swoje dzieje, a ja nie miałam wyboru: musiałam słuchać. Za każdym razem była to inna historia, lecz wszystkie sprowadzały się do tego samego: serie pecha, chybione rachuby, rosnący napór sytuacji. Nasze życiorysy są zaledwie sumą zbiegów okoliczności i choćby nie wiedzieć jak różniły się w szczegółach, ich wspólną zasadą jest przypadkowość: najpierw to, potem tamto, a z tamtego znowu to. Pewnego dnia obudziłem się i zobaczyłem, że skaleczyłem się w nogę, więc za wolno biegłem. Żona powiedziała, matka upadła, mąż zapomniał. Wysłuchałam setek takich opowieści i chwilami myślałam, że dłużej już nie wytrzymam. Musiałam współczuć, w odpowiednich momentach kiwać głową, ale profesjonalna maska spokoju, za którą się kryłam, okazywała się wobec tych historii nie dość szczelna. Nie byłam stworzona do tego, żeby wysłuchiwać relacji prostytutek z Klinik Eutanazji. Nie miałam talentu, żeby słuchać opowiadań matek o tym, jak umarły ich dzieci. Wszystko to było zbyt makabryczne, zbyt okrutne, a ja mogłam tylko chować się za fasadą swojej oficjalnej funkcji. Wpisywałam kandydatów na listę i ustalałam terminy – odległe o dwa, trzy, czasem cztery miesiące. Powinniśmy mieć wtedy wolne miejsce, mówiłam. Kiedy termin nadchodził, osobiście ich przyjmowałam do Domu Woburnów. Głównie to wypełniało mi popołudnia; oprowadzałam nowo przybyłych, wyjaśniałam obowiązujące u nas zasady, pomagałam się urządzić. Przeważnie stawiali się w dniu, który wyznaczyłam im z tak wielkim wyprzedzeniem, ale czasem ktoś się nie zgłaszał. Nietrudno było zgadnąć, czemu. Dla takich ludzi trzymaliśmy wolne łóżka równo przez dobę, a jeśli dalej się nie pojawiali, skreślałam ich z listy.

Nasz zaopatrzeniowiec nazywał się Borys Stiepanowicz. Dostarczał żywność, mydło, ręczniki, czasem jakiś sprzęt. Przychodził cztery, pięć razy na tydzień, przywoził zamówiony towar, a w zamian zabierał kolejny skarb z majątku Woburnów: porcelanowy czajniczek, skrzypce, ramę od obrazu, komplet pokrowców na meble. Precjoza te przechowywano na czwartym piętrze i właśnie z ich sprzedaży pochodziła gotówka, dzięki której Dom Woburnów wciąż funkcjonował. Mówiła mi Wiktoria, że Borys Stiepanowicz jest częścią krajobrazu od dawna, odkąd doktor Woburn założył pierwsze schroniska. Ci dwaj już wtedy znali się od lat. Zdumiewało mnie, że ktoś taki jak doktor mógł się przyjaźnić z równie mętną figurą. Miało to pewnie coś wspólnego z faktem, że uratował kiedyś Borysowi życie – a może na odwrót.

Słyszałam kilka różnych wersji i nigdy nie wiedziałam, która jest prawdziwa.

Borys Stiepanowicz był pulchnym mężczyzną w sile wieku. Na tle reszty populacji Miasta wydawał się niemal otyły. Lubił pewien przepych w ubiorze (futrzone czapy, laski, kwiaty w butonierce), a jego krągła twarz, w której było coś z indiańskiego wodza i coś z orientalnego wielmoży, wyglądała, jakby przeszła przez ręce rymarza. Miał swój charakterystyczny styl, widoczny nawet w sposobie palenia papierosa: trzymał go między kciukiem a palcem wskazującym, z wytworną nonszalancją, żarem do góry, a dym wydmuchiwał przez szerokie nozdrza niczym parę z czajnika.

W rozmowie z nim łatwo się było pogubić, a gdy go lepiej poznałam, przekonałam się, że ilekroć otwiera usta, należy się spodziewać mocno niejasnej historii. Uwielbiał zagadkowe sentencje, okrężne aluzje, najprostszą uwagę potrafił ozdobić wymyślnym ornamentem, toteż słuchacz szybko tracił wątek. Borys nie znosił poczucia, że przypiera go się do muru, więc język służył mu za środek lokomocji, dzięki któremu był stale w ruchu, robił finty i zwody, krążył, znikał, aby nagle pojawić się w najbardziej nieoczekiwanym miejscu. W różnych okresach opowiedział mi o sobie takie mnóstwo historii, streścił tyle sprzecznych życiorysów, że w końcu przestało mnie obchodzić, który wariant jest prawdziwy. Jednego dnia zapewniał, że urodził się w Mieście i spędził tu całe życie. Nazajutrz, jakby nie pamiętając ani słowa z poprzedniej wersji, wmawiał, że urodził się w Paryżu jako najstarszy syn rosyjskich emigrantów. Potem znów zmieniał kurs i oświadczał, że wcale nie nazywa się Borys Stiepanowicz. Za młodu miał jakieś nieprzyjemności z turecką policją, więc musiał przybrać nową tożsamość. Od tamtej pory korzystał z tyłu nazwisk, że sam już nie pamięta, jak brzmiało to prawdziwe. Ale mniejsza z tym. Życie trzeba z chwili na chwilę, a cóż to ma za znaczenie, kim byłeś w zeszłym miesiącu, skoro wiesz, kim jesteś dziś? On na przykład urodził się w indiańskim plemienu Algonkinów, lecz gdy umarł jego ojciec, matka wyszła za rosyjskiego księcia. Sam Borys Stiepanowicz nigdy się nie ożenił, albo dla odmiany był żonaty aż trzykrotnie – w zależności od tego, która wersja w danej chwili najbardziej mu odpowiadała. Każdą z tych swoich historii osobistych snuł po to, żeby coś przy okazji udowodnić, jak gdyby odwołując się do własnych doświadczeń automatycznie zyskiwał rangę najwyższego autorytetu w tej czy innej dziedzinie. Z tego samego powodu miał się wszelkich możliwych zajęć, poczynając od najbardziej upokarzających prac fizycznych, a na najwyższych stanowiskach kończąc. Był swego czasu pomywaczem, żonglerem, handlarzem aut, profesorem literatury, kieszonkowcem, agentem od nieruchomości, redaktorem naczelnym gazety i dyrektorem domu towarowego, specjalizującego się w modzie damskiej. Na pewno było tego więcej niż zapamiętałam, ale masz już chyba jakie takie pojęcie, co to za postać. Nigdy właściwie nie oczekiwałam, że ktokolwiek uwierzy w jego wymysły, lecz zarazem nie uważałam ich za zwykłe kłamstwa. Były elementem nieomal świadomego planu, w którym szło o to, żeby udziierać wokół Borysa Stiepanowicza przyjemniejszy świat, zmieniający się co chwila wedle kaprysu

swego twórcy, nie poddany prawom ani ponurym koniecznością pętającym innych ludzi. Trudno by go więc nazwać realistą w ścisłym sensie, lecz z drugiej strony bynajmniej się nie oszukiwał. Wbrew pozorom nie był pyszałkiem robiącym sprytnie uniki przed światem, bo poprzez jego fanfaronadę i werwę zawsze przebijało całkiem co innego – może wnikliwość, może głębsza intuicja. Nic zaryzykowałabym twierdzenia, że był dobry (przynajmniej nie w tym sensie, w jakim dobre były Izabela i Wiktoria), miał jednak swoje zasady i ich się trzymał. Jak nikt spośród ludzi, których tu poznałam, umiał wznieść się ponad okoliczności. Czy był to głód, mord czy najgorsze okrucieństwo, potrafił bez szwanku przejść obok tych rzeczy, a nawet przez samą ich gęstwę. Tak jakby z góry wyobrażał sobie wszelkie ewentualności, więc nic nigdy go nie zaskakiwało. Nieodłączną cechą tej postawy był pesymizm tak głęboki i druzgocący, a tak zarazem logicznie zharmonizowany z sytuacją, że w końcu przeradzał się w pogodę ducha.

Parę razy w tygodniu na prośbę Wiktorii towarzyszyłam Borysowi Stiepanowiczowi w jego rundzie po mieście, czyli „ekspedycji kupieckiej”, jak nazywał te wypadki. Nie żebym mu rzeczywiście pomagała, ale przy każdej okazji chętnie urywałam się z pracy, choćby na kilka godzin. Wiktoria pewnie to rozumiała, bo starała się zanadto mnie nie żyłować. Wciąż jeszcze byłam przygnębiona, w chwiejnej równowadze, byle co mnie denerwowało, bez widocznego powodu złościłam się albo zamykałam w sobie. Borys Stiepanowicz miał chyba na mnie zbawienny wpływ, zaczęłam więc wyczekiwać tych naszych wspólnych wycieczek, wrywały mnie bowiem z koleiny własnych myśli.

Nigdy nie robił przy mnie zakupów (nie wiem na przykład, gdzie zdobywał żywność dla Domu i jakim cudem docierał do potrzebnych nam towarów), natomiast często zdarzało mi się obserwować, jak sprzedaje rzeczy, które Wiktoria postanowiła upłynnić. Miał z tego raptem dziesięć procent, ale widząc go w akcji pomyślałbyś, że pracuje na własny rachunek. Stosował żelazną zasadę, żeby każdemu Reanimatorowi składać najwyżej jedną wizytę na miesiąc, kursowaliśmy więc po całym Mieście, za każdym razem obierając inny kierunek, i często zapuszczaliśmy się w zupełnie mi nie znane rejony. Borys miał dawniej auto – Stutza Bearcata, jak twierdził – lecz odkąd stan ulic przestał odpowiadać jego wymaganiom, podróżował wyłącznie na piechotę. Ściskając pod pachą przedmiot, który powierzyła mu Wiktoria, prowadził mnie improwizowanymi trasami, starannie unikając tłumu. Wybierał ustronne zaułki i bezludne ścieżki, zręcznie stapał po wybebeszonych chodnikach, omijał rozliczne pułapki i niebezpieczeństwa, skręcał to w lewo, to w prawo i ani na chwilę nie gubił rytmu kroków. Jak na człowieka tej tuszy poruszał się z tak niesłychaną zręcznością, że czasem ledwo nadażałam. Nucąc pod nosem, paplając o tym lub owym pomykał lekko jak tancerz, nerwowy, lecz pogodny, gdy ja wlokłam się w ogonie. Znał chyba wszystkich Reanimatorów i każdego umiał odpowiednio potraktować: do jednych wbiegał z otwartymi ramionami, do innych wkradał się cichaczem. Mieli oni swoje słabe punkty, a Borys wiedział, jak w nie utrafić. Schlebiał łasemu na

pochlebstwa; temu, który lubił kolor niebieski, wręczał upominek w tym właśnie kolorze. Jeden wolał godne maniery, inny się spoufalał, jeszcze inny nie chciał słyszeć o niczym prócz interesów. Borys spełniał ich zachcianki, a łągał przy tym jak najęty, bez cienia skrupułów. Był to jednak element gry, którą prowadził, nie zapominając ani na chwilę, że to tylko gra. Jego historyjki brzmiały po prostu groteskowo, lecz zmyślał je tak błyskawicznie, ozdabiał tyłoma kunsztownymi detalami i opowiadał z takim przekonaniem, że trudno było nie dać się wciągnąć.

– Drogi przyjacielu – mówił na przykład. – Dobrze się przyjrzyj temu czajniczce. Weź go do ręki, jeśli masz ochotę. Zamknij oczy, przytknij dziobek do ust i wyobraź sobie, że pijesz z niego herbatę, tak jak ja ją piłem trzydzieści jeden lat temu w salonie księżnej Obłomow. Studiowałem wtedy literaturę na uniwersytecie, byłem młody, a jaki szczupły, nigdy byś nie uwierzył, szczupły i przystojny, z przepiękną burzą kędziorów na głowie. Księżna była najbardziej zachwycającą kobietą w Mińsku, młodą wdową o niezmiernym wręcz powabie. Księżę Obłomow, potomek wielkiego rodu, zginął w pojedynku – sprawa honorowa, nie ma potrzeby wdawać się tu w szczegóły – więc wyobrażasz sobie, przyjacielu, jak to podziało na mężczyzn z jej kręgu. Miała legion zalotników; jej salon stał się przedmiotem zazdrości całego Mińska. Ach, cóż to była za kobieta! Do dziś nie opuszcza mnie wspomnienie jej urody: lśniące rude włosy; śnieżnobiałe falujące łono; oczy, w których skrzył się dowcip, a nie brakowało też iskerek niegodziwości. W sumie dość, żeby człowiek oszalał. Wszyscy rywalizowaliśmy o jej względy, wielbiliśmy ją, pisaliśmy dla niej wiersze, kochaliśmy się w niej bez pamięci. Ale to ja, młody Borys Stiepanowicz, właśnie ja zdołałem wkraść się w łaski tej osobliwej kusicielki. Mówię ci o tym z całą skromnością. Gdybyś mnie wtedy widział, zrozumiałbyś, jak mogło do tego dojść. Zaczęły się więc schadzki w odległych zakątkach miasta, spotkania późną nocą, potajemne wizyty na mojej mansardzie (księżna przemierzała ulice w przebraniu), a całe długie, upajające lato spędziłem w jej wiejskiej posiadłości. Niczego mi nie skąpiła – i nie mam tu na myśli jej wdzięków, choć same w sobie by wystarczyły, ręczę ci, wystarczyłyby aż nadto! Mówię o podarunkach, którymi mnie obsypywała, o niezliczonych dowodach serca. Mogły to być dzieła zebrane Puszkina, oprawne w skórę. Srebrny samowar. Złoty zegarek. Tyle się tego uzbierało, że wszystkiego nawet nie wymienię, a między innymi przewspaniały serwis do herbaty, niegdyś własność dworzanina francuskich monarchów (był to bodajże diuk de Fantomas). Oszczędzałem go, używając wyłącznie podczas jej wizyt, kiedy to namiętność gnała ją przez zaśnieżone ulice Mińska i rzucała w moje ramiona. Niestety, czas nie zna litości. Serwis nie uniknął losu, jaki mu zgotowały owe lata: spodeczki popękały, filiżanki się potłukły – ot, utracony świat. Ale coś przecież ocalało, ostatnie ogniwo łączące mnie z przeszłością. Obchodź się z nim łagodnie, przyjacielu. Trzymasz w dłoni moje wspomnienia.

Sztuczka polegała chyba na tym, że potrafił ożywić przedmioty martwe. Odwracał uwagę Reanimatorów, wywabiając ich ze sfery konkretności w rejony, w których towar nie był już

czajniczkiem, lecz księżną Obłomow we własnej osobie. Nie miało znaczenia, czy mówi prawdę, czy zmyśla. Samo brzmienie głosu wystarczało, żeby beznadziejnie zagmatwać sprawę. Jego najskuteczniejszą bronią był zapewne właśnie głos, wyposażony w nadzwyczaj rozległy zakres modulacji i timbrów, toteż Borys Stiepanowicz w swoich przemowach co chwila przechodził od dźwięków twardych do miękkich i z powrotem, pozwalając, aby słowa wznosiły się i opadały gęstą, zawile rzeźbioną kaskadą sylab. Miał słabość do wyświechtanych zwrotów i sentymentalnej literackości, ale pomimo martwoty samego języka jego opowieści brzmiały niezwykle żywo. Cała rzecz tkwiła w sposobie podania, a Borys nie wahał się zniżyć do najpodlejszych chwytów. W potrzebie umiał łąć autentyczne łyzy. Jeśli sytuacja tego wymagała, potrafił cisnąć przedmiotem sporu o podłogę i go stłuc. Pewnego razu chcąc udowodnić, że pozornie kruche kieliszki są godne zaufania, żonglował nimi przez więcej niż pięć minut. Byłam zawsze lekko zażenowana tymi popisami, ale trudno zaprzeczyć, że wywoływały pożądany efekt. Ostatecznie o wartości przesądza podaż i popyt, a na antyczne precjoza wielkiego popytu nigdy nie było. Mogli sobie na nie pozwolić jedynie bogacze – rekiny czarnego rynku, Śmieciobiorcy czy wreszcie sami Reanimatorzy – więc Borys nic by nie zwojował, gdyby zachwalał użyteczność swoich towarów. Cały ich urok polegał właśnie na tym, że tylko człowiek rozrzutny mógł ich pragnąć jako symboli bogactwa i władzy. Stąd wszystkie te historyjki o księżnej Obłomow i osiemnastowiecznych diukach francuskich. Kupując od Borysa Stiepanowicza antyczny wazon, nabywca dostawał gratis cały zaginiony świat.

Borys mieszkał w małym domku w Alei Turkusowej, raptem dziesięć minut piechotą od Woburnów. Dobiwszy targu z Reanimatorem, często wstępowaliśmy tam na herbatę. Przepadał za nią i zwykle podawał też jakieś słodczyce – nieprzyzwoicie smakowite łakocie z Domu Ciast na Bulwarze Windsorskim: kremówki, bułeczki z cynamonem, eklery z czekoladą kupione po bandyckich cenach. Nie umiał sobie odmówić tych drobnych przyjemności i delektował się każdym rarytasem, żując bez pośpiechu, a za podkład muzyczny służył równomierny turkot w jego gardle, coś między śmiechem a westchnieniem. Mnie także sprawiały przyjemność te nasze herbatki, nie tyle jednak samo jedzenie, ile to, że Borys koniecznie chciał się nim ze mną dzielić. Moja młoda przyjaciółka jest za wążką, mawiał. Musimy odkarmić naszą miłą wdówkę, musi nabrać kolorków panna Anna Blume, zielona jak bluszcz. Trudno było nie cieszyć się, kiedy tak się ze mną obchodził. Chwilami miewałam wrażenie, że cała jego żywiołowość to tylko poza przybierana na mój użytek. Odgrywał kolejno rolę błazna, łajdaka i filozofa, lecz im lepiej go poznawałam, tym wyraźniej ukazywały mi się one jako aspekty jednej osobowości, która uruchamiała wszystko, co miała w zanadrzu, żeby przywrócić mnie życiu. Bardzo się zaprzyjaźniliśmy. Wiele zawdzięczam współczuciu Borysa, jego sprytnym i wytrwałym szturmom do warowni mojego smutku.

Mieszkancko miał obskurne, trzypokojowe, po tylu latach zbieractwa kompletnie zagracone

ceramiką, ubraniami, walizkami, kocami, dywanami i wszelkiego rodzaju bibelotami. Natychmiast po powrocie do domu zaszywał się w sypialni, zdejmował garnitur i starannie wieszał go w szafie, a wkładał stare spodnie, kaptcie i szlafrok. Ten ostatni był dość niesamowitą pamiątką minionych lat – długi aż po kostki, z czerwonego aksamitu, ozdobiony gronostajowym kołnierzem i mankietami, cały w strzępach, z rękawami przeżartymi przez mole, na plecach wytarty do gołej nitki. Borys nosił go jednak z właściwą sobie fantazją. Gdy już zaczesał za uszy pasma rzednących włosów i skropił szyję wodą kolońską, zamasyście wkraczał do ciasnego, zakurzonego salonu i parzył herbatę.

Potem zwykle raczył mnie opowieściami o własnym życiu, kiedy indziej jednak oglądaliśmy rozmaite przedmioty i rozmawialiśmy o nich, grzebiąc w pudłach pełnych kuriozów, wśród dziwnych cacek – pozostałości tysiąca „ekspedycji kupieckich”. Największą dumą napawała go kolekcja kapeluszy, które przechowywał w drewnianym kufrze pod oknem. Nie wiem, ile ich miał, ale pewnie ze dwa albo trzy tuziny, a może i więcej. Czasem wybierał dwa, po czym wkładaliśmy je na głowy i tak przystrojeni piliśmy herbatę. Ogromnie go cieszyła ta zabawa, a przyznam, że mnie też, choć nie umiałabym wytłumaczyć, czemu właściwie. Do kolekcji Borysa należały kapelusze kowbojskie i meloniki, fezy i hełmy korkowe, birety i berety – wszelkie możliwe nakrycia głowy. Gdy pytałam, po co je zbiera, za każdym razem mówił co innego. Kiedyś powiedział, że religia – zabrania mu chodzić z gołą głową. Przy innej okazji twierdził, że każdy eksponat był niegdyś własnością jednego z jego krewnych, więc nosząc je nawiązuje kontakt z duszami zmarłych przodków: ilekroć wkłada jakieś nakrycie głowy, przenika go duch poprzedniego właściciela. Ponazywał je nawet, dla mnie były to jednak raczej projekcje jego własnych skojarzeń z tym czy innym kapeluszem niż imiona ludzi, którzy kiedyś naprawdę żyli. Na przykład fez nosił imię „wuja Abdula”. Melonik nazywał się „Sir Charles”, a biret – „profesor Solomon”. Lecz gdy przy innej okazji zahaczyłam o ten sam temat, Borys odparł, że nie lubi chodzić z gołą głową, bo mu z niej parują myśli. A kiedy przy herbacie oboje wkładamy kapelusze, nasza rozmowa siłą rzeczy staje się bardziej inteligentna i inspirująca.

– *Le chapeau influence le cerveau* – dodał, przechodząc na francuski. – *Si on protege la tete, la pensee n'es t plus bete.*

Raz tylko wydało mi się, że się odslonił, i ta właśnie rozmowa najbardziej utkwiała mi w pamięci, ją najdokładniej potrafię odtworzyć. Zdarzyło się to w deszczowe popołudnie, po całym dniu obrzydliwej siąpiawicy. Zabałamuciłam dłużej niż zwykle, bo nie bardzo miałam ochotę wyjść z ciepłego mieszkania i wrócić do Woburnów. Borys pogrążony był w dziwnie melancholijnej zadumie, więc przy herbacie głównie ja mówiłam. Kiedy wreszcie się zmobilizowałam, żeby włożyć płaszcz i się pożegnać (pamiętam zapach wilgotnej wełny, płomyki świec odbite w oknie, jaskiniową zaciszę tamtej chwili), nie wstając z fotela wziął mnie za rękę i z tajemniczym, ponurym uśmiechem mocno ją ścisnął.

- Musisz zdać sobie sprawę, moja droga, że to wszystko iluzja – rzekł.
- Nie bardzo wiem, o czym mówisz, Borysie.
- O Domu Woburnów. Stoi na fundamencie z chmur.
- Wydaje mi się całkiem solidny. Siedzę tam przecież od tylu dni i jak dotąd nigdy się nie poruszył. Ani drgnął.
- Owszem, jak dotąd. Ale poczekaj trochę, to sama się przekonasz.
- Trochę, czyli ile?
- Tyle, ile będzie trzeba. Zasoby czwartego piętra nie są nieskończone i prędzej czy później się wyczerpią. Właściwie już są na wyczerpaniu, a rzeczy raz upłynnionych nie sposób odzyskać.
- Czy to takie straszne? Wszystko kiedyś się kończy, Borysie. Nie rozumiem, czemu Dom Woburnów miałby być wyjątkiem.
- Łatwo ci mówić. A co będzie z nieszczęsną Wiktoria?
- Nie jest głupia. Na pewno sama się nad tym zastanawia.
- Jest za to uparta. Nie podda się, póki zostanie jej choćby jeden glot, a wtedy znajdzie się w tej samej sytuacji co ludzie, którym usiłuje pomóc.
- To już chyba jej prywatna sprawa?
- I tak, i nie. Obiecałem jej ojcu, że nią się zaopiekuję, i nie zamierzam złamać słowa. Gdybyś ją знаła w młodości, dawno temu, zanim wszystko zaczęło się walić. Była taka piękna, pełna życia. Sama myśl, że mogłoby ją spotkać coś złego, jest dla mnie udręką.
- Zdumiewasz mnie, Borysie. Nigdy bym cię nie posądzała o taki sentymentalizm.
- No cóż, każdy z nas przemawia czasem swoim prywatnym językiem duchów. Czuję pismo nosem i nie jest to nęcąca woń. Woburnom skończą się fundusze. Mam tu oczywiście pewne rezerwy – to mówiąc zatoczył ręką łuk, którym ogarnął zgromadzone w pokoju przedmioty – ale one też szybko się wyczerpią. Jeśli nie zaczniemy myśleć o przyszłości, marne nasze widoki.
- Czyli?
- Musimy coś zaplanować. Rozważyć możliwości. Zacząć działać.
- I myślisz, że Wiktoria cię posłucha?
- Nie jestem pewien, ale jeśli mnie poprzesz, to mamy szansę.
- Skąd wiesz, że mogę mieć na nią wpływ?
- Nie jestem ślepy, Anno. Widzę, co się między wami dzieje. Wiktoria nigdy wobec nikogo tak się nie zachowywała. Świata za tobą nie widzi.
- Przecież my się tylko przyjaźnimy.
- Nie tylko, moja droga. To coś dużo poważniejszego.
- Nie rozumiem, o co ci chodzi.
- Zrozumiesz. Prędzej czy później zrozumiesz każde moje słowo. Ręczę.

Miał rację. W końcu zrozumiałam. Coś, co od dawna wisiało w powietrzu, w końcu się urzeczywistniło. Potrzebowałam jednak wiele czasu, żeby się połapać. Właściwie nie połapałam się, póki prawda nie zaczęła bić w oczy. Ale to chyba wybaczone, bo przecież tak naiwnej osoby jak ja świat nie widział.

Bądź wyrozumiały. Wiem, że bredzę, ale to, co mam ci teraz powiedzieć, niełatwo zawrzeć w słowach. Wczuj się w naszą ówczesną sytuację, wyobraź sobie wiszące nad nami widmo rychłego końca, przenikające każdą sekundę poczucie nierzeczywistości. Kliniczny termin „miłość lesbijska” nijak się nie ma do faktów. Wiktoria i ja nie byłyśmy parą w potocznym sensie. Powiedziałabym raczej, że stałyśmy się dla siebie nawzajem ostoją, zaciszem, w którym można się schronić i ponapawać własną samotnością. Na dłuższą metę seks okazał się najmniej istotny. Przecież ciało tak czy owak jest tylko ciałem, więc jakie to ma znaczenie, czy dotyka cię ręka mężczyzny czy kobiety? Wiktoria prócz rozkoszy dawała mi odwagę, bez której nie sposób znieść teraźniejszość. To w sumie było najważniejsze. Przestałam żyć z głową odwróconą wstecz i chyba właśnie dzięki temu zaczęły się goić niezliczone rany, które dotychczas w sobie obnosiłam. Nie wszystkie się zabiły, więc nie całkiem wydobrzałam, ale przynajmniej nie pałam już nienawiścią do życia. Zakochała się we mnie kobieta, a ja potrafiłam tę miłość odwzajemnić. Nie proszę cię, żebyś to zrozumiał, tylko przyjął do wiadomości. Wielu rzeczy w życiu żałuję, ale akurat nie tej.

Zacząło się to pod koniec lata – trzy, cztery miesiące po tym, jak przywieziono mnie do Woburnów. Późnym wieczorem Wiktoria jak zwykle przysłała do mojego pokoju na chwilę rozmowy. Pamiętam potworne zmęczenie, ból w krzyżu i jeszcze większą niż zazwyczaj rozpacz. Zaczęła mi masować plecy – ot tak, z życzliwości, żeby rozluźnić mięśnie; był to prosty, siostrzany gest, jaki wykonałaby w tych okolicznościach każda przyjaciółka. Ale od miesięcy nikt mnie nie dotknął – ściśle mówiąc, od ostatniej nocy z Samem – i prawie już zapomniałam, jakie to miłe uczucie. Dłonie Wiktorii sunęły wzdłuż mego kręgosłupa i w końcu wpełzły mi pod bluzkę. Kiedy dotknęła palcami mojej skóry, ogarnęło mnie niecodziennie uczucie i niebawem zaczęłam prawie lewitować z rozkoszy, czując, że moje ciało lada chwila rozlezie się w szwach. Ale nawet wtedy żadna z nas nie domyślała się chyba, do czego to doprowadzi. Wszystko działo się bardzo wolno, krok za krokiem i nie wprost, bez zamierzonego celu. W pewnym momencie prześcieradło zsunęło mi się z nóg i tak już je zostawiłam. Dłonie Wiktorii zagarniały coraz rozleglejsze obszary mojego ciała, obejmując nogi i pośladki, wędrując w dół wzdłuż boków i w górę po ramionach, aż w końcu zapragnęłam, żeby dotknęła mnie wszędzie. Przewróciłam się na plecy i zobaczyłam ją: pochylała się nade mną, naga pod szlafrokiem, a z dekoltu wystawała jej pierś.

– Jesteś taka piękna – powiedziałam – że chciałabym umrzeć.

Uniosłam się trochę i zaczęłam całować jej pierś, tę krągłą, piękną pierś, o tyle większą od

moich. Całowałam miękką, brązową aureolę, sunąc językiem po siatce błękitnych żyłek widocznych tuż pod skórą. Było to dla mnie głębokie, wręcz wstrząsające przeżycie i w pierwszej chwili poczułam, że przypadkiem doszukałam się w sobie pragnienia, które odkryć można tylko w mroku snów, ale uczucie to nie trwało długo, a potem odrzuciłam wszelkie zahamowania i dałam się ponieść rozkoszy.

Odtąd przez kilka miesięcy sypiałyśmy razem i dopiero wtedy zaczęłam się pomału zadomawiać. Praca u Woburnów wywierała na mnie niszczycielski wpływ, póki nie miałam tam nikogo pewnego, żadnego trwałego punktu, z którym mogłabym związać się uczuciem. Zbyt wiele osób się przewijało, zbyt wiele cudzych losów przemykało obok, a zanim się kogoś dobrze poznało, pakował manatki i ruszał w świat. Na jego miejsce wprowadzał się ktoś inny, zajmował świeżo zwolnione łóżko, siadał w tym samym fotelu, spacerował po tych samych ścieżkach, póki i jego czas się nie skończył – a potem cykl się powtarzał. Natomiast Wiktor i ja byłyśmy zawsze dla siebie, na dobre czy na złe, i w powodzi zmian to jedno się nie zmieniało. Dzięki tej więzi umiałam zmusić się do pracy, a z kolei praca kojąco wpływała na mój stan ducha. Potem zaszły nieprzewidziane wydarzenia i nie mogliśmy już być ze sobą tak jak dotychczas. Za chwilę o tym opowiem, ważne jednak jest to, że w gruncie rzeczy nic się między nami nie zmieniło. Więż pozostała nienaruszona, a ja raz na zawsze przekonałam się, jak niezwykle osobą jest Wiktor.

Stało się to w połowie grudnia, w porze pierwszych mrozów. Zima okazała się w końcu mniej brutalna od poprzedniej, ale nikt nie mógł tego z góry przewidzieć. Wraz z mrozem powróciły straszne wspomnienia sprzed roku i czuło się, że na ulicach narasta panika, gdy zrozpaczeni ludzie usiłują się przygotować na atak żywołów. Kolejki przed Domem Woburnów były dłuższe niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy, więc często musiałam pracować po godzinach, żeby nadażyć. Pamiętam, że tamtego ranka przesłuchiłam dziesięć czy jedenaście osób, jedną po drugiej, a każda uraczyła mnie makabryczną opowieścią. Ostatnia – kobieta koło sześćdziesiątki, niejaka Melissa Reilly – była tak roztrzęsiona, że załamała się i rozplakała na moich oczach, ściskając mnie za rękę i błagając, żebym jej pomogła odszukać zaginionego męża, który odszedł w czerwcu i więcej nie dał znaku życia.

– Czego pani chce? – spytałam. – Przecież nie rzucę wszystkiego, żeby ruszyć z panią na włóczęgę po ulicach. Mam za dużo pracy.

Lecz ona dalej robiła scenę i w końcu jej upór zaczął mnie złościć.

– Proszę posłuchać – powiedziałam. – Nie pani jedna w tym mieście straciła męża. Ja ze swoim też od miesięcy nie mam kontaktu. Wszystko przemawia za tym, że jest takim samym trupem jak pani mąż. Ale czy ja płaczę albo rwę włosy z głowy? Taki już nasz los, nie ma rady.

Brało mnie obrzydzenie, że wygaduję te komunały i tak szorstko ją traktuję, ale jej histeria odebrała mi rozum. Nie mogłam już, słuchać, jak plecie bez sensu o panu Reillym, o dzieciach,

które z nim miała, i o podróży poślubnej sprzed trzydziestu siedmiu lat.

– Nic mnie nie obchodzi pani mąż – wybuchła wreszcie. – Takie bezduszne ścierwo jak pani nie zasługuje na męża, a ten cały Dom Woburnów też może pani sobie wsadzić. Gdyby dobry doktor panią słyszał, w grobie by się przewrócił.

Coś w tym guście, słowo w słowo nie powtórzę. A potem wstała i odeszła, nadęta z oburzenia. Zaraz po jej odejściu położyłam głowę na biurku i zamknęłam oczy, czując, że chyba już nie mam siły nikogo przesłuchać tego dnia. Ostatni wywiad skończył się zupełną klapą – z mojej winy, bo nie powinnam była dać się ponieść emocjom. Nie widziałam dla siebie żadnej wymówki, żadnego wytłumaczenia, czemu wyładowałam własny ból na nieszczęsnej kobiecie, która traciła zmysły z rozpacz. Pewnie się wtedy zdrzemnęłam – na pięć minut, a może zaledwie na parę sekund, trudno powiedzieć. Wiem tylko, że zanim znów otworzyłam oczy, minęła wieczność, bo kiedy podniosłam głowę, naprzeciw mnie siedział Sam, czekając na wywiad. Najpierw uznałam, że widocznie wciąż jeszcze śnię. To zwykłe urojenie, pomyślałam. Jeden z tych snów, w których niby się budzisz, ale to przebudzenie też ci się tylko śni. A potem powiedziałam: „Sam”, ot tak, do siebie – i natychmiast zrozumiałam, że to nie może być nikt inny. To był on, a zarazem nie on: Sam obleczony w jakieś inne ciało, z siwiejącymi włosami i posiniaczonym policzkiem, z czarnymi, poharatanymi palcami, w tragicznie złachanym ubraniu. Spojrzenie miał martwe, nieobecne, jakby dryfował, nieodwołalnie zagubiony w sobie. Ujrzałam to wszystko w ułamku sekundy, w mgnieniu oka, w jakimś wirze. Tak, to był Sam, ale nie poznał mnie, nie wiedział, kim jestem. Serce mi załomotało i myślałam, że zemdleję. A potem po policzkach Sama bardzo wolno spłynęły dwie łzy. Zagryzł dolną wargę, broda mu się trzęsła, choć starał się powstrzymać. Nagle zadrżał od stóp do głów, wyrwało mu się raptowne westchnienie i wreszcie od dawna hamowany szloch targnął nim całym. Odwrócił się, żeby ukryć twarz, bo wciąż jeszcze próbował nad sobą zapanować, ale dalej wstrząsały nim spazmy, a z zaciśniętych ust wydobywał się zduszony, chrapliwy dźwięk. Wstałam, zataczając się obeszłam biurko i mocno go objęłam. W tej samej chwili usłyszałam spod jego płaszcza szelest zmiętych gazet. Zaraz potem rozplakałam się i już nie mogłam przestać. Wczepiłam się w Sama z całych sił, wtuliłam twarz w fałdy jego płaszcza i beczałam bez opamiętania.

Było to ponad rok temu. Minęły tygodnie, zanim Sam na tyle wydobrał, żeby mi opowiedzieć, co mu się po drodze przytrafiło, ale nawet i wtedy jego relacja była niejasna, pełna sprzeczności i luk. Mówił, że wszystko płacze mu się w pamięci, że z trudem rozgranicza poszczególne wydarzenia, ledwo umie oddzielić dzień od dnia. Pamiętał, że do jakiejś szóstej czy siódmej rano czekał na mój powrót, a potem wreszcie poszedł mnie szukać. Wrócił dopiero po północy, kiedy biblioteka już się paliła. Stojąc w tłumie gapiów i patrząc na wałący się dach widział jednocześnie, jak wraz z resztą budynku płonie nasza książka. Twierdził, że wyraźnie

ujrzał ją we własnej głowie, że czuł z dokładnością co do sekundy, kiedy płomienie wtargnęły do naszego pokoju i pochłoneły rękopis.

Odtąd wszystko się zamazało. Miał pieniądze w kieszeni, ubranie na grzbiecie, no i tyle. Przez dwa miesiące prawie nic nie robił, tylko mnie szukał, sypiając, gdzie się dało, jadając dopiero wtedy, kiedy głód stawał się nieznośny. W ten sposób utrzymał się na powierzchni, ale pod koniec lata został niemal bez grosza. Co gorsza, dał w końcu za wygraną i przestał mnie szukać. Nabrał przekonania, że nie żyję, a nie mógł znieść udręki, jaką była złudna nadzieja. Zaszły się na Stacji Diogenesa, dawnym dworcu kolejowym w północno-zachodniej części miasta, wśród degeneratów i szaleńców, ludzi-cieni, którzy snuli się po długich korytarzach i opustoszałych poczekalniach. Czuł się zupełnie zezwierzęcony, jakby przedzierzgnął się w jakieś podziemne stworzenie i zapadł w sen zimowy. Parę razy w tygodniu zarabiał mizerne sumy u szperaczy, dźwigając za nich ciężary, najczęściej jednak trwał w bezczynności, w odrętwieniu, póki jakaś siła wyższa nie wyrwała go z tego stanu.

– Przestałem starać się być kimkolwiek – powiedział. – Miałem w życiu tylko jeden cel: odsunąć się jak najdalej od świata, zamieszkać gdzieś, gdzie nic już mnie nie zrani. Usiłowałem stopniowo wyzbyć się przywiązań, zrezygnować ze wszystkiego, na czym dawniej mi zależało. Chciałem osiągnąć stan zubożenia tak głębokiego i wzniosłego, że chroniłoby mnie ono przed każdym następnym ciosem. Pożegnałem się z tobą, Anno. Pożegnałem się z książką; pożegnałem się z myślą o powrocie do domu. Próbowałem nawet pożegnać się z samym sobą. Pomału upodabniałem się do pogodnego Buddy, kiedy tak siedziałem w kącie, nie zwracając uwagi na otaczający mnie świat. Gdyby nie ciało – gdyby nie to, że żołądek albo kiszki upominały się czasem o swoje prawa – może już nigdy nie ruszylibym się z miejsca. Niczego nie pragnąć, mówiłem sobie, niczego nie posiadać, być niczym. Nie widziałem lepszego rozwiązania. W końcu wiodłem już niemal żywot kamienia.

Dałyśmy mu dawny mój pokój na pierwszym piętrze. Sam był w strasznym stanie, przez pierwszych dziesięć dni balansował na granicy życia i śmierci. Siedziałam przy nim prawie bez przerwy, poświęcając innym zajęciom minimum czasu, a Wiktoria nie protestowała. Właśnie na tym polegała jej niezwykłość. Nie tylko nie protestowała, ale robiła, co mogła, żeby mi to ułatwić. Widziałam coś bez mała nadprzyrodzonego w jej zrozumieniu sytuacji, w umiejętności pogodzenia się z raptownym, niemal brutalnym końcem pewnej epoki w naszym wspólnym życiu. Spodziewałam się, że doprowadzi do gwałtownej konfrontacji, będzie rozczarowana lub zazdrosna, ale nic podobnego się nie zdarzyło. Jej pierwszą reakcją była radość – radość z mojego szczęścia, radość, że Sam żyje – a potem włożyła w jego wyzdrowienie tyleż trudu, co ja. Poniosła osobistą stratę, wiedziała jednak, że Dom Woburnów skorzysta dzięki obecności Sama. Personel miał się powiększyć o jeszcze jednego mężczyznę, i to kogoś, kto nie był ani stary jak Frick, ani tępy i niedoświadczony jak Willie, a z jej punktu widzenia ten fakt zrównywał

szale. Tak żelazna konsekwencja mogła się wydawać odrobinę przerażająca, lecz dla Wiktorii w porównaniu z Domem nic się nie liczyło – nawet ja, nawet jej własny los, jeśli takie samozaparcie jest w ogóle wyobrażalne. Nie chcę upraszczać, ale z czasem prawie doszłam do przekonania, że rozkochała mnie w sobie tylko dla dobra mojego zdrowia, a skoro stanęłam na nogi, całą uwagę poświęciła Samowi. Widzisz, Dom był dla niej jedyną rzeczywistością, przed którą w ostatecznym rozrachunku wszystko musiało ustąpić.

Sam wprowadził się w końcu do mnie na trzecie piętro. Pomału przybierał na wadze i po pewnym czasie zaczął przypominać dawnego siebie, ale nie wszystko mogło ułożyć się po staremu, bo za wiele wycierpiał. Mam na myśli nie tylko te przeżycia, których ślady nosiło jego ciało w postaci przedwcześnie posiwiałych włosów, brakujących zębów, lekkiego, ale nieustannego drżenia rąk. Mówię także o przemianach wewnętrznych. Nie był już tym aroganckim młodzieńcem, z którym mieszkałam w bibliotece. Doświadczenia ostatnich miesięcy zmieniły go – rzecz by można, nauczyły pokory – więc w jego sposobie bycia pojawił się jakiś miększy, spokojniejszy rytm. Czasem wspominał o powrocie do pracy nad książką, ale czułam, że nie wkłada już w to serca. Książka przestała być dla niego rozwiązaniem, a skoro się uwolnił od tej fiksacji, zaczął lepiej rozumieć, co go właściwie spotkało, co spotyka nas wszystkich każdego dnia. Odzyskał siły i stopniowo znów się z sobą oswoiliśmy, lecz było chyba w tym związku więcej partnerstwa niż poprzednio. Może ja także zmieniałam się przez tych kilka miesięcy, ale czułam ponad wszelką wątpliwość, że Sam bardziej mnie teraz potrzebuje i lubiłam to poczucie. Lubiłam je jak nic na świecie.

Pracować zaczął w pierwszych dniach lutego. To Wiktorii wyznaczyła mu zadanie, a ja byłam z początku zdecydowanie przeciwna jej wyborowi. Powiedziała mi jednak, że dokładnie rzecz przemyślała. Według niej Sam najlepiej mógł przysłużyć się Domowi jako nowy doktor.

– Możesz uważać, że to dziwny pomysł – ciągnęła – ale od śmierci ojca pomału idziemy na dno. Dom jako instytucja nie ma już żadnej spójności, żadnego określonego kierunku. Na chwilę zapewniamy ludziom wikt i dach nad głową, ale nic ponadto. Takie minimalne wsparcie nic im właściwie nie daje. Dawniej przychodzili tu, żeby być blisko ojca. Nawet jeśli nie potrafił ich wyleczyć, rozmawiał z nimi, wysłuchiwał ich skarg. I właśnie to się liczyło. Poprawiał im samopoczucie przez sam fakt, że był tym, kim był. Dostawali jeść, a na dodatek odrobinę nadziei. Gdybyśmy znaleźli nowego doktora, Dom odzyskałby może coś z dawnego ducha.

– Ale Sam nie jest doktorem – zaprotestowałam. – Byłoby to kłamstwo, a nie rozumiem, jak można ludziom pomóc, jeśli już w punkcie wyjścia ich się okłamuje.

– Nie kłamstwo – sprostowała Wiktorii – tylko maskarada. Kłamię się przez egoizm, a my przecież nic na tym nie korzystamy. Skorzystają inni, bo odzyskają nadzieję. Jeśli dadzą się przekonać, że Sam jest lekarzem, będą mu wierzyć.

– A jeżeli się wyda? Wtedy wszystko runie. Nikt już nam nic uwierzy, nawet kiedy powiemy

prawdę.

– Nic się nie wyda. Sam się nie zdradzi, bo przecież nie będzie naprawdę leczył. Choćby nawet chciał, to i tak nie ma czym. Zostało nam parę flakonów aspiryny, kilka paczek bandażu i prawie nic więcej. Będzie się tylko przedstawiał jako doktor Farr, a nie praktykował. Niech mówi, a rezydenci niech słuchają. To wystarczy. Może w ten sposób sami odnajdą w sobie siłę.

– A jeśli Sam się nie sprawdzi?

– No to trudno. Ale nie dowiemy się, póki nie spróbuje, prawda?

W końcu zgodził się spróbować.

– Co prawda nie wpadłbym na coś takiego – powiedział – choćbym miał żyć jeszcze sto lat. Anna twierdzi, że to cynizm, a ja w sumie przyznaję jej rację. Ale czy fakty nie są równie cyniczne? Ludzie umierają na ulicy i nawet jeśli im damy ten talerz zupy albo zbawimy ich dusze, nie przestaną umierać. Nie ma na to rady. Skoro Wiktoria uważa, że rozmowa z pseudodoktorem trochę im ulży, jakie mam prawo odmówić jej racji? Wątpię, czy ta gierka wiele da, ale zaszkodzić chyba nie zaszkodzi. W ten sposób przynajmniej spróbujemy coś zdziałać, więc zgoda, spróbujmy.

Nie miałam pretensji do Sama, że uległ, ale byłam zła na Wiktorię. Zaszokowała mnie tym, że tak zawile usprawiedliwiła własny fanatyzm, powołując się na słuszność sprawy. Jakkolwiekby nazwać jej pomysł – kłamstwem, maskaradą, środkiem uświęconym przez cel – było to moim zdaniem odstępstwo od pryncypiów starego doktora. Miałam z początku wobec Domu Woburnów mocno mieszane uczucia i to właśnie Wiktoria pomogła mi go w końcu zaakceptować. Jej prostota, oczywistość pobudek, moralna nieugiętość stały się dla mnie wzorem i źródłem siły. I oto nagle odkryłam w Wiktorii mroczny obszar, którego dotychczas nie zauważałam. Byłam chyba po prostu zawiedziona i przez pewien czas pałałam do niej szczerą niechęcią, nic mogąc jej darować, że w sumie tak mało różni się od reszty ludzi. Potem jednak zaczęłam lepiej rozumieć sytuację i gniew mi przeszedł. Wiktoria długo ukrywała przede mną prawdę o Domu Woburnów, który w rzeczywistości chylił się do upadku. Maskarada Sama miała być jedynie próbą wyratowania czegoś z pożaru, ekscentryczną kodą doczepioną do ogranego już kawałka. Dawno było po wszystkim, tylko ja o tym nie wiedziałam.

Sam, o ironio, świetnie się spisał w roli doktora. Rekwizyty – biały kitel, czarna torba, stetoskop, termometr – już na niego czekały, a on umiał z nich zrobić użytek. Owszem, wyglądał jak lekarz, ale po pewnym czasie zaczął się zachowywać, jakby naprawdę nim był, i to właśnie najbardziej mnie zdumiało. Z początku niechętnie odnosiłam się do tej przemiany, bo nie chciałam przyznać, że Wiktoria miała rację, lecz w końcu musiałam ustąpić wobec oczywistych faktów. Sam budził w ludziach wyraźny odzew. Potrafił tak słuchać, że chcieli mówić, więc gdy tylko przy nich siadał, potoki słów lały im się z ust. Na pewno pomagała mu w tym praktyka

dziennikarska, lecz odkąd wziął na siebie rolę doktora, spowiła go całkiem nowa aura dostojności, swego rodzaju dobrotliwa persona, a ponieważ rezydenci jej ufali, opowiadali mu niesłychane rzeczy. Czuł się jak w konfesjonale i zaczął pomału doceniać zbawienne skutki spowiedzi, która jest przecież okazją, żeby zrzucić brzemień, wyzwolić żywe słowa i zawrzeć w nich swoje przeżycia. Wiele osób na miejscu Sama utożsamiałyby się z rolą, on jednak zachował dystans. Na osobności żartował nawet z całej tej szopki i w końcu powymyślał sobie całe mnóstwo pseudonimów: Doktor Charles Attan, Doktor Znachorsky, Doktor Pic. Czułam jednak, że żarty żartami, ale nowa praca znaczy dla niego więcej, niż byłby skłonny przyznać. Rola doktora dała mu wgląd w tajniki cudzych myśli, co z kolei nie pozostało bez wpływu na jego własne wnętrze, które dzięki temu okrzepło, stało się bardziej przestronne, pojemne i chłonne.

– Dobrze jest nie być sobą – zwierzył mi się kiedyś. – Gdybym nie mógł się schować za tym facetem w białym kitlu, specem od współczujących min, chyba bym nie wytrzymał. Zmiażdżyłyby mnie te wszystkie opowieści. Ale mam na szczęście bezpieczny sposób, żeby ich słuchać i odkładać je na odpowiednią półkę obok mojej własnej historii, obok historii człowieka, którym nie muszę być, póki słucham tamtych.

Wiosna nadeszła wcześniej. Już w połowie marca w ogrodzie za domem zakwitły krokusy: z trawy na obrzeżach klombów wychylały się żółte i fioletowe płatki, a świeża zieleń listków odbijała od brązu wysychających kałuż. Nawet noce były ciepłe, więc Sam i ja chadzaliśmy czasem przed snem na krótkie spacerunki po posesji Woburnów. Miło było spędzić tych parę chwil na dworze, mając za plecami ciemne okna domu, a nad sobą blade płomyki gwiazd. Na każdym takim spacerze od nowa zakochiwałam się w Samie. Traciłam dla niego głowę, idąc z nim w ciemnościach pod rękę i wspominając nasze początki, Złowrogą Zimę, kiedy mieszkaliśmy w bibliotece i co noc wyglądaliśmy przez wielki wachlarz okna. Nie rozmawialiśmy już o przyszłości. Nie snuliśmy planów, nie mówiliśmy o powrocie do domu. Bez reszty pochłaniała nas teraźniejszość, ogrom codziennej pracy, a potem zawsze to samo zmęczenie, więc nawet nie mieliśmy kiedy pomyśleć o czymś innym niż chwila obecna. Nasze życie wisiało w jakiejś upiornej równowadze, ale nie było złe, a chwilami ogarniało mnie coś na kształt szczęścia, że żyję właśnie tak, poddając się biegowi zdarzeń.

Ten stan nie mógł oczywiście trwać. Jak słusznie twierdził Borys Stiepanowicz, była to iluzja i nic nie mogło powstrzymać nadchodzących zmian. Pod koniec kwietnia poczuliśmy, że trzeba zacisnąć pasa. Wiktoria wreszcie się załamała i opisała nam sytuację, więc zaczęliśmy coraz bardziej oszczędzać. Pierwsza wypadła z rozkładu środowowa runda po mieście. Uznaliśmy, że to wyrzucone pieniądze. Paliwo było za drogie, a chętni i tak tłoczyli się w kolejce tuż za drzwiami. Wiktoria zdecydowała, że nie będziemy już szukać kandydatów, i nawet Frick nie zaprotestował. Po południu wybraliśmy się na ostatnią przejażdżkę: Frick za kierownicą, obok Willie, a Sam i ja

na tylnym siedzeniu. Silnik ciężko sapał, kiedy jechaliśmy przez bulwary na peryferiach, skręcając czasem do tej czy tamtej dzielnicy. Rzucano nami na wybojach, chociaż Frick starał się omijać wyjeżdżone koleiny i wyrwy. Patrzyliśmy w okna, rzadko się odzywając. Trochę pewnie nam się nie mieściło w głowach, że podobna sytuacja nigdy się nie powtórzy, że to już ostatni raz, a potem właściwie przestaliśmy nawet patrzeć, tylko siedzieliśmy na miejscach z dziwnie rozpaczliwym poczuciem, że kręcimy się w kółko. Po powrocie Frick odstawił wóz do garażu, zamknął drzwi na klucz i chyba nigdy więcej ich nie otworzył. Kiedy pewnego dnia znaleźliśmy się razem w ogrodzie, wskazał garaż palcem i rozwarł bezzębne usta w szerokim uśmiechu.

– No i tyle widoków, kiedy więcej już nic – powiedział. – Powiedz pa, no i zgłowy. A niej jak nie zaświci! Szuuuu, patrzeć, i po wszystkim. Wielki migot, no i zgłowy.

Po aucie przyszła kolej na ubrania – skończyło się rozdawnictwo koszul i butów, kurtek i swetrów, spodni, kapeluszy, starych rękawiczek. Borys Stiepanowicz kupował je hurtem w czwartym rewirze, ale jego dostawca wypadł z branży, a ściślej mówiąc, wygryzło go konsorcjum zbirów i Reanimatorów, więc i tej działalności musieliśmy zaniechać. Nawet w dobrych okresach odzież stanowiła w budżecie Woburnów trzydzieści do czterdziestu procent, a kiedy nastały ciężkie czasy, trzeba ją było skreślić z listy wydatków – bez stopniowych ograniczeń ani połowicznych oszczędności, tylko wszystko naraz, jednym cięciem. Wiktoria wszczęła akcję, którą nazwała „kampanią skrupulatnych reperacji”: gromadziła wszelkiego rodzaju przybory krawieckie – igły, nici, łąty, napastrki, grzybki do cerowania i tym podobne – i w miarę swych sił starała się naprawiać ubrania, w których nasi podopieczni przychodzili do Domu Woburnów. Chciała jak najwięcej pieniędzy zaoszczędzić na jedzenie, a ponieważ właśnie ono było najważniejsze, właśnie jedzenia najbardziej potrzebowali rezydenci, wszyscy przyznaliśmy jej rację. Ale czwarte piętro wciąż pustoszało, więc nawet jadłospis nie oparł się ogólnej erozji. Zaczęły z niego ubywać kolejne składniki – cukier, sól, masło, owoce, i tak już skąpo wydzielane racje mięsa, odświętna szklanka mleka. Ilekroć Wiktoria obwieszczała o którymś z tych cięć, Maggie Vine w napadzie hysterii odgrywała milczącą błazenadę, wściekła pantomimę zapłakanej kuchty, która tłucze głową o ścianę i wali się dłońmi po udach, jakby chciała odfrunąć. Zresztą nikomu nie było lekko. Przyzwyczailiśmy się jadać do syta, więc ten nagły odwyk okazał się szokiem dla naszych organizmów. Musiałam od nowa przemyśleć, czym właściwie jest głód, jak rozgraniczyć w wyobraźni jedzenie od przyjemności, jak nauczyć się brać, co dają, i nie pragnąć niczego więcej. Nim minęła połowa lata, przeszliśmy na dietę ziarnisto-węglowodanową z dodatkiem warzyw korzeniowych – rzepy, buraków, marchwi. Usiłowaliśmy założyć ogród na placu za domem, ale trudno było o nasiona i w końcu wyhodowaliśmy tylko parę główek sałaty. Maggie improwizowała, jak mogła; gotowała różne cienkie zupki, z niemą wściekłością preparowała dania z fasoli i makaronu, otoczona kłębami białej mąki miesiła ciasto na kluchy, lepkie gnioty, którymi prawie się dławiliśmy. Było to

w porównaniu z naszą dawną kuchnią nędzne żarcie, ale dawało się na nim przeżyć. Najbardziej jednak przerażała nas nie sama jakość jedzenia, lecz pewność, że może być tylko gorzej. Stopniowo zacierała się różnica między Domem Woburnów a jego otoczeniem. Miasto nas pożerało, a myśmy nie wiedzieli, jak je powstrzymać,

A potem znikła Maggie. Pewnego dnia po prostu już jej nie było i żaden trop nie wskazywał, dokąd mogła pójść. Pewnie odeszła nocą, kiedy spaliśmy na górze, ale to jeszcze nie wyjaśniało, czemu zostawiła wszystkie swoje rzeczy. Na zdrowy rozum gdyby chciała uciec, spakowałaby walizkę. Przez dwa czy trzy dni Willie przeszukiwał okoliczne ulice, lecz nie znalazł żadnego śladu. Nikt z zapytanych przechodniów też jej nie widział. Odtąd chłopiec i ja zajęliśmy się kuchnią, ale kiedy już zaczynaliśmy jako tako sobie radzić, zdarzyło się kolejne nieszczęście. Nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, zmarł Frick. Próbowaliśmy pocieszać się myślą, że był już bardzo stary – zdaniem Wiktorii miał prawie osiemdziesiąt lat – ale niewiele to pomogło. Zmarł nocą, we śnie, w początkach października, a znalazł go wnuk: rano zobaczył, że dziadek jeszcze leży w łóżku, więc zaczął go budzić, a wtedy ku przerażeniu chłopca trup gruchnął na podłogę. Oczywiście najbardziej przeżył to Willie, ale śmierć Fricka była dla nas wszystkich ciężkim ciosem. Sam płakał rzewnymi łzami, a Borys Stiepanowicz dowiedziawszy się o niej nie odezwał się do nikogo przez cztery godziny, zapewne ustanawiając tym samym swoisty rekord. Wiktorii z początku niewiele po sobie pokazywała, potem jednak zrobiła rzecz absolutnie szaloną, więc zrozumiałam, jak bliska jest ostatecznej rozpacz. Pamiętasz pewnie, że w Mieście bezwzględnie zakazano grzebania zmarłych. Trupy odstawia się do Transformatorni, a każdy, kto złamie ten przepis, naraża się na najsurowszą karę: dwieście pięćdziesiąt gлотów grzywny płatnych natychmiast albo równie natychmiastową deportację do jednego z obozów pracy w południowo-zachodniej części kraju. Mimo to w niecałą godzinę po tym, jak dowiedzieliśmy się o śmierci Fricka, Wiktorii oświadczyła, że po południu zamierza pochować go w ogrodzie. Sam usiłował jej to wyperswadować, ale była nieugięta.

– Nikt się nie dowie – twierdziła. – A nawet jeśli policja dojdzie prawdy, mniejsza z tym. Musimy postąpić, jak słuszność nakazuje. Kiepsko by to o nas świadczyło, gdybyśmy cofnęli się przed głupim prawem.

Była to pochopna, całkowicie nieodpowiedzialna decyzja, ale przypuszczam, że podjęła ją w gruncie rzeczy ze względu na Williego. Był to chłopiec o nienormalnie niskim ilorazie inteligencji, mimo swych siedemnastu lat wciąż jeszcze uwięziony w granicach własnej gwałtownej jaźni, do której z zewnętrznego świata nic przenikał prawie żaden sens. Frick opiekował się nim, wyręczał go w myśleniu i dosłownie prowadził za rękę. Gdy dziadka nagle zabrakło, nie sposób było przewidzieć, co stanie się z chłopcem. Musieliśmy wykonać wobec niego jakiś gest, dać wyraźne świadectwo lojalności, niepodważalny dowód, że będziemy z nim bez względu na konsekwencje. Pogrzeb pociągał za sobą ogromne ryzyko, lecz choć dziś już

znam jego następstwa, nie uważam, że Wiktoria źle zrobiła.

Przed ceremonią Willie poszedł do garażu, odczepił od auta trąbkę klaksonu i prawie przez godzinę ją polerował. Była to staroświecka trąbka, podobna do tych, które dawniej widywało się u dzieciennych rowerków, tylko większa, okazalsza, z mosiężną czarą głosową i gruszką z czarnej gumy, niewiele mniejszą niż grejpfрут. Potem chłopiec i Sam wykopali za domem dół pod krzewami głogu. Sześciu rezydentów przyniosło z domu ciało Fricka, a kiedy spuścili je do grobu, Willie położył dziadkowi na piersi trąbkę, żeby go z nią pochowano. Borys Stiepanowicz odczytał krótki wiersz, który napisał z tej okazji, po czym Sam i Willie zasypali dół. Była to prymitywna ceremonia, jeśli w ogóle można ją tak nazwać – żadnych modlitw ani pieśni – ale samo to, że się w ogóle odbyła, miało wystarczająco wielkie znaczenie. Zeszli się na nią wszyscy domownicy, zarówno rezydenci, jak i personel, a nim dobiegła końca, większość z nas miała łzy w oczach. Na grobie położono nieduży kamień, żeby zaznaczyć miejsce, po czym wróciliśmy do domu.

Próbowaliśmy jakoś się podzielić odpowiedzialnością za Williego. Wiktoria obarczyła go nowymi obowiązkami – pozwoliła mu nawet stać z karabinem na straży podczas wywiadów, które prowadziłam w hallu – a pod kierunkiem Sama chłopiec uczył się dodawać i odejmować, podpisywać się własnym nazwiskiem i golić. Był wdzięczny za tyle uwagi i gdyby nie pewne fatalne zrządzenie losu, prawdopodobnie by się w końcu otrząsnął. Ale w jakieś dwa tygodnie po pogrzebie Fricka złożył nam wizytę konstabl z Komendy Głównej. Wyglądał po prostu idiotycznie – pulchny, rumiany, ubrany w mundur najnowszego kroju, obowiązujący funkcjonariuszy tej służby: jaskrawoczerwoną kurtkę, białe bryczesy, czarne lakierowane oficerki i kepi tegoż koloni. Cały aż trzeszczał w tym absurdalnym stroju i tak wypinał pierś, że nie rozumiałam, jakim cudem jeszcze mu się nie pourywały guziki. Stuknął obcasami i zasalutował, kiedy otworzyłam drzwi, i gdyby nie pistolet maszynowy, który miał przewieszony przez ramię, pewnie bym go z miejsca odprawiła.

– Czy tu mieszka Wiktoria Woburn? – spytał.

– Tak – odparłam. – Między innymi.

– Wobec tego proszę usunąć się z drogi – rzekł odpychając mnie na bok i włączając do hallu. – Za chwilę rozpocznie się dochodzenie.

Oszczędzę ci szczegółów. Okazało się, że ktoś złożył donos o pogrzebie, więc konstabl przyszedł sprawdzić. Donosicielem był zapewne któryś z rezydentów, ale nikt z nas nie miał serca zastanawiać się, kto mianowicie dopuścił się tak zdumiewającej zdrady: prawdopodobnie jeden z uczestników pogrzebu – ktoś, kto nie mógł darować Domowi Woburnów, że wyproszone go stamtąd z powrotem na ulicę, gdy minął jego czas. Był to logiczny domysł, ale i tak nie miało większego znaczenia, jaka właściwie jest prawda. Może policja opłaciła donosiciela, a może wydał nas z czystej złości. W każdym razie swój donos sformułował z morderczą precyzją, bo

konstabl w asyście dwóch przybocznych ruszył prosto do ogrodu za domem, trochę się rozejrzał i bez wahania wskazał, gdzie jest grób. Kazał przynieść łopaty i natychmiast przyboczni wzięli się do dzieła, szukając zwłok, których miejsce spoczynku już znali.

– Oburzające lekceważenie prawa – rzekł konstabl. – Taki pogrzeb w dzisiejszych czasach, co za tupet i egoizm. Bez trupów na opał raz dwa byłoby po nas, jasna sprawa, że poszlibyśmy na dno. Skąd byśmy wzięli paliwo, jak byśmy przeżyli? Gdy w tej oto dobie zagrożony jest byt całego narodu, wszyscy musimy być czujni. Nie wolno oszczędzić ani jednego trupa, a tym, którzy mają czelność łamać prawo, zbrodnia taka nie ujdzie na sucho. Są to złoczyńcy najgorszego autoramentu, perfidni niegodziwcy, wyrzutki społeczeństwa. Należy ich ukarać, wyrwać zło z korzeniami.

Tymczasem wszyscy wyszliśmy już do ogrodu i staliśmy stłoczeni nad grobem, a ten dureń konstabl dalej klepał swoje: nic prócz jadu i pustostowia. Wiktoria była blada jak płótno i gdybym jej nie podpierała, pewnie by upadła. Sam stał naprzeciw nas, po drugiej stronie powiększającego się dołu, i nie spuszczał z oka Williego. Chłopiec zalewał się łzami, patrząc, jak przyboczni konstabla wybierają ziemię z grobu i od niechcienia ciskają ją w krzaki, aż w końcu krzyknął z przerażeniem:

– To dziadzi ziemia! Nie wolno jej wyrzucać! To ziemia dziadzi!

Krzyczał tak głośno, że konstabl musiał przerwać tyradę. Spojrzał na Williego z pogardą, ale kiedy sięgnął po pistolet maszynowy, Sam zatkał chłopcu usta i zaczął go ciągnąć przez trawnik w stronę domu, co wcale nic było łatwe, bo Willie wierzgał i usiłował się wyrwać. Niektórzy rezydenci rzucili się na ziemię, błagając konstabla, żeby uwierzył w ich niewinność”. Nic nie wiedzieli o tej ohydnej zbrodni; nie byli jej świadkami; gdyby ktoś im powiedział o podobnej niegodziwości, w żadnym razie nie skorzystaliby z gościny Domu Woburnów, gdzie zresztą przemocą ich więziono: w sumie potok służalczych wyznań, epidemia tchórzostwa. Z obrzydzenia o mało ich nic oplułam. Pewna starucha – niejaka Beulah Stansky – objęła nawet but konstabla i zaczęła obcałowywać cholewę. Konstabl próbował ją z siebie strząsnąć, a że to nie pomogło, kopnął ją w brzuch czubkiem buta, aż poturlała się po ziemi, jęcząc i skowycząc jak zbity pies. Na szczęście dla nas wszystkich akurat wtedy postanowił wkroczyć Borys Stiepanowicz. Otworzył przeszkłone drzwi do ogrodu, zwinnym kroczkiem zszedł na trawnik i ze spokojną, niemal zadumaną miną ruszył w stronę zbiegowiska. Zachowywał się, jakby już setki razy był świadkiem identycznych scen, więc nic nie mogło nim wstrząsnąć: ani obecność konstabla, ani widok broni – nic a nic. Kiedy do nas dołączył, asystenci właśnie wyciągnęli trupa z grobu i położyli na trawie. Nieszczęsny Frick miał twarz umazaną ziemią, puste oczodoły, a w ustach kłębiły mu się białe robaki. Borys nawet na niego nie spojrział, tylko ruszył w stronę konstabla w czerwonej kurtce i tytułując go generałem odszedł z nim na bok. Nie słyszałam, co mówili, ale widziałam, że Borys bez przerwy się uśmiecha i rusza brwiami. W końcu wyjął

z kieszeni plik banknotów, odliczył kilka i wetknął je konstablowi w dłoń. Nie wiedziałam, czy zapłacił grzywnę, czy zawarli jakąś prywatną ugodę, na tym jednak transakcja się zakończyła: gotówka w okamgnieniu przeszła z ręki do ręki i interes został ubity. Dwaj przybocznicy podnieśli ciało Fricka, przemaszerowali z nim przez trawnik i dalej przez sień na ulicę, po czym wrzucili zwłoki na czekającą tam ciężarówkę. Konstabl udzielił nam na schodach ostatniej reprymendy – bardzo surowej, słowo w słowo takiej samej jak ta, której wysłuchaliśmy w ogrodzie – raz jeszcze zasalutował, stuknął obcasami i ruszył w stronę ciężarówki, niecierpliwie machając ręką na znak, że umorusani gapie mają usunąć się z drogi. Gdy tylko odjechał razem ze swoimi ludźmi, pobiegłam do ogrodu i zaczęłam szukać trąbki. Chciałam ją wyczyścić i oddać Williemu, lecz nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Spuściłam się nawet na dno grobu, ale tam też jej nie było. Znikła bez śladu, tak jak przed nią wiele innych rzeczy.

Na razie wyszliśmy więc obronną ręką, a przynajmniej żadne z nas nie trafiło do więzienia, ale suma, którą Borys dał konstablowi, poważnie nadwreżyła nasze rezerwy. W ciągu trzech pierwszych dni po ekshumacji Fricka sprzedaliśmy ostatnie rzeczy z czwartego piętra: połączony nóż do papieru, mahoniowy stoliczek i firanki z niebieskiego aksamitu, które dotąd wisały w oknach. Potem dostaliśmy jeszcze trochę gotówki za książki z biblioteki na parterze: poszły dwie półki Dickensa, pięć kompletów Szekspira (między innymi miniaturowe wydanie – trzydzieści osiem tomików wielkości ludzkiej dłoni), cała Jane Austen, Schopenhauer, ilustrowany *Don Kichot*, ale rynek księgarski zdążył już się zawalić, więc niewiele uciulaliśmy. Borys wziął nas na utrzymanie, lecz nawet jego zasoby kiedyś musiały się skończyć, toteż nie ludziliśmy się, że stan ten długo potrwa. Liczyliśmy na trzy, w najlepszym razie cztery miesiące, a ponieważ znów nadchodziła zima, zakładaliśmy, że mamy pewnie mniej czasu, niż nam się zdaje.

Rozsądek podpowiadał, żeby nie zwlekać, tylko od razu zamknąć Dom Woburnów. Próbowaliśmy przekonać Wiktorię, był to jednak dla niej trudny krok, wahała się więc przez kilka tygodni. A gdy zaczęło wyglądać na to, że Borys ją wreszcie namówił, los zdecydował za nią i za nas wszystkich. Jego narzędziem okazał się Willie. Po fakcie taki właśnie koniec wydaje się wręcz nieunikniony, ale minęłabym się z prawdą, gdybym twierdziła, że ktokolwiek z domowników go przewidział. Zbytńio byliśmy zajęci codziennymi obowiązkami, a kiedy już doszło do nieszczęścia, spadło ono na nas jak grom z jasnego nieba, wstrząsnęło nami niby eksplozja ze środka ziemi.

Odkąd zabrano ciało Fricka, Willie był nie ten sam. Robił swoje, ale w milczeniu, samotnie, komunikując się z nami wyłącznie za pomocą spojrzeń bez wyrazu i wzruszeń ramionami. Ilekroć ktoś się do niego zbliżał, oczy chłopca zapalały się wrogością i urazą. Gdy położyłam mu rękę na ramieniu, strącił ją, jakby grożąc, że następnym razem nie ujdzie mi to na sucho. Oboje codziennie pracowaliśmy w kuchni, spędzałam więc z nim pewnie więcej czasu niż inni.

Staralam się mu pomóc, jak potrafilam, ale z moich perswazji nic chyba do niego nie docieralo. Twój dziadek ma się dobrze, mówiłam. Poszedł do nieba, więc mniejsza o to, co się dzieje z jego ciałem. Grunt, że dusza żyje. Nie chciałby, żebyś tak się o niego martwił. Nic złego nie może mu się już stać. Jest mu dobrze tam dokąd trafił, i tobie też życzy szczęścia. Czułam się tak, jak zapewne czują się rodzice, kiedy próbują objaśnić małemu dziecku, na czym polega śmierć. Powtarzałam zasłyszane w dzieciństwie obłudne brednie. Ale nic miało znaczenia, co mówię, bo do Williego i tak to nie trafiało. Był jaskiniowcem, więc na cudzą śmierć umiał zareagować w jeden jedyne sposób – czcząc zmarłego przodka, wręcz go ubóstwiając. Wiktoria instynktownie to rozumiała. Grób Fricka stał się dla chłopca ziemią świętą, którą potem zbezczeszczone. Porządek rzeczy legł w gruzach i żadne moje słowa nie mogły go przywrócić.

Willie zaczął wychodzić po kolacji i rzadko wracał przed drugą albo i trzecią nad ranem. Nie mieliśmy pojęcia, co robi o tej porze na ulicy, bo nam się nie opowiadał, a pytać nie było sensu. Pewnego ranka w ogóle się nie zjawił. Pomyślałam, że odszedł na zawsze, ale tuż po obiedzie wszedł do kuchni i bez słowa zaczął siekać warzywa, jakby chciał mnie sprowokować, a może zaimponować mi arogancją. Był schyłek listopada. Willie wszedł na własną orbitę, niczym błędna gwiazda o nieokreślonej trajektorii. Przestałam na niego liczyć w sprawach domowych. Jeśli był pod ręką, korzystałam z jego pomocy; gdy go nie było, robiłam wszystko sama. Kiedyś nie pokazał się przez dwa dni; innym razem – przez trzy. Te coraz dłuższe nieobecności sugerowały, że stopniowo odchodzi, uspiły więc naszą czujność. Uznaliśmy, że prędzej czy później zniknie na dobre, jak Maggie Vine. Akurat w tamtym okresie tyle mieliśmy roboty, tyle musieliśmy się nakrzętać, żeby jeszcze przez chwilę utrzymać na powierzchni tonący statek, że nikt nie zaprzętał sobie głowy Williem, kiedy nie było go wśród nas. Następnym razem nie pojawił się przez sześć dni i wtedy chyba już wszyscy nabraliśmy przekonania, że więcej go nie zobaczymy. Aż tu w pierwszym tygodniu grudnia późną nocą obudził nas straszliwy łomot i trzask z pokoiów na parterze. W pierwszej chwili pomyślałam, że to ludzie z kolejki włamali się do domu, ale gdy Sam wyskoczył z łóżka i chwycił strzelbę, którą stale trzymaliśmy w sypialni, na dole zabrzmiała seria z broni maszynowej, potworny huk i rozprysk kul, raz za razem. Rozległy się krzyki, dom zatrzęsł się od nagłej bieganiny, usłyszałam, jak pociski wbijają się w ściany, tłuką szyby, drą drzazgi z podłogi. Zapaliłam świecę i wyszłam za Samem na schody, zbierając całą odwagę, bo byłam przekonana, że ujrzę konstabla lub jego ludzi, którzy mnie rozstrzelają, rozerwą seriami na strzępy. Wiktoria biegła już po schodach na dół i o ile widziałam, nie miała przy sobie broni. Intruzem oczywiście nie był konstabl – choć nie wątpię, że pistolet pochodził od niego – lecz Willie: stał na pierwszym podeście, ale zmierzał w naszą stronę, z peemem w garści. Blask mojej świecy nie sięgał jego twarzy, widziałam jednak, że zatrzymał się na widok biegnącej Wiktorii.

– Dość już tego, Willie – powiedziała Wiktoria. – Rzuć broń. Rzuć ją natychmiast!

Nie wiem, czy chciał do niej strzelić, ale broni nie rzucił. Wiktorię dogonił tymczasem Sam i ledwie skończyła mówić, nacisnął spust dubeltówki, trafiając Williego w pierś. Chłopiec runął do tyłu, koziółkując po schodach. Pewnie umarł, nim wylądował na dole, może nawet zanim się połapał, że dostał kulę.

Stało się to sześć czy siedem tygodni temu. Z osiemnaściorga rezydentów siedmioro zginęło na miejscu, pięcioro zdołało uciec, troje było rannych, troje wyszło bez szwanku. Pan Hsia, który dopiero co się wprowadził i w swój pierwszy wieczór zabawiał nas karcianymi sztuczkami, zmarł nazajutrz o jedenastej przed południem. Pan Rosenberg i pani Rudniki wyzdrowieli. Opiekowaliśmy się nimi przez ponad tydzień, a gdy mogli już chodzić o własnych siłach, odprawiliśmy ich. Byli ostatnimi rezydentami Domu. Rankiem tuż po katastrofie Sam wymalował szyld i przybił go do drzwi frontowych: DOM WOBURNÓW ZAMKNIĘTY. Kolejkowicze nie od razu odeszli, potem jednak zrobiło się bardzo zimno, a kiedy mimo upływu dni nikt drzwi nie otwierał, tłum zaczął rzednąć. Od tamtej pory cierpliwie czekamy, obmyślamy następne posunięcie, usiłujemy przetrwać kolejną zimę. Sam i Borys codziennie chodzą do garażu i wypróbowują samochód, żeby w każdej chwili był sprawny. Mamy zamiar wyjechać, skoro tylko się ociepli. Nawet Wiktor twierdzi, że się z nami zabierze, ale nie jestem pewna, czy mówi serio. Czas pokaże. Sądząc ze stanu nieba przez ostatnie trzy doby, niedługo już chyba będziemy musieli czekać.

Postaraliśmy się jak najlepiej zadbać o zwłoki, usunąć szkody, zmyć krew. Nie chcę się wdawać w szczegóły. Dość powiedzieć, że skończyliśmy dopiero po południu następnego dnia. Sam i ja poszliśmy na górę, żeby się zdrzemnąć, ale jakoś nie mogłam zasnąć. Za to on usnął prawie natychmiast. Nic chciałam go budzić, więc wstałam i usiadłam w kącie na podłodze. Akurat leżała tam moja stara torba, a ja bez wyraźnego powodu zaczęłam w niej grzebać. Właśnie wtedy znalazłam niebieski notes Izabeli. Pierwszych kilka stron wypełniało jej pismo: krótkie sygnały, które do mnie kierowała w ostatnich dniach choroby. Na ogół były całkiem proste – „dziękuję”, „wody”, „kochana Anno” – ale kiedy ujrzałam te wątle, nieproporcjonalnie wielkie litery i przypomniałam sobie, ile trudu wkładała w to, żebym ją jednak zrozumiała, proste na pozór przesłania wydały mi się całkiem złożone. Ruszyła nagle lawina wspomnień. Bez namysłu wyrwałam z notesu pierwsze kartki, starannie złożyłam je we czworo i schowałam do torby. Potem wzięłam ołówek, który tak dawno temu kupiłam od pana Gambino, położyłam notes na kolanach i zaczęłam pisać ten list.

Piszę go do tej pory, po parę stron dziennie, żeby ci to wszystko przekazać. Chwilami zastanawiam się, ile rzeczy jednak pominęłam, ile nieodwołałnie mi umknęło, lecz te pytania muszą pozostać bez odpowiedzi. Czasu coraz mniej, nie mogę trwonić słów. Nie sądziłam, że aż tak się rozpiszę: myślałam, że w parę dni zdam ci sprawę z tego, co najważniejsze, i będzie po

wszystkim. Tymczasem zapisałam prawie cały notes i ledwie musnęłam powierzchnię. Właśnie dlatego piszę coraz mniejszymi literami. Chcę wszystko zmieścić, dobrać do końca, nim będzie za późno, ale widzisz, jak się fatalnie oszukałam. Ze słowami tak się nie da. Im bliższy koniec, tym więcej masz do powiedzenia. Koniec to tylko iluzja – cel, który sam sobie wymyślasz, żeby wytrwać, ale w pewnym momencie zaczynasz rozumieć, że nigdy go nie osiągniesz. Może będziesz musiał się zatrzymać, ale to tylko dlatego, że wyczerpie się twój czas. Zatrzymasz się, lecz nie będzie to znaczyło, że dobrałeś do końca.

Słowa coraz bardziej maleją są już takie małe, że nie wiem, czy jeszcze czytelne. Przypominają mi Ferdynanda i jego stateczki, lilipucią flotę brygantyn i fregat. Bóg jeden wie, czemu piszę z takim uporem. Nie wierzę, że zdołam ci przesłać ten list. Czuję się, jakbym krzyczała w próżnię, jakbym się darła na całe gardło w obliczu bezkresnej, przerażającej próżni. Za to w przyływach optymizmu drzę na myśl, co będzie, jeśli ten list jednak dotrze do twoich rąk. Oniemiejesz, kiedy go przeczytasz, rozchorujesz się ze zmartwienia i popełnisz ten sam głupi błąd, który ja popełniłam. Błagam cię, nie rób tego. To niestety do ciebie podobne – dość dobrze cię znam, żeby wiedzieć. Jeśli jeszcze choć trochę mnie kochasz, proszę, nie daj się wciągnąć w pułapkę. Nie zniósłabym myśli, że muszę się o ciebie martwić, bo może się tułasz po tych ulicach. Wystarczy, że jedno z nas zabłądziło. Ważne, żebyś został, gdzie jesteś, żebym mogła biec ku tobie wyobraźnią. Ja tu, a ty tam. To moja jedyna pociecha, nie niszczy jej pod żadnym pozorem. Chociaż z drugiej strony, nawet jeśli dostaniesz w końcu ten notes, nie musisz przecież go czytać. Nie masz wobec mnie żadnych zobowiązań, a ja nie chciałabym czuć, że cię zmusiłam. Chwilami wręcz miewam nadzieję, że dokładnie tak to się skończy – że po prostu zabraknie ci odwagi i w ogóle do niego nie zajrzysz. Owszem, jest w tym pewna sprzeczność, ale cóż, skoro tego właśnie czasem pragnę. A jeśli rzeczywiście tak będzie, te oto słowa, które piszę z myślą o tobie, już teraz są dla ciebie niewidzialne. Twoje oczy nigdy ich nie ujrzą, mózgu nie obarczy najdrobniejszy okruch moich zwierzeń. Może to i lepiej. Ale chyba wolałabym, żebyś tego listu nie zniszczył ani nie wyrzucił. Gdybyś postanowił nie czytać, przekaż może notes moim rodzicom. Na pewno zechcą go mieć, nawet jeśli lektura będzie ponad ich siły. Mogą go położyć w moim pokoju. Miło byłoby wiedzieć, że właśnie tam wylądował: na półce nad łóżkiem, między starymi lalkami a kostiumem baletniczki, w którym tańczyłam, kiedy miałam siedem lat, niech spocznie jako ostatnia po mnie pamiątka.

Rzadko już wychodzę na dwór. Tylko wtedy, kiedy wypada moja kolej, żeby zrobić zakupy, ale nawet w takich razach Sam zwykle mówi, że mnie wyręczy. Odzwyczaiłam się od ulic i każde wyjście to ciężka praca. Chyba mi błędnik nawala. Tej zimy znów miewam okropne migreny, a gdy muszę przejść więcej niż pięćdziesiąt czy sto metrów, zaczynam się zataczać. Przy każdym kroku wydaje mi się, że zaraz upadnę. Po domu łatwiej się chodzi. Wciąż mam na

głowie prawie całe gotowanie, ale kucharzyłam już przecież dla dwudziestu, trzydziestu osób, więc upichcić coś dla czworga to drobnostka. I tak zresztą niewiele jemy. Tyle, żeby nie ssało w żołądku, prawie nic więcej. Oszczędzamy pieniądze na podróż, zaciskając pasa. Mieliliśmy tej zimy spore mrozy, prawie takie jak podczas Złowrogiej, chociaż bez nieustannych śnieżyc i wichur. Dla ciepła stopniowo rozbieramy dom i po kawałku ciskamy w ogień. Wiktoria sama to zaproponowała, ale nie wiem, co to znaczy, że myśli o przyszłości, czy po prostu przestało jej zależeć. Rozebraliśmy już poręcze, framugi drzwi, ściany działowe. Początkowo rąbanie domu na opał sprawiało nam jakąś anarchistyczną rozkosz, potem jednak zrobiło się z tego dość ponure zajęcie. Większość pokojów odarliśmy już ze wszystkiego i czujemy się, jakbyśmy mieszkali na opuszczonym dworcu autobusowym, w ruderze przeznaczony do rozbiórki.

Od dwóch tygodni Sam prawie codziennie przeczesuje obrzeża miasta, bada sytuację wzdłuż wałów i uważnie się rozgląda, czy gdzieś nie gromadzą się wojska. Takie informacje mogą mieć kluczowe znaczenie, kiedy nadejdzie pora. Jak dotąd logika każe obstawiać Szaniec Skrzyпка. Jest najdalej wysunięty na zachód, a wprost z niego prowadzi droga w szeroki kraj. Ale południowa Brama Tysiąclecia też nas kusi. Na drodze za nią jest podobno większy ruch, lecz przy samej bramie nie ma tak ścisłej straży. Na razie tylko północ zdecydowanie odpada. Wedle wszelkich oznak w tamtej części kraju zrobiło się bardzo niebezpiecznie: trwa ogólny zamęt, krążą pogłoski o obcej inwazji, o cudzoziemskich armiach, które gromadzą się w lasach i szykują do szturmowania Miasta, gdy stopnieją śniegi. Tego rodzaju plotki nie są, rzecz jasna, niczym nowym. Człowiek sam już nie wie, w co wierzyć. Borys Stiepanowicz dał łapówkę odpowiedniemu urzędnikowi i załatwił nam przepustki, lecz mimo to codziennie przez kilka godzin myszkuje po rządowych gmachach w centrum Miasta, bo a nuż uda mu się zdobyć jeszcze jakiś strzęp informacji. Szczęśliwie się złożyło z tymi przepustkami, ale i tak nie ma pewności, że zrobią wystarczające wrażenie. Mogą być podrobione, a w takim razie grozi nam natychmiastowe aresztowanie, gdy tylko pokażemy je Inspektorowi Do Spraw Wyjazdów. Albo Inspektor je skonfiskuje bez żadnego uzasadnienia i odeśle nas, skąd przyszliśmy. Takie rzeczy się zdarzają, a my musimy być przygotowani na każdą ewentualność. Toteż Borys wciąż węszy i nasłuchuje, lecz nowiny, które przynosi, są tak mętne i sprzeczne, że nie mają wyraźnej wartości. Jego zdaniem może to zapowiadać rychły upadek rządu. Jeśli tak, to moglibyśmy skorzystać z chwilowego zamieszania, ale jak dotąd nic w tej sprawie nie jest jasne. W tej ani w żadnej innej, więc dalej czekamy. W garażu stoi samochód, a w nim nasze walizki i dziewięć kanistrów paliwa.

Borys wprowadził się do nas mniej więcej miesiąc temu. Bardzo schudł, na twarzy wydaje się chwilami wręcz mizerny, jakby nękała go jakaś choroba. Ale nigdy na nic się nie skarży, więc trudno wyczuć, co mu dolega. Fizycznie na pewno nie ma już dawnej werwy, lecz jego duch chyba nie ucierpiał, przynajmniej nie w sposób widoczny. Ostatnio pochłania go głównie

wymyślanie, co będziemy robić, kiedy opuścimy Miasto. Prawie każdego ranka wyskakuje z nowym pomysłem, bardziej absurdalnym od poprzedniego. Najnowszy wszystkie bije na głowę, ale zdaje się, że Borys właśnie do niego najbardziej jest przywiązany: chce, żebyśmy założyli we czworo wędrowną trupę magików. Objeżdżalibyśmy autem kraj, dając przedstawienia w zamian za żywność i dach nad głową. Borys zostanie, rzecz jasna, mistrzem ceremonii, ubranym w czarny smoking i jedwabny cylinder. Naganiaczem będzie Sam, a Wiktoria poprowadzi impresariat. Mnie pozostanie rola asystentki – ponętnej panienki, która w skąpym kostiumie wyszywanym cekinami hopsa po scenie. Podczas występu będę podawała mistrzowi różnorakie instrumenty, a w wielkim finale wejść do drewnianej skrzyni i dam się przepiłować na pół. Nastąpi długa pauza brzemienna obłędem, po czym wyłonię się ze skrzyni cała i zdrowa i triumfalnie gestykulując ślać będę w tłum całuski, promiennie acz sztucznie uśmiechnięta.

Zważywszy, jaką przyszłość mamy przed sobą, miło jest marzyć o takich bzdurach. Lada chwila zacznie się chyba odwilż, może już jutro rano wyruszymy. Na tym właśnie stanęło, nim wszyscy poszli spać: jeśli niebo będzie wyglądać zachęcająco, startujemy bez dalszych dyskusji. Jest późna noc, wiatr wieje przez szpary w ścianach. Tamci śpią, a ja siedzę w kuchni i wyobrażam sobie, co mnie czeka. Ale w tym sęk, że niczego nie umiem sobie wyobrazić. Kiedy usiłuję pomyśleć, jakie będą nasze losy poza granicami Miasta, mam w głowie kompletną pustkę. Wszystko jest możliwe, a wszystko znaczy prawie tyle, co nic, prawie jakbyśmy mieli urodzić się w świecie, który dotąd nie istniał. Może gdzieś za Miastem odnajdziemy Williama, ale staram się zbytnio nie łudzić. Chcę tylko przeżyć jeszcze jeden dzień, o nic więcej nie proszę. Pisze do ciebie Anna Blume, twoja stara przyjaciółka z innego świata. Kiedy trafimy tam, dokąd zmierzamy, spróbuję znowu napisać, obiecuję.